









Dodatek do Tygodnika Powszechnego Nr. 37.

KŁAMSTWO  
S A B I N Y

PRZEZ

Księżnę Kantakuzen - Altiere.



WARSZAWA.

NAKLAD MAURYCEGO ORGELBRANDA  
naprzeciw posągu Kopernika.

—  
1881.

<http://rcin.org.pl>

Доволено Ценаурою.  
Варшава, 27 Августа 1881 г.

23.831

## I.

„..... Co do korzyści, jakie mogłoby odnieść rolnictwo z podobnego systematu...“

Zakrztusiwszy się, przerwała Sabina. Chciała czytać dalej. Ostry dym od fajki ścisnął ją w gardle i oczy napełnił łzami, tak iż trudno jój było rozpoznać wyrazy. Chciała się jednak przezwyciężyć, i jękając się, powtórzyła:

„..... Co do korzyści...“

— Powtarzasz! — mruknął pan de la Rullière. — Wiesz, że tego nie cierpię. Robisz to naumyślnie, aby mnie drażnić. Czytaj dalej.

Głosem pewnym, jednostajnym czytała dalej Sabina. Wnet jednak czytanie jój przerwało skomlenie psa. Zasnął on spokojnie przed kominem w błogim spokoju swojego bytu, i marzył zapewne i o innym lepszym świecie, na którym psy należą jedynie do panów litościwych i zawsze w dobrym humorze, gdy nagle kopnięcie nogą przypomniało mu o twardych warunkach rzeczywistości. Jednym skokiem uciekł do drugiego kąta salonu i schował się pod krzesło, błagalny wzrok rzucając na swojego pana.

— Przekłete zwierzę! — wykrzyknął z gniewem pan de la Rullière. — Że też ja nigdy go nauczyć nie mogę, aby śpiąc nie chrapał.

Porwał za szpicrutę, którą miał zawsze pod ręką, i gotował się ukarać niewinnego przestępcę.

— Tylko nie przy mnie, mój ojeze — rzekła Sabina.

Podniosła się i drzwi otworzyła. Biedne zwierzę wystraszone uciekło, co żywo.

Przez drzwi otworzone wcisnął się wiatr jesienny. Padał

deszcz tego wieczora, wilgotny wiatr bił w szyby, świszcząc po korytarzach zamku, wpędzając do salonu dym, który się nie mógł wydobyć kominem. Żółtawa mgła pomieszana z nieprzyjemną wonią fajki pana de la Rullière czyniła powietrze prawie niemożliwem do oddychania dla kobiety. Sabina przecież nie zwracała na to uwagi. Spokojnie zajęła poprzednie miejsce przy kominku, poprawiła fałdy sukni jedwabnej, przyglądała piękne swoje czarne włosy, i czytała dalej *Przegląd Rolniczy* od miejsca, w którym jęj przerwano.

Pan de la Rullière, nie mając pod ręką ofiary, na którejby mógł wyrzucić oznaki swojego złego humoru, zabrał się do ognia na kominku, rozbijając głównie bez żadnej litości. Skorzystała z tego Sabina, aby nieco odetchnąć.

Pan de la Rullière odwrócił się nagle do nięj z twarzą czerwona od ognia i oczami krwią zasłemi.

— Cóż tam znowu? — zawołał. — Słucham, czytaj dalej.

Ona spojrzała na zegar.

— Dziewiąta godzina — pomyślała sobie — najdalej za godzinę ojciec zaśnie, wtedy będę wolną.

Od czasu do czasu, nie przerywając czytania spoglądała z po za broszury, aby się przekonać, czy ojciec nie śpi jeszcze. A gdy postrzegła, że jego krótka fajeczka, prawdziwy typ fajki rolnika francuskiego, wysuwa się mu z palców, głowa naprzód się pochyła, a broda chowa się w chustkę na szyi... stopniowo głos przyciszała. Gdyby nagle umilkła zbudzićby go mogła.

Przestała czytać nareszcie. Jęk wiatru i plusk deszczu przerywały jedynie ciszę zupełną. Wszystkie prawie wieczory w ten sposób mijały w zamku Rullière, a jednak, dzięki tęj godzinie wytehnienia, która jęj zostawała po trudach całodziennych, Sabina bynajmniej nie uważała się za nieszczęśliwą. W samęj rzeczy była-to godzina, w której myślą zwracała się ku wspomnieniom przeszłości, wznosząc się na skrzydłach wyobraźni w przyszłość błogą, wywołując jedne po drugich marzenia miłości i szczęścia, rozweselając i rozjaśniając swoje życie nudne i jednostajne przy blasku gwiazd ognistych. Otwierała bowiem wtedy okno i spoglądała w niebo zasiane gwiazdami świetnemi. Potęm, gdy miarkowała, że się ojciec zbudzi, zamykała tajemnicze okno, chowała wgłęb serca promienne widziadła, które wywołała, żegnała się ze swojemi ukochanemi marzeniami, jak matka, co z żalem rozłącza się z usypiającem dzieckiem, i wracała do pospolitych zajęć swojego życia rzeczywistego.



Czytała dalej na wpół głośno. A pan de la Rullière gdy zbudził się i posłyszał frazes, który cudownie wiązał się z myślą towarzyszącą mu w krainie sennéj, najmocniej był przekonany, że wcale nie spał. Uważałby sobie za nigdy niedarowany występki, gdyby miał uleż trudom całodziennym w polu. Dwanaście godzin spędzonych przy zajęciach rolnych, noc pod gołym niebem dla schwytania jakiego szkodnika, a do tego ze trzydzieści kilometrów konnej jazdy z samego rana na czczo, nie mogło wytłómaczyć w jego oczach coś podobnego, aby miał się przyznać, iż jest strudzonym. To też Sabina, która wybornie znała tę słabą stronę ojca, i w razie potrzeby korzystała z niej, najmniejszym słówkiem nie dała mu poznać, iż odkryła tajemnicę tej wieczornej siesty przy kominku. Nie chciała się bowiem pozbawiać tej jednej swobodnej i spokojnej godziny będącej dla niej zbytkiem prawdziwym.

Sabina nie była marzycielką z natury. Zresztą dosięgła już wieku, w którym serce kobiety, jeśli nie zaspokoilo swoich pragnień najsłuszniejszych, nie może już oddawać się marzeniom, a nie chciała popaść w czułośćkowatość, będącą ostatniem schronieniem dla niewiniątek o siwych włosach. Miała lat trzydzieści, a nie była zamężną. Lecz nigdy nie poczuła próżni ani w sercu, ani w życiu. Nic u niej nie było powierzchownego; jej uczucia były głębokie, przekonania niewzruszone. Miała odrazę od rzeczy niepewnych i próżnych; nie dowierzała uczuciom, których jasno określić nie mogła. Szczególniej też nienawidziła kłamstwa pod jakąbądź formą, oburzała się przeciw wszystkiemu, co się jej wydało fałszywem lub sztucznem. Surowa dla samej siebie, sądziła, że jest w prawie być nią dla innych; lecz nie było błędu, którego by chętnie nie przebaczyła w obec szczerzego wyznania. Nieszczerość czyniła ją nieubłaganą. A jednak... całe życie spędzić miała na ukrywaniu uczuć najgłębszych... ona, co nigdy pojąć nie mogła udania. A tak się przyzwyczaiła panować nad sobą, iż nie jeden dyplomata pozazdrościłby jej tego spokoju pozorowego, z jakim odnosiła zwycięstwo, lub znosiła porażkę w codziennéj prawie walce przeciw powadze ojcowskiéj. Nie lubiła pytać o radę, lecz sama przez rozumowanie zwykle rozwiązywała najtrudniejsze zagadki, jakie na swój drodze napotkała. Kiedy uczyniła jaki projekt, żadna trudność powstrzymać jej nie mogła; szła prosto do celu, naprzód poruszając cały arsenał drobnych swych środków, i śmiało posługując się dziwactwami swego ojca w walce z nim. Lecz gdy odniosła zwycięstwo, była tyle wspaniałomyślną, iż nigdy tego poznać nie dała, tak dalece, iż ojciec, którym kiero-

Dodatek Tyg. Pow. Nr. 38. („Kłamstwo Sabiny“ Ark 2).

wała upartą swoją energią, miłem cieszył się złudzeniem, iż jest wyłącznym panem u siebie.

Był-to charakter prawdziwie mężki, który się usadowił w sercu kobiecem. Dobra, uczynna w każdym razie, lecz nie oszczędzała nikogo i kto zawinił, porządną zawsze otrzymał burę. Nawet sam pan de la Rullière nie wyrażał tak energicznie swego niezadowolenia. Ponieważ Sabina wiedziała zawsze dokładnie, czego chce, a czego nie chce, więc objawiała swoje myśli szorstko ze szczerością, która z początku dosyć raziła. Lubiła mówić ludziom w oczy zdanie, jakie ma o nich, i nie szczędziła im przykręj prawdy. Naturalnie przy takim charakterze szanowano ją raczej, niżeli kochano; służono jęj bardziej przez szacunek, niżeli z przywiązania, lecz służono dobrze, a ona też niczego więcej nie żądała. Nadto gdy rozkazy, które wydawała, były zawsze rozsądne i logiczne, więc jęj chętniej służano, niż ojca, którego wymagania przesadzone i sprzeczne wtedy tylko stawały się możliwe do wykonania, gdy przeszły przez usta Sabiny. Sam uznał to po cichu, tak dalece, że istotną powagę w zamku stanowiła Sabina. Pan de la Rullière byłby piorunował i cały świat do góry nogami przewrócił, gdyby mu kto powiedział, że wszystkie jego czynności kontroluje córka. Na szczęście dla Sabiny nikt się taki nie znalazł, coby mu zrobił tę uwagę. Wybuchy nawet ojca posłużyły jęj za broń przeciwko niemu, gdyż niezmiennie pozostała zawsze panią siebie w obec jego gniewu, a doświadczenie stokrotnie przekonało, że między dwiema osobami odmiennego zdania, ta która się unosi, kończy zwykle na tém, że nie ma słuszności, choćby ją nawet miała w początku rozprawy.

A p. de la Rullière zawsze się gniewał. Był-to jego stan normalny, takiego był temperamentu. Nie usiłował nawet poprawić się z tęj wady tak samo, jak nie myślał o zmianie koloru swych oczu. Przyszedszy do wieku rozumu ani jednego wysiłku nie uczynił, żeby złagodzić swoją porywczosć gwałtowną. Owszem wraz z wiekiem wada ta zwiększała się i stawała się wstrętniejszą. Co uwydatniała tęj jego cała powierzchownosć.

Był-to starzec szorstki, dobrze zbudowany, wysoki, z nosem haczykowatym, włosy rdzawo-siwe krótko ostrzyżone, wąsy najeżone i brwi krzaczyste, które będąc prawie zawsze ściągnięte połączyły się wreszcie. Koścista jego czworograniasta czaszka musiała być twardą, jak kamień. W ogóle nienawidzono go z jakie dziesięć mil wokoło; dzieci wioskowe skoro go tylko ujrzaly, kryły się po kątach.

Będąc synem ojca lekkomyślnego i rozrzutnego, który głazdziutko strwonił przynajmniej trzy czwarte swojego majątku, odwrócił znane przysłowie, bo tu syn skąpiec nastąpił po ojcu rozrzutnym. Gdy przez śmierć skostniała delikatna ręka szlachcica, w której palcach pieniądze się ulatniały, schwycił żelazną dłonią resztki ojcowizny, postanowiwszy sobie odzyskać majątek. Celem jego dumnych zabiegów nie były pieniądze, ale ziemia. Chciał być bogatym nie po to, aby używać, gdyż żył skromniej od najbiedniejszego chłopca, zadawałając się na obiad kawałkiem czarnego chleba, skropionego lurowatem winem; nie dlatego, aby zbijać kapitały, gdyż żadnej spekulacji nie ufał; lecz jedynie w celu zaokrąglenia swojego dziedzictwa. Łaknął gruntu, jak chłop prawdziwy. Nie było dla niego większego szczęścia, jak wtedy, gdy za tanie pieniądze mógł nabyć kilka zagonów pola lub kawałek łąki. Nie obchodziło go wcale, jeśli dla zrobienia dobrego interesu korzystał z nieszczęścia jakiego biedaka, którego czekała śmierć głodowa, wyganiał bez litości dzierżawcę, który zalegał w opłacie czynszu. W dniu, kiedy mógł dokonać tego rodzaju operacji, czuł się szczęśliwym, jak Tytus (cesarz rzymski), wieczorem po spełnieniu dobrego czynu. Nie była-to żadna ambicya, która go popędzała, lecz poprostu chciwość, żądza posiadania na własność, zupełnie podobna do téj gorączki, jaka trawi skąpca, gdy w stosy układa sztuki złote. Nie dbał o opinię publiczną. Nie pragnął mieć wpływu w swoich stronach, nie chciał, aby go za kogoś lub za coś uważano. Pewnego dnia podsunęto mu myśl, aby się podał za kandydata do izby deputowanych. Odmówił stanowczo. I na co mu to? Jak uda się do Paryża, aby rozprawiać o cudzych sprawach, któż będzie czuwał nad jego własnymi? Kto będzie czatował na sposobność nabycia kawałka gruntu? Kto chodząc będzie około nieskończonych procesów? Kto będzie pilnował winobrania lub siano-zbioru? Ktoby ważył wełnę jego owiec? Wtedy nie miał jeszcze Sabiny, drugiego samego siebie, a najmniejszej nie miał ufności w rządcy, którego musiałby sobie przybrać.

Trudno pokochać człowieka z takim charakterem, to téż nie myślał o tém wcale, kochając jedynie samego siebie. A miał na to dosyć czasu. Ożenił się bardzo późno, długo ociągając się nad wydatkami i ambarasem, jakie koniecznie spowodować musi obecność żony w Roullière. Jednego dnia przecież powiedział sobie, że przydałby mu się syn, coby mu pomagał w ciężkiej pracy, gdy się podstarzeje, jaki Albibin de la Rullière, którego wychował na swój sposób, przeznaczył na swojego następcę, a za życia jeszcze

miał z niego pewien rodzaj ekonoma. Opatrzność zapewne nie omieszka zastosować się do jego projektów, i obdarzy go synem, którego matkę wyobrażał sobie jako nieunikniony przydatek pełen nieprzyjemności. Zważywszy dobrze *pro i contra*, gdy postanowił obdarzyć się dziedzicem, ogłosił, że pragnie się ożenić. Miał tylko trudność w wyborze. Od lat dwudziestu był on upragnionym celem wszystkich matek, mających córki na wydaniu. Wiedzano że jest bogatym, statecznym aż do zbytku, nie mającym nawet cienia grzechu jakiego w swoim życiu, i nie wahano się dodawać, że małżeństwo złagodzi szorstkość i dzikość jego charakteru. On, należycie sprawdzwszy, iż w całym sąsiedztwie nie było ani jednej posiadłości, którąby przez matrymonialny związek było możliwem lub korzystnem przyłączyć do swojej, dał pierwszeństwo największemu posagowi. To był wzgląd jedyny, który kierował jego wyborem.

Zdarzyło się właśnie, że ta, co przynosiła mu największy posąg w swój drobnój dłoni, była przesliczna, ośmnasto-letnia dziewczyna — on miał lat czterdzieści — jasna blondynka, świeża i różowa jak jutrzienka, o błękitnych oczach, w których łzy mieszały się z uśmiechem, charakteru łagodnego, bez żadnej energii, prawdziwe serce woskowe, w którym każde wzruszenie pozostawiało głębokie, bolesne ślady. Naturalnie istota taka musiała zmarnieć pod uciskiem żelaznego jarzma. Albin de la Rullière spostrzegł zapewne, że ona dla niego była za piękną i za młodą, wahał się przez chwilę, lecz wnet uspokoił się, powiedziawszy sobie, że jest potulną, więc słuchać go będzie, a to rzecz najgłówniejsza, reszta mało go obchodziła. Zaraz w pierwszym dniu umiał ją natchnąć takim strachem, że biedaczka nigdy sobie nie pozwoliła odmiennego z nim być zdania. Zamknęła się w sobie i w cichości polykała łzy, które on jój wyrzucał jak największą zbrodnię; pogrążywszy się w niemój rozpacz, żyła jedynie życiem fizycznym w szarym zmroku wielkiego zamku. Jednostajność bytu wiejskiego szlachcica zabijała ją, bo ten nie znał żadnych przyjemności, prócz, i to rzadkich, bardzo hałaśliwych zebrzań myśliwych, od których ona bezwarunkowo była wyłączoną.

Gorzkie łzy lała przy urodzeniu córki swój Sabiny, ponieważ p. de la Rullière bynajmniej nie ukrywał swego niezadowolenia. Czynił ją odpowiedzialną za doznany zawód i nieszczęśliwy jój dotkliwych wymówek. Lecz gorzej jeszcze było, gdy po czternaście latach daremnych żalów i gorzkich wyrzutów, druga istotka zapukała do drzwi życia, które tak mało było godnem zazdrości dla biednej matki.

Gdy jęj powiedziano, że wydała na świat córkę, poczuła, że nie ma już ani łez ani sił do zniesienia tego nowego zawodu. Poczowała, że umiera, żal jęj było tylko, że nie może zabrać z sobą do innego lepszego świata tęj biednej istotki, którą jęj ojciec powitał przekleństwem. Któż ją więc będzie bronił i osłaniał przeciw jego niezyczliwości? — pytała nieszczęśliwa wśród grozy konania.

Sabina, która wtedy miała już czternaście lat nie spuszczała wzroku z twarzy umierającej matki. Czarne, duże oczy dziewczyny zdawały się wyraźnie czytać całą jęj myśl. Sabina nie była ani pieszczotliwą, ani rozczulającą się. W tęp zanadto była podobną do ojca; lecz jeżeli mało mówiła, serce jęj czuło głęboko. To co jęj zbywało na czułości wynagradzała energią. Nigdy nie pieściła się z matką, lecz w tęp uroczystęp chwili pochyliła się nad nią, a obejmując rękami drobniuchne stworzenie, na jęj łonie spoczywające, rzekła:

— Bądź spokojną mamó. Jęj szczęście będzie mi droższem, niż własne; przyrzekam ci to.

Błyskawiczny połysk uczucia i wdzięczności rozjaśnił rysy umierającej; potem zamknęła na zawsze te biedne oczy, które się tyle napłakały.

Od tego dnia jedyną troską, jedynem zajęciem dla Sabiny była jęj siostrzyczka.

Stara panna z sąsiedztwa, panna Florymunda des Alais zapragnęła być matką chrzestną malęp sierotki. Znała ona smutne tajemnice życia, które przedwcześnie zgasło i przwidывała, że nie mniej smutny będzie wiek dziecinny jęj córki chrzestnej, ofiarowała się więc, że ją ze wszystkim weźmie do siebie. Pan de la Rullière z pośpiechem przyjął tę ofiarę. Lecz wtedy Sabina, z dziecka jakim była, naraz stała się kobietą. Po raz pierwszy osmieliła się stawić opór ojcu, i stanowczo oświadczyła, że nigdy się nie zgodzi na powierzenie siostrzyczki komukolwiek, że sobie pozostawia staranie wychowania jęj, biorąc na siebie odpowiedzialność za spełnienie tego obowiązku.

Panna Florymunda nie nalegała, pojęła bowiem dobrze, że to dziecię stanie się celem i zajęciem dla Sabiny, której serce z braku tego przywiązania mogłoby zeschnąć w tęp atmosferze przymusu i egoizmu.

Co do p. de la Rullière ten spojrział na córkę z takim zdziwieniem, iż literalnie zapomniał języka w gębie. Sabina domysliła się, że coś popełniła nadzwyczajnego, nie zmieszała się jednak i zachowała taką pewność siebie, że p. Rullière uczuł, że po raz pierwszy w życiu spotkała go opozycya pod własnym dachem.

Sabina rozumiała całą ważność przyjętej na siebie odpowiedzialności, możnaby powiedzieć, nie miała młodości wcale. Bo też i wcześniej dojrzała wśród brutalnych wybuchów gniewu ojca lub jego dąsań się dzikich, a przy powolnem, moralnem konaniu matki. Pomimo wszakże całego dla niej uszanowania, nie była ślepą do tyła, aby jej wad postrzedz nie miała, a wadą w oczach energicznej Sabiny była jej bierna pokora. Dużo się ona zastanawiała, nie zapalając się przecież i nie unosząc nad niczem. Gdy chwila działania nadeszła, była zawsze gotową. Postanowiła sobie, że nie będzie za nic uważaną w domu, jak była jej matka. Przekonała się zaś, że jedynym środkiem dla zapewnienia sobie powagi było stać się potrzebną, konieczną nawet.

I stało się tak, że niebo odmawiając panu de la Rullière syna, na którym mógłby polegać, jakby w nagrodę za ten zawód, obdarzyły jego córkę takimi zdolnościami, które jak sobie pochlebiał, byłyby udziałem syna. Za swego życia p. de la Rullière zajmowała się edukacją Sabiny i znajdowała w niej zawsze bardzo mianą uczennicę. Umysł dziecka buntował się przeciw edukacji czysto-kobiecej, a taką właśnie była ta, którą jej udzielić matka usiłowała. Kiedy była zostawiona sama sobie, bo co do p. de la Rullière ten sądził, że kobieta zawsze umie dużo i nie myślał nigdy o dopełnieniu edukacji swjej córki, Sabina kształciła się na swój sposób, ucząc się tylko takich rzeczy, które ją istotnie zdolniejszą czyniły. Wynikło ztąd wykształcenie wcale niezwykle, jak na kobietę. Wertując często książki ojcowskie, które wyłącznie miały za przedmiot rolnictwo, prawo rolne i tym podobne kwestye, wpytując się na prawo i lewo dzierżawców i chłopów, doszła w końcu do tej doskonałości, iż mało co było jej nieznanem w administracyi rolniej. Dołączywszy do tej nauki objęcie łatwe, zdrowy rozsądek i tę zawsze spokojną pewność samej siebie, na której ojcu jej zbywało, nabyła takiej biegłości, iż lepiej od niego znała wiele szczegółów dotyczących majątku.

Zdziwiło go wielce gdy pewnego dnia ofiarowała się mu do prowadzenia jego rejestrow. Z początku sądził, że sobie z niego żartuje, i już gotów był wybuchnąć gniewem. Potem odmienił zdanie. Przed niedawnym czasem zauważył szczególniejszą jasność z jaką jednemu z sąsiadów wyłożyła wszystkie fazy pewnego procesu. A potem ten opór, jaki mu często Sabina stawiała, ta energia, z jaką swoje zdanie przeciwko niemu utrzymywała, natchnęły go pewnym szacunkiem dla starszej córki... Takie-to już serce ludzkie! Powiedział sobie wreszcie, ponieważ los niegodziwiec

zrobił mu na złość odmawiając syna, czy nie byłoby coś zabawnego w tej myśli, aby podstawić swoją córkę starszą w miejsce tego syna, który się nigdy nie chciał urodzić. Ta myśl podobała się mu i przyjął ofiarowane usługi Sabiny. Sądził, że tym sposobem zadzwierzy sobie z losu. Ponieważ zawsze marzył, że z syna zrobi sobie pewnego rodzaju intendenta, więc Sabinę wyniósł na to honorowe miejsce. Miała lat szesnaście, gdy się oddała mozołnym prozaicznym zajęciom, które zastąpiły jej owe radosne godziny, o nie się nietroszczącej młodości.

Co do młodszej córki, p. de la Rulière prawie zapomniał o niej. Sabina wszelkich dołożyła starań, aby dziecko usunąć z przed oczu ojcowskich.

Dziewczynka rosła tymczasem. Gdy miała lat siedm, Sabina uczuła pewne skrupuły. Jasno zdając sobie sprawę ze szczerb swojej własnej edukacji, pojęła, iż nie będzie w stanie pokierować edukacją siostry. A zresztą miała zbyt mało czasu, aby go mogła poświęcić dziewczynce, która wciąż między sługami przebywając, uciekała zawsze, skoro ojca postrzegła. Bez zabawek, bez towarzystwa dzieci w równym z nią wieku, najsmutniejsze miałyby dzieciństwo, gdyby nie niewyczerpane źródło rozrywek, jakich wieś dostarcza nam w pierwszych latach naszego życia.

## II.

Wzrastała wśród kur i król ków, nie odznaczając się przecież tem silnem zdrowiem, jakim zwykle obdarza powietrze wiejskie. Była-to drobniutka istota o cerze przezroczyściej, o włosach blond, czerwonego koloru, które podobne do strugi złotej spływały po jej delikatnych ramionach. Podobną była do matki, lecz z większą wyrazistością rysów swjej różowej twarzyczki, i z głębszem spojrzeniem oczu dużych siwego koloru. Sabina widziała dobrze, że to dziewczę nie posiada ani jej nieugiętej energii, ani jej żelaznego zdrowia, i w niczem do niej nie jest podobną. Nie będzie z niej nigdy taka wiesniaczka, jak ona; postanowiła też wnet iż nie może dać jej większego dowodu przywiązania, jak oddalając ją z domu ojcowskiego i to w czasie niedługim.

Pewnego wieczora, kiedy p. de la Rulière siedząc przy ko-

minku, zapijał kawę, jedyna chwila wypoczynku, którego pozwał sobie w ciągu dnia całego, Sabina rzekła od niechcienia:

— Wyjeżdżam do Paryża.

Pan de la Rullière na seryo sądził, że ona zwaryowała.

— Zdaje się nawet, że wezmę z sobą Florę — spokojnie mówiła dalej Sabina.

Pan de la Rullière uznał, że właściwa chwila wybuchu nadeszła.

Sabina przeczekała burzę; poczem podała drugą filiżankę kawy, zastępując pierwszą, którą p. de la Rullière wywrócił w wybuchu swego zdziwienia.

— Widzę, że twoja pamięć ojczyźnie nie jest tak dobra, jak moja — wyrzekła potem z największym spokojem.

— A to co! kiedyż skończysz z tą twoją mistyfikacją? — wołał p. de la Rullière zrozpaczony.

— Ależ to żadna mistyfikacja z mej strony. Owszem mówię na seryo i bardzo na seryo. Zapomniałeś zapewne, że w chwili śmierci mojej biednej matki, siostra jej, ciotka d'Essé, zapraszała nas do siebie.

— Oh! jeśli o to rzecz idzie — sztychł sobie p. de la Rullière — to i owszem radzę ci przyjąć to zaproszenie! Korzystaj z niego, chociaż się ono podstarzało trochę przez lat siedm, zwłaszcza téż, że nie raczyłem odpowiedzieć na nie, gdyż było pisane w tonie tak słodkawej litości, jakby chciano dać mi uczuć... słowo honoru!... że tu głównie idzie o wyswobodzenie nieszczęśliwych moich dwóch córek z pod tyrańskiego despotyzmu barbarzyńskiego ojca... No, zapewne, to cię upoważnia do spadnięcia jak burza i rzucenia się w objęcia téj Paryżanki i oddania siostrzyczki pod jej macierzyńską opiekę? Wszak do tego zmierzasz, jak myślisz? Trzeba więc było odrazu przyjąć propozycję téj staréj waryatki, Florymundy, a nie czupurzyć się jak młody kogut na tę ofiarę, która w gruncie rzeczy była bardzo rozsądną.

— Zaproszenie pani d'Essé datuje się dopiero od wczoraj — rzekła Sabina zawsze jak najspokojniej. — Otrzymałam od niej odpowiedź na mój list pisany do niej.

— I ty osmieliłaś się pisać do niej bez mojego pozwolenia? — krzyknął pan de la Rullière. — Ah! doprawdy! to już za-nadto!

— Pani d'Essé jest siostrą moją matki... — rzekła Sabina.

— Eh do kaduka! Wiem ja o tém nadto dobrze, a właśnie jest-to jeden z powodów, dla którego nie pojedziesz do niej.



— A ona nie ma dzieci... — mówiła Sabina tym samym tonem.

— To i cóż z tego? — odrzekł szorstko p. de la Rullière, nie pojmując do czego zmierzała.

Sabina zawahała się. Czowała odrazę od wypowiedzenia interesownego powodu, który na nią żadnego wpływu nie wywierał lecz była przekonana, że na ojca potężnie oddziała.

— I żadnych spadkobierców pośrednich — dodała ciszżej, jakby z pewną niechęcią.

Pan de la Rullière zastanowił się, uderzony nową myślą. Mając urazę do pani d'Essé, której interwencya wydała się mu tak obrazliwą, widział w niej zawsze jedynie spółniczkę żony, z którą się porozumiewała, udaremniając jego nadzieje, i urągając nie jego władzy. A oto naraz, Sabina odkrywa w niej ciotkę, spadkodawczynię!

Uśmiech zadowolenia podobny do wstrętnego skrzywienia się wyciągnął wazkie usta p. de la Rullière.

— Bravo, moja córko! — zawołał, pozdrawiając z ironią Sabinę. — Cudownie! Winszuję ci, winszuję, jesteś przebieglejszą, niżeli mniemałem. Ah, Sabino, jaka to szkoda, że jesteś kobietą! Myślałem zawsze, że gdybyś była chłopcem, tobyśmy we dwóch wielkich rzeczy dokonać mogli! W końcu zakupilibyśmy cały departament. Jedź sobie, moja córko, jedź! A ta pani d'Essé jaki téż ona może mieć majątek?

Pan de la Rullière rozweselony perspektywą bogatego spadku, gdyż ani wątpił, że on musi przejść przez jego ręce, uważając się prawie za nieśmiertelnego, zapuścił się wprzeróżne spekulacje. Potém raczył dawać Sabinie rady, w jaki sposób ma odbyć podróż, nie uważając nawet za zbyt wielką sumę, której od niego zażądała.

Sabina więc wyjechała do Paryża ze swoją siostrzyczką i starą służką. Panu de la Rullière nie przyszło weale na myśl, iż byłoby daleko przyzwoiciej, żeby sam towarzyszył córkom. A Sabina strasznie unikała, aby mu téj myśli nie podsunęto.

Sabina miała wtedy lat dwadzieścia.

Była w samym rozkwicie świeżości, siły i piękności. Smagła jak topola, wznosiła do góry czoło zwieńczone bujnym czarnym włosem; szeroką piersią wciągała w siebie powietrze i życie; cała jej osoba tętnęła tem zdrowiem i czerstwością, która nam na myśl przywodzi wieś i powietrze wolne. Był to przesliczny kwiat polny, pełen zdrowia i kraszy, zostający w rażącej sprzeczności z powierzchniowością delikatną i poetyczną jej małej siostrzyczki. Silna ta, a jednak pełna wdzięku roślina, miała w sobie coś uspakajające-

go. Czuć było, że ona zdolną osłonić i podtrzymać tę wątłą istotę, która domagała się jęj opieki i wsparcia. Czarne oczy Sabiny połyskiwały ciągłym blaskiem, spojrzenie jęj pełne stanowczości i energii czyniło ją starszą niż jęj lat dwadzieścia, a kiedy uśmiech uchylił jęj usta purpurowe niby granat rozkwitły, ukazując zęby olśniewającęj białości, uśmiech ten był za poważny, jak na usta kobiecee.

Przybywała do Paryża z całą naiwnością nieświadomości prowincjonalnej. Wszystko tu było dla nięj nowością, wszystko ją zajmowało. Lecz wiedząc dobrze, po co tu przyjechała, ani na chwilę nie zapomniała o swoim celu. Była w tém podobną do ojca, że wszystko obliczała, lecz w tem się od niego różniła, że celem tego rachunku nigdy nie był interes własny.

Powiedziała sobie że pani d'Essé przywiąże się może do małeńkiej sieroty. W Paryżu znajdzie Flora wszelkie środki edukacyi, którejby nigdy dać jęj nie mogła w Rullière. Wiedziała, że nic nie umie; czuła, że nie miała młodości; marzyła więc, aby jęj dziecko ukochane, było w młodości wesole i szczęśliwe, aby wyuczyło się tego, czego jęj nigdy nie uczono. Lecz wprzód nim się rozstanie ze swoją córką przybraną, nim ją powierzy w obce ręce, pragnie się sama, jakby naoocznie przekonać, że działa dla jęj istotnego dobra. Postanowiła nie wprzód zwierzyć się ze swemi projektami ciotce, aż ją dobrze pozna.

Pani d'Essé, bardzo przyjemna wdówka, która dochodziła już pięćdziesiątki, była o tyle żywą, dowcipną i pociągającą, o ile jęj nieboszczka siostra bladą, smutną i znękaną. Nie miała nigdy dzieci, więc nie doznała trosk żadnych; żadna się zmarszczka nie zarysowała na jęj miłęj, różowęj twarzyczce, pulchnej, zawsze uśmiechniętej, otoczonęj mnóstwem siwiejących loczków, pomiędzy któremi pod osłoną czepka znalazł się zawsze jakiś fiołek lub róża. Była-to dobroć i miłosierdzie uosobione. Żaden koncert, żaden bal na cel dobroczynny nie odbył się bez jęj współudziału. Była prezydującą w instytucyi żłobków, sekretarką zakładu S-tęj Anny, i członkiem przeróżnych towarzystw dobroczynnych. Kobieta wielce pobożna, miłosierna, ale przedewszystkiem kobieta wielkiego świata. Zaniesć pomoc jakiemu biedakowi, nie odstręczało jęj wcale, lecz sama myśl spędzenia, choćby jednego wieczoru sam na sam z sobą tylko, nabawiała jęj bólu głowy tygodniem naprzód. Nie będąc zbyt wymagającą w wyborze, a z listy zaproszonych wykreslając tych tylko, którzyby innych zmusili do uciezki, stworzyła jeden z najpiękniejszych salonów paryskich. Ten salon był jęj dzieckiem najukochańszem, jęj dumą, jęj chlebem

powszednim; wszyscy się też zgadzali, że niepodobnem było znaleźć miłszej nad nią i taktowniejszej pani domu,

Z otwartemi rękami przyjęła obiedwie sieroty i łzę otarła bardzo szczerą, całując Florcię, która, jak mówiła, żywo przypominała jej biedną siostrę. Cóż-to za szczęście dla niej, że będzie mogła pielęgnować tę ukochaną istotkę, która wydaje się tak delikatną, a nigdy pieśczoć matki nie poznała. Z jakąż radością poprowadzi ją z sobą na sesyą do S-jej Anny. Jakże się nią cieszyć będą wszystkie te pani! Kochana malutka, jakże musiały smutnie upłynąć jej lata dziecinne. Nic też dziwnego, że jest taka blada i przezroczysta. Pewnie jej na wszystkiem zbywało, tak jak jej biednej matce, którą skąpstwo i brutalność męża do grobu wpędziły.

Pani d'Esse nie spostrzegła się, że ją trochę zadaleko uniosła wyobraźnia. Zdziwiła się więc bardzo, gdy Sabina, która aż dotąd słuchała jej milcząc, odezwała się chłodno.

— Mylisz się moja, ciociu! Mama nigdy nie znosiła żadnego materialnego niedostatku tak samo, jak ja.

I wyprostowała się dumnie.

Pani d'Essé spojrziała na nią ze zdziwieniem.

Ta wysoka dziewczyna, świeża i rumiana, jak bukiet kwiatów polnych, w skromnej sukience, przy szorstkości prowincjonalnej pierwszemu zaraz słowem jej poznać, jej, kobiecie światowej, że postąpiła sobie nietaktownie. Było w tem coś upokarzającego dla niej, lecz wkrótce inne uczucie przyłączyło się do uwagi, z jaką spoglądała na tę swoją siostrzenicę, która tak mało była podobną do obrazu, jaki sobie o niej zdaleka utworzyła. Powiedziała sobie, że ta szczerosc w postępowaniu, ta otwartosc, z jaką Sabina wygłaszała swoje przekonania, były czemś nowem i bardzo oryginalnem. Zauważyła, w jak naiwny sposób był spleciony warkocz Sabiny, zauważyła ceremonialną powagę jej ukłonów, które ją czyniły podobną do młodej matki, i przyrzekła sobie bynajmniej nie zmieniać tej wieśniaczki na Paryżankę. Był to nowy żywioł bardzo świeży, który mogła wprowadzić do swojego salonu jako technienie pól wiejskich, aby jego aromatem goście jej napawali się z wolna. Będzie się popisowała przed niemi kapryсами i naiwnością Sabiny dla urozmaicenia ich rozrywek, tak jak sprowadzała im od czasu do czasu wziętego tenora lub *słowiaka o dwóch głowach*.

Sabina za mało miała doświadczenia światowego, za mało znała przyjęte zwyczaje, aby postrzegła zaraz, jaką rolę przeznaczono jej do odgrywania. Chwiejną nogą stawała na tym nowym

gruncie i postępowała na los szczęścia, jak podróżnik, który się zapuścił w krainę, której nie zna ani języka ani zwyczajów. Co krok potykała się o jakąś zawadę, obrażając konwenanse salonowe, co wywołało tylko uśmiech, ponieważ była piękna i młoda, albo też wyrwała się z jakąś naiwnością pensyonarki, czemu przyklaskiwano jakby powiedziała coś oryginalnego i zajmującego.

Lecz ponieważ przybyła do Paryża nie po to, aby się bawić, a tém mniej, aby bawić innych, wnet się przekonała, że to wszystko czcze i powierzchowne. Pod osłoną tych gładkich niedorzeczności dostrzegła zasadzki i szkopyły, których bytności nigdy się nie domyślała. Jój zdrowy, niczem niezamącony rozsądek wskazywał jój coś upokarzającego w téj ciekawości, której ona była przedmiotem.

Zaledwie dwa tygodnie bawiła u pani d'Essé, a już żałować zaczęła swojego przyjazdu. Uczuła, że cel jój odwiedzin został chybiony. Nigdyby się nie zgodziła na pomieszczenie Florei w ręce ciotki.

Pani d'Essé miała ustaloną reputacyę, jako jedna z zasłużonych swatek; ztąd też cały rój młodych panienek miała pod ręką. Sabina powiedziała sobie, iż jeśliby miała widzieć Floreię podobną do tych laleczek, które uwijały się koło jój ciotki, toby wolała raczej zamknąć ją w Rullieré na całe życie. Miała przesadną skromność prowincjonalną, gorszyło ją wiele rzeczy, na które nawet nie zwraca uwagi żadna panna wychowana w salonach. Wszystkie kobiety otaczające ją, wydały się jój, jak zalotne, lekkomyślne i przesadne. Chciała, aby jój Floreia była wykształconą, aby mogła błyszczeć w salonie i w potrzebie umiała przetańczyć kadryla, rzecz bardzo dla niej skomplikowaną, trudniejszą od najbardziej zawikłanych procesów pana de la Rullière; lecz żeby zrobić z tego dziewczęcia tak niewinnego, tak łagodnego, jedną z tych pannen tak straszliwie wydekoltowanych, umiejących tylko, jak jój się zdawało, tylko walcować, szeptać i śmiać się po za wachlarzem, na to oburzała się, pragnęła raczej, iżby została taką wieśniaczką, jak ona i co rychléj wracała do Rullière.

Oto mniej więcéj do jakiego przyszła wniosku, lecz chciała być pewną, że się nie myli, aby sobie oszczędzić żalów na przyszłość. Pani d'Essé zachwycona tem, że obecność jój siostrzeniec dodała życia jój domowi, a szczególniej, że znalazła pozór do różnych wycieczek i spacerów, wszelkimi dokładała starań, aby je zatrzymać przy sobie, Sabina wszakże była zbyt rozsądną, aby wiązać się miała jakimi obietnicami, a tem bardziej ani słówka nie wyrzekła, któreby zdradzało jój nadzieje, jakie powzięła przez

chwilę co do Flory. Świat, w którym teraz żyła przerażał ją, chciała go jednak poznać dokładniej, nim na zawsze opuści. Pani d'Essé aż nadto dostarczała jej ku temu sposobności, biorąc ją wszędzie z sobą, zarówno do teatru jak do kościoła, na bale i zebrań pań miłosiernych.

Pewnego wieczoru towarzystwo w salonie pani d'Essé zebrało się niebardzo liczne, więc rozmowa zawiązała się ogólna. W liczbie gości znajdował się autor pewnej sztuki, którą w owęj chwili cały Paryż się zajmował. Każdy dawał o niej swoje zdanie przepelnione pochwałami, albo też pozwalał sobie wystąpić z lekkimi zarzutami, o których wiedział naprzód, że z łatwością odparte zostaną, jednym słowem była-to krytyka życzliwa, jaką można jedynie wygłosić w obec autora w salonie dobranego towarzystwa.

Rozmowa zaczęła słabnąć.

Pani d'Essé wyczerpała swoje pomysły, a nie wiedząc, jak ją ożywić, wpadła na myśl wezwania Sabiny, która siedząc w kącie wcale się nie odzywała.

— Brak nam jeszcze jednego zdania o sztuce pana \* \* \* — rzekła. Moja siostrzenica nie wypowiedziała swojego.

— Ba! — alboż ma jaką wartość zdanie takiej jak ja wieśniaczki? — rzekła dość szorstko Sabina.

— Zostaw pani nam sąd o tem — rzekł autor.

— I pan chcesz szczerego, otwartego zdania mojego? — zapytała Sabina.

— Szczerosc pani tém pochlebniejszą będzie dla mnie, chociażby nawet była surową — odrzekł uprzejmie autor, będąc z góry przygotowanym na jaki ostry docinek.

— A więc dobrze, mój panie — rzekła Sabina, patrząc mu prosto w oczy. — Otóż jestem zdania, że pan masz strasznie pogardliwą opinię o nas wszystkich, tak mężczyznach jak kobietach, skoro pozostawiłeś nas przez dwie całe godziny w towarzystwie niecnych ludzi, których nam zaprezentowałeś; zdaje mi się, żeśmy wszyscy powinni się rumienić, przyklaskując sytuacyom drażliwym, którychbyśmy się wstydzili w życiu rzeczywistem. Słyszę, że społeczność jest zepsuta. A któż temu winien, jeśli nie wy, i wam podobni?

— Sabino, unosisz się! — rzekła łagodnie pani d'Essé, żałując po niewczasie, że wyprowadziła siostrzenicę na pole osobistości. Lecz nie tak łatwo mógł ktokolwiek powściągnąć Sabinę, gdy się raz rozpedziła. Była w tem podobną do ojca.

— Znajduję — mówiła dalej głosem nieco ochryplym z oburzenia — znajduję, że niepodobna być zdrowym na duszy i ciele, skoro się oddycha tak zatrutem powietrzem. Jeśli chcecie przyzwyczać nas, abysmy bez zarumienienia się słuchały rzeczy nieprzyzwoitych, podobnych do tych, jakie słyszeć muszę od czasu do czasu, jak tu się znajduję, to nie macie prawa żądać od nas, abysmy pozostały uczciwe i niewinne. Byłoby to samo, co żądać, abysmy nurzały się w błocie, nie zbrudziwszy się niem.

Pani d'Essé próbowała uśmiechnąć się.

— Spodziewam się, że pan będziesz miał za wytlómaczoną moją dziką siostrzeniczkę—rzekła do autora.

Ten uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Na szczęście, mogę panią zapewnić, że żadna z tych scen, które panią tak mocno oburzyły, nie jest moim pomysłem—rzekł— i że cała sztuka moja aż do najdrobniejszych szczegółów, jest wiernym obrazem tego, co się spotyka w życiu rzeczywistem. Wszystkie te rzeczy, które panią rażą, niestety! codziennie wydarzają się w świecie.

— Więc to, co pan nazywasz światem, jest rzeczą smutną i odpychającą, stokrotnie przekładam nad niego towarzystwo kur i krów, do których myślę jak najprędzej powrócić.

Pani d'Essé widząc, że niepodobienstwem powstrzymać dziwaczne porywy siostrzenicy, zręcznie odmieniła przedmiot rozmowy i przyrzekła sobie być ostrożniejszą na przyszłość. O czem innym mówić zaezęła. Biedna Sabina, czując się w nienajlepszym humorze, pozostała sama w swoim kąciku.

Rozmowa ta była ostatnią kroplą, która przepełniła naczynie. Sabina przestała się wahać, lecz przechyliła się na stronę energicznego swojego postanowienia. Chciała nazajutrz wyjechać z Paryża, uwołąc ze sobą jak najprędzej swoją siostrzyczkę, która nie powinna wyrastać w tój atmosferze zepsucia.

— I bardzo słusznie pani sobie postąpił—szepnął jój do ucha jakiś głos, który zdawał się odpowiadać jój myśli.

Odwróciła się i zarumieniła po same uszy. Ze wszystkich mężczyzn, których jój przedstawiono, polecając jój szacunkowi lub życzliwości, jeden szczególniej więcej ją zainteresował, niż inni. Odnaczał się on powściągliwością pełną godności; rzadko kiedy się odzywał, lecz każde jego słowo cechował rozum i szczerość. Roger Bargemont był jedyną osobą, której ona nie chciałaby porzucić, opuszczając Paryż. Pani d'Essé wymieniała go chętnie, jako młodzieńca mającego przyszłość, i mogącego świetną zrobić karierę.

W saméj rzeczy, z odznaczeniem skończył szkołę politechniczną. Sabina przecież nigdy go nie słyszała, aby się przechwalał z cudów, jakichby mógł dokonać, ani też nie wrywał się z dowcipnemi słowami kursującemi po salonach. Przez to tém więcej go szapowała. W oczach Sabiny, które nie dawały się olśnić pociągającą powierzchownością, powaga Rogera Bargemont, pokrywała istotną jego wartość. A przy tém wszystkiém był to piękny chłopiec, wysoki i dobrze zbudowany, a Sabina miała w sobie dosyć naturalności i moralnego zdrowia, aby mimowolnie nie miała podziwiać téj dumnej piękności męzkiej. Oddawna to czuła, że Roger się jéj podoba, ale nigdy sobie nie zadała pytania, do czego może doprowadzić ta sympatya. Sabina, która nie potrzebowała się wstydzić żadnego ze swych uczuć, otwarcie to wyznała przed sobą.

Dotknęło ją to bardzo, że pan Bargemont zatwierdził jéj projekt wyjazdu.

— Dla czego uważasz pan, że dobrze zrobię, opuszczając Paryż?—rzekła nieco ostro.

Postrzegł, że uraziła się, i spojrzał na nią ze złośliwym uśmiechem.

— Ależ pani sama to powiedziałaś. Jesteśmy zbiorem istot zepsutych i zarażonych, prawdziwym szpitalem, czy lazaretem, alboż ja wiem? Jedynym środkiem uniknięcia zarazy, jak się zdaje, jest jak najrychlej nas porzucić, aby się orzeźwić świeżem powietrzem. Co do nas biednych nieuleczonych, nam nie nie pozostaje innego, jak zanurzyć się w bagnie naszych nieprawości i występków, nie spodziewając się nawet, aby jaka litościwa dusza podała nam rękę, i z niego wydobyła.

Sabina spojrzała mu w oczy.

Pan sobie żartujesz ze mnie, wszak prawda? Sądzisz, że jestem niepobłażliwą, przesadną i bez miłosierdzia? Otóż jestem przekonana, że pan w głębi serca zgadzasz się ze mną, i gdybyś tak jak ja był odpowiedzialny za wychowanie dziewczęcia, żeby z niéj była kobieta uczciwa i niewinna, tobyś jak ja przeraził się na myśl, coby się z niéj stać mogło, gdyby się miała chować w miejscu, gdzieby wystawioną była na słuchania podobnie dziwnych rzeczy.

— A za pozwoleniem! Tak, zapewne, jestem zdania pani. Jakkolwiek ciotka pani jest osobą zaeną i szanowną, to przecież nigdy nie powierzyłbym jéj wychowania siostrzyczki, gdybym ją miał; zauważyłaś pani zapewne, że w tym salonie, jednym z najprzyjemniejszych w Paryżu—tego zaprzeczyć nie mogę—towarzy-

stwo jest dosyć mieszane. Przyznam się pani nawet, że mi żal się zrobiło téj biednej panienki, którą nadto dobrze ubierają, nadto późno każą jęj udawać się na spoczynek i przy której mówią o takich rzeczach, których nic na swoje szczęście nie rozumie.

— A więc pan pochwalasz mój zamiar, że ją chcę ztąd oddalić jak najprędzej.

— Ponieważ miałem zaszczyt powiedzieć pani przed chwilą, że masz zupełną słusność..

Sabina posmutniała nagle.

— Ha!—rzekła z westchnieniem — sama nie wiem dlaczego wyobrażałam sobie, że może w panu mam przyjaciela. Teraz widzę, że się pomyliła. Poniosę z sobą to rozczarowanie wraz z innemi, których porządny zapas zebrałem w czasie mojego tu pobytu. Spodziewałam się rady, a spotkało mnie szyderstwo.

Roger nagle spowaźniał. I on także się bawił porywczei wybuchami Sabiny; lecz gdy spostrzegł, iż jęj to wielką przykrość sprawia, ruszyło go sumienie. Jak wszyscy mężczyźni energiczni i dzielni, stawał się bojaźliwym wobec boleści kobiety; zdawało się mu w téj chwili, że widzi połyskującą łzę w oczach Sabiny. On także chociaż się śmiał z jęj niewczesnych uniesień, powziął przecież istotny szacunek dla téj zacnej, poczciwój duszy. Przykro mu było, że ją uraził. Usiadł przy niej na kanapie, na której siedziała, oddzielając się od reszty towarzystwa po za osłoną zieloności, ponieważ pani d'Essé zachowywała w swym salonie pełno takich tajemniczych kącików zachęcających do zwierzeń. Zmienił ton mowy i obejścia, a spoglądając nią z czułym wzrokiem, w którym niedoświadczona Sabina daleko więcej widziała, niż żal, że ją obraził, rzekł:

— Nie, nie omyliłaś się pani, i jeśli zapewnienie, żeś we mnie znalazła przyjaciela, może ci wynagrodzić stracone niektóre illuzye, to jestem szczęśliwy, dając je pani.

Sabinę uradowała ta niespodzianka.

— A to wybornie!—za wołała. — Przyjmuję pańską przyjaźń i rachuję na nią.

I podała mu rękę, swoją piękną rękę, chociaż trochę opaloną i niezbyt małą, lecz o kształtnych paluszkach, i uściśnęła dłoń jego.

Rogera uspokoiło to szczere uściśnienie, lecz jednocześnie w głębi jego duszy zrodziło się pytanie, czy ten zupełny brak kokieteryi nie jest zarówno niebezpieczny, jak przeciwny mu zbytek.



— A teraz — mówiła dalej Sabina — wszak mam prawo prosić pana o radę? Rozważ pan wprzód dobrze, nim ją udzielisz, gdyż uprzedzam pana, że coś podobnego zdarza mi się po raz pierwszy w życiu. Dotąd zawszem się kierowała według własnego rozsądku, i nigdy tego nie żałowała. Lecz teraz znajduję się na gruncie mi nieznanym, lękam się, abym nie poszła fałszywą drogą, i będę szczęśliwą, jeśli na kogoś będę mogła złożyć odpowiedzialność za postanowienie, które mam powziąć. Otwarcie będę mówiła z panem. Sprowadziłam tu siostrę w nadziei, że ciotka przywiąże się do niej i zajmie się jej edukacją. Widzisz pan tak samo jak ja, iż plan ten ma swoje niedogodności. Cóż więc mi radzisz? Mieszkam sama z ojcem w zamku otoczonym samem nieokrzesanem wieśniactwem, nie mam więc żadnego towarzystwa i środków edukacyjnych. Jedyne u nas gośćmi są towarzysze polowania mojego ojca, a mojami jedynymi przyjaciółkami dwie stare panny z upłynionego stulecia. Mamże zabrać do téj pustyni moje dziecko przybrane i dać mu edukację tak niezupełną, jaką sama otrzymałam, i wychować je w nieświadomości świata i życia?

— A niech panią pan Bóg bron! — mimowolnie zawołał Roger.

Sabina się uśmiechnęła.

— Narażałaby się na to, że zostałaby drugą edycją mnie samęj, to jest pewnym rodzajem dzikięj kobiety, niezgrabnej, szorstkięj? Nie dziw się pan temu. To nie moja wina. Miałam lat czternaście, gdy mnie matka odumarła. Odtąd nikt się mną nie zajmował, owszem przeciwnie, ja sama zajmować się musiałam mnóstwem rzeczy mało właściwych kobiecie. Nadewszystko musiałam bacznie czuwać nad sobą, aby mieć władzę nad moją małą siostrą i tę władzę utrzymać, abym miała prawo wychować ją według swojej myśli. Teraz, kiedy mam tę władzę i to prawo, nie wiem, co dalej czynić.

— Posłuchaj mnie pani — rzekł Roger. — Jeślim tak żywo powstał przeciwko projektowi pani zagrzebania jej siostrzyczki w takim osamotnieniu, w jakim upłynęła pierwsza młodość pani, nie miałem w tém żadnej złęj myśli, któraby ubliżała pani. Dałby to Bóg, żeby wiele panien zachowało ten sąd pani, zdrowy i jasny, to święte oburzenie na wszelkie zło, na kłamstwo wszelkie pod jakąbądź formą! Lecz wierz mi pani, ta zbyt wielka drażliwość moralna może być także niebezpieczną. Kobieta winna się przyzwyczaić, aby zbyt nie gorszyła się rzeczami, które codziennie na swęj drodze spotykać może; koniecznem jest, według moje-

Dodatek Tyg. Pow. Nr. 39. („Kłamstwo Sabiny.“ Ark. 4).

go zdania, dla każdej istoty ludzkiej, mającej żyć w towarzystwie swoich bliźnich, aby zawczasu ocierała się o charaktery i zdania, różniące się od jej zasad i przekonań. Wiesz pani, cobym zrobił będąc na jej miejscu? Umieściłbym siostrzyczkę w jednym z tych klasztorów paryskich, które tak się różnią od dawniejszych, jak dzisiejszy sposób podróżowania niepodobnym jest do dawnego, i...

Przerwał na raz.

Ona dokończyła za niego.

— I powróciła do swój samotni.

— Nie chciałem tego powiedzieć.

— Bądź pan szczerym w wygłoszeniu swój myśli. Dziękuję za dobrą radę, przyjmuję ją bez urazy.

Lecz kiedy przyszło przeprowadzić ją w praktyce, Sabina miała odwagę zaledwie jedną część jej wykonać. Florcia umieszczoną została w klasztorze. P. de la Rullière nie sprzeciwiał się wcale temu projektowi, tylko nie podobała się mu cyfra wysokości summy, której od niego Sabina zażądała. Dziewczę przyzwyczało się do nowego swojego miejsca i było bardzo szczęśliwe, daleko szczęśliwsze, niż w Rullière i u pani d'Essé; Sabina jednak nie mówiła o powrocie do ojca.

---

### III.

Codziennie sama przed sobą wynalazła jaki pozór nowy do opóźnienia wyjazdu. Po raz pierwszy w życiu była z sobą w sprzeczności. Wydarzyło się jej coś, czego nie przewidziała w swój rachubie. W życiu swem prozaicznym, w którym marzenie nie miało miejsca, nigdy nie pomyślała zapytać swego serca, czy nie ukrywa jakiejś tajonej skłonności, która nie jednego, to drugiego dnia rozwinąć się może. Chorowanie na ideał było obcem jej wyobraźni; kochać i być kochaną nigdy nie zapragnęła jej dusza mało się udzielająca. Nadzwyczaj czynne życie, pochłaniające wszystkie jej myśli, odsuwały na plan dalszy wszelką ideę miłości, miłości i małżeństwa. Zresztą w Rullière nie spotykała nikogo, coby ją mógł zająć; w Paryżu wszystko to uległo zmianie. Gdy wolną była od zwykłych zajęć z całą swobodą oddawała się wypoczynkowi, a przytem rozmowy, którym przysłuchiwała się w salonie, nie pozostały zapewne bez pewnego wpływu na jej umysł.

Wprzód nim dowiedziała się, co to jest miłość, pokochała namiętnie, z całym zapalem swój silnej natury, bez tajemienia się, bez rachuby. Jój uczucie, które się zaczęło od szacunku i uwielbienia, nie miało żadnych granic.

Roger nigdy nie myślał w niej zakochać się, a gdy postrzegł uczucie, jakie w jój sercu rozniecił, prawie się przelał z początku. W rzeczy samej wysoko cenił Sabinę, miał dla niej szczerą, serdeczną przyjaźń braterską albo koleżeńską. Była piękną, inteligentną, przywiązaną, kochałby ją jak siostrę, przyjaciółkę, bez wahania powierzyłby jój honor swojego nazwiska, lecz nigdy mu na myśl nie przyszło, aby miał żądać od niej szczęścia swojego życia. Ani na chwilę się nie łudził, aby uczucie, które dla niej doznawał, miało być miłością. Chętnie wymieniał z nią uściśnienie ręki, lecz nigdy nie przyszło mu na myśl zatrzymanie tej świeżej i silnej dłoni, która tak serdecznie odpowiadała na jego uściśnienie; wytrzymał jój spojrzenie, niedoświadczając najmniejszego niepokoju.

Roger w swoich marzeniach młodzieńczych często kreślił sobie ideał kobiety, która ma zostać jego żoną, połową jego istoty. Wyobrażał ją sobie zawsze jako pełną poetycznego uroku, łagodną, bojaźliwą, nawet trochę słabą. Miała-to być istota delikatna, dla której koniecznąby była jego silna opieka; ona miała być jasnym promieniem jego ogniska, wonią jego domu. Przy Sabinie nie doznawał tego upojenia. Gdyby połączył się z nią, potrzeba jego natury na zawsze pozostałaby niezaspokojoną. Mogła ona zostać towarzyszką jego życia, lecz nigdy nie byłaby spełnieniem jego marzeń młodzieńczych. Była w niej jakaś cierpkość, która go drażniła, jakaś ostrość i nieokrzesanie, które raziły jego gust, jako człowieka światowego. Kiedy rozmawiał z nią, nieraz brała go ochota zgrzytnąć zębami, jakby ugryzł kwaśne jabłko. Jój nawet piękność niezaprzeczoną zdawała się mu zanadto poważna. Była-to piękność cnoty, lecz napróżno szukał w niej tego wdzięku, którym chciałby ją widzieć ozdobioną. Wolałby, aby jój rysy były mniej regularne, lecz za to więcej pociągające.

Nie mógł przecież pozostać zupełnie obojętnym na miłość, którą zbudził. Wzruszyła go, pochlebiła mu. Nie udawał nigdy czułości, który nie doznawał, lecz zbrakło mu odwagi aby odsunął od siebie to serce, które mu się tak naiwnie oddawało. Sabina należała do tych szlachetnych natur, które znajdują więcej szczęścia dając, niż otrzymując. Więcej szczęśliwa kochając, niż będąc kochaną, ani postrzegła, że na uczucie dla niej Rogera złożyła się

litość i schlebiona miłość własna. Była zupełnie zadowolona z życzliwości, jaką jęj okazywał i wnet tęż wnówiła w siebie, że była kochaną.

Pani d'Essé zbyt wiele miała doświadczenia matrymonialnego, aby nie postrzegła romansu, który się zawiązał w jęj salonie. Chciała nawet poczytać sobie za zasługę, że to ona naprzód go przygotowała, dostarczając często młodym ludziom sposobności spotykania się z sobą. Otóż wydało się jęj, że sytuacya trochę się za długo ciągnie, a nadto była przenikliwa, aby nie dostrzegła, iż wahanie się pochodzi ze strony Rogera, postanowiła z nim otwarcie się rozmówić.

Ten bynajmniej nie ukrywał obawy, jaka go powstrzymuje. Pani d'Essé uspokoiła go, i tak umiejętnie wzięła się do rzeczy, iż przekonała go, że szacunek i spokojne uczucie, którem go natchnęła jęj siostrzenica więcj zapewnijają szczęścia, niż te namiętne porwy, które nie mogąc się długo utrzymać w swęj pierwszej sile, kończą się zwykle na obojętności, a niekiedy na odrazie. Wreszcie Roger powiedział sobie, że być może przyszłość zachowuje dla niego te uniesienia i zachwyty o których marzył, a których nie doznawał obecnie. Sabina była młodą, jęj charakter surowy i pozytywny zmienił się pod wpływem szczęścia i miłości, jak owoc kwaskowaty staje się smaczniejszym i soczystszym pod wpływem ciepła słonecznego. Któż-to wie, czy ona nie jest przeznaczoną aby kiedyś urzeczywistniła jego marzenia, że w małżeństwie znajdzie wszystkie upojenia miłości, w której zarówno wyobraźnia, jak rozum i serce wezmą swój udział?

Dał się przekonać i prosił o rękę Sabiny.

Ona z radością i czułą wdzięcznością przyjęła szczęście, które jęj ofiarowano. Przejęta była jakąś pokorą naiwną, która dziwną stanowiła sprzeczność z jęj zwykłą szorstkością. Roger ucieszył się szczerze, że ustały jego wahania, a ponieważ miał również szlachetne serce, jak Sabina, więc jeśli ona znajdowała więkšie szczęście, kochając niż będąc kochaną, radował się z tego i uważał się za szczęśliwszego, mogąc dać więcj, niż odbierał. A zresztą to szczęście dodawało Sabinie coś wzruszającego, rzewnego, jakiegoś nieznanego uroku, na którym jęj dotąd zbywało.

Byli szczęśliwi oboje przez dni kilka.

Ponieważ Sabina nie była samolubną, więc zaraz pomyślała o Florze, że i dla nięj małżeństwo jęj może być pożytecznem. Zapomniała trochę o ojcu, ale ten łatwo się pocieszy, gdy się mu uda w jęj miejsce pozyskać pracownika inteligentnego.

Pan de la Rullière naturalnie bardzo się rozgniewał, odebrawszy ceremonialny list, w którym pani d'Essé przekazywała mu prośbę jej protegowanego. Lecz gdy nikogo nie miał pod ręką, na którymby mógł wyrzucić swój gniew, więc wkrótce się uspokoił. Pomiędzy szczegółami, jakie podawano mu o jego przyszłym zięciu, znajdował się jeden, który nowe przed nim otwierał widoki. Pan de Bargemont był sierotą, miał lat dwadzieścia cztery; majątkiem jego administrował opiekun, majątek ten przez czas tak długiej małoletności musiał się znacznie powiększyć. W dwudziestym piątym roku miał objąć w posiadanie swoje mienie; naturalnie nie obejdzie się tu bez lokowania summ; p. Bargemont radził się zapewne będzie swojego teścia, a bardzo być może, iż da się skłonić do kupienia ziemi w sąsiedztwie. P. de la Rullière podjąłby się gospodarki. Zawczasu zacierał ręce z radości. Tém samém piórem, które umaczał w kałamarzu, ażeby dać kategorię odmowę, napisał list prawie grzeczny, w którym zapowiedział rychły swój przyjazd do Paryża.

Jakoż tak się stało. Przybywszy do Paryża, za ledwie spojrział na przyszłego swojego zięcia, nie szło mu wcale o bliższe go poznanie, lecz wprost przystąpił do rzeczy, która go najwięcej interesowała, do umowy przedślubnej.

Jak prawdziwy Normand kręcił i wymawiał się co do do posagu Sabiny, i byłby nawet nie pomyślał o wyprawie, gdyby na szczęście pani d'Essé tém się nie zajęła. Sabina żyła jakby w marzeniu; miłość zmieniała ją do niepoznania; każde nowe wzruszenie czyniło ją coraz więcej kobietą, coraz więcej podobną do ideału Rogera. Wszystko było gotowe do ślubu, kontrakt spisany, z podpisaniem go czekano tylko na przybycie opiekuna Rogera, a przynajmniej na przysłanie potrzebnych papierów, gdy naraz straszna wiadomość zburzyła cały ten gmach szczęścia. Opiekun odebrał sobie życie, zostawiając papiery w największym nieporządku, z którego wszakże jasnym było, jak słońce, że strwonił majątek jego pieczy powierzony. Na chwilę nie zawahawszy się p. de la Rullière cofnął swoje zezwolenie i co prędzej podążył do swoich penatów, zabierając z sobą Sabinę. Żałował tylko wydatków, jakie poniósł z tego powodu. Aby się trochę pocieszyć kupił sobie kosiarkę mechaniczną, na którą oddawna miał ochotę, i dziwił się, że Sabiny wcale nie obchodzi ta piękna maszyna. Nie pojmował nawet cierpienie swjej córki. Bo i cóż tu się zmieniło. Wszak wprzód nie czuła się nieszczęśliwą, to i na przyszłość nie będzie. Ot i wszystko.

Roger jak człowiek pełen honoru pospiesznie oświadczył, że Sabina jest wolną od wszelkiego względem niego zobowiązania. Pani d'Essé była tegoż samego zdania. Sabina tylko ani myślała o odzyskaniu tej swobody. Oznajmiła, iż bądź co bądź, gotowa Rogera posłubić, podzielać z nim ubóstwo, i jeśli będzie potrzeba wraz z nim pracować. On z uporem obstawał przy pierwszym swém postanowieniu. Biedna Sabina widziała tu jedynie zbytek delikatności. Roger szybko powziął postanowienie. W gruncie rzeczy, walka życiowa bynajmniej nie przestraszała tego energicznego umysłu; czuł się na siłach do pokonania nieszczęścia. Postanowił wyjechać do Ameryki. Jako inżynier zamierzył spożytkować swoje świetne studia. Sabina kochała go tak silnie, iż zdawało się, że serce jej pęknie, gdy jej oznajmił ten projekt. Stała się pokorną i cichą, gotowa wszędzie iść za nim. Wszak żona może mu być raczej pomocą, niż zawadą w walce, którą przedsiębrał? Nie przyjął stanowczo tego poświęcenia na wielkie umartwienie Sabiny, którą po raz pierwszy tchnęło podejrzenie, co do prawdy, gdy z przerażeniem zapytała sama siebie, czy jest tak kochaną, jak sama kochała. Ona przysięgła mu wierność pomimo to wszystko. A chociaż Roger zwolnił ją bezwarunkowo od wszelkiego zobowiązania względem niego, chociaż uprzedził ją, iż rzeka się szczęścia pisywania do niej, i że nie wprzód otrzyma od niego wiadomość, aż gdy zdobędzie majątek i powróci do Francji; ona nie chciała przyjąć ofiarowanej wolności, poprzysięgła iż wierną mu aż do śmierci zostanie, i nieczyjego prócz jego nazwiska nigdy nie przyjmie. Widział, iż zarówno jest niezachwianą w swoich uczuciach, jak w swoich zasadach moralnych, pojął, iż nie może się z nią porozumieć, jakby to mógł uczynić z każdą inną kobietą, co do działania czasu, który wszystko zużywa, i co do długiej nieobecności, która wszystko zaciera. Przyjął więc pomimowolnie te przyrzeczenia i te przysięgi miłości, którą niezbyt gorąco podzielał i... wyjechał.

Od tego czasu upłynęło lat dziesięć.

Sabina ani razu nie posłyszała jego nazwiska.

Pani d'Essé umarła.

Flora ciągle była w klasztorze.

Corocznie tylko podczas wakacji Sabina jeździła do niej, i kilka dni spędzała w klasztorze, nie znając nikogo w Paryżu.

Nie czyniła żadnego kroku, aby się wywiedzieć o panu Rogerze, nie próbowała pisać do niego, a mierząc jego miłość uczu-

ciami, jakie dla niego dochowała, czekała jego powrotu z niezachwianą niczém pewnością.

Pomimo wielkiego osamotnienia w jakim żyła, mogła była z łatwością wyjść za mąż, gdyby tylko chciała. Lecz na samą myśl podobną rumieniec wstydu jój twarz pokrywał. W obec swego serca i sumienia uważała się za żonę Rogera.

Jój miłość nie tylko że się nie zmniejszyła, lecz przez nieobecność ukochanego jeszcze się głębiej zakorzeniła. W szlachetności swego zacnego serca usprawiedliwiała Rogera z jedyne go zarzutu jaki mu uczynić mogła, to jest, że zbyt rychłego pośpiechu w powróceniu jój wolności, upatrując w tym prawie bohaterską bezinteresowność.

W trzydziestym roku piękność Sabiny nie miała tój olśniewającej świeżości, którą tak uwielbiano w salonie pani d'Essé. Powietrze wiejskie, które tak szybko zmienia barwę kwiatów i kobiet, uczyniło jój płeć nie tak białą, a rysy cokolwiek ostrzejsze. Ramiona jój rozszerzyły się, piękne jój ręce były opalone, a stanowczość jój chodu miała w sobie coś popędliwego; przyzwyczajenie wydawania rozkazów podwładnym uczyniło jój głos nieco szorstkim. Zawsze jednak była to bardzo piękna osoba, wspaniała, poważna, ze spokojem niezem niezamąconym. Z piękności swojej przed dwudziestu laty zachowała tylko niezmiennione swoje bujne ciemnego koloru włosy, i blask swoich pięknych czarnych oczu. W ubraniu zachowywała wielką staranność, mówiąc sobie, że Roger może lada chwila powrócić. Nie chciała, aby ją zastał zaniedbaną, ubierała się i dbała o siebie jedynie dla niego. Była-to jedyna próżność jój kobieca. Zresztą piętno jój charakteru pozytywnego i surowego odbijało się nawet w tój słabości. Elegancya jój wszakże u większości kobiet miała znaczenie, co najmniej wątpliwego gustu. Lubiła kolory jasne i uderzające, materye ciężkie, które łamią się w fałdy i mocno pochłaniają światło, ozdoby złote, świecące i masywne. Gdy szła zasiąść do obiadu z samym tylko ojcem, który nie zrzucał nawet swojej kurty myśliwskiej i butów zabłoconych, ubierała się z takiém staraniem, jak niegdyś w Paryżu u ciotki, klejnoty nawet nosiła te same, które niegdyś przeznaczone były na jój wyprawę.

Jój toaleta rażąca stanowiła sprzeczność z tém, co ją otaczało. P. de la Rullière szydził z niej bez ustanku. Sarkazmy jego spływały przecież jak woda po marmurze. Ta mania czysto kobieca w tem sercu wielkiem, mężkiem i dzielnym, miała w sobie coś rozczulającego, czego przecież oczy pana de la Rullière dojrzeć nie mogły.

#### IV.

Wieczorem Sabina ubierała się w suknię zieloną połyskującą, na której odbłysek od ognia na kominku rysował przeróżne arabeski. Na palcach jęj połyskiwały drogie kamienie. Tworzyła ona swoją osobą dziwny kontrast w tym salonie dużym, smutnym i ogołoconym z wszelkich ozdób, architekt zdaje się wysilał nad nim, aby go uczynić niewygodnym i nudnym. Musiała Sabina bardzo być zatopioną w swych wspomnieniach lub myślach, skoro nie postrzegala tego, gdy przezeń przechodziła w chwili zbudzenia się pana de la Rullière.

Budził on się zwykle, pomrukując:

— Cóż tam? Dlaczego zatrzymujesz się? Czytaj dalej.

— Nie — rzekła Sabina — chcę z tobą pomówić.

— Mówże, tylko prędko.

Sabina zawahała się. Wspomnienia rozczuliły ją. Nie miała swęj zwykłej stanowczości.

— Chciałam z tobą pomówić o Florze — rzekła.

— Aha! To znów o tęg sławnej młockarni parowej, chcesz głowę mi suszyć. Stare-to maszynisko, które rękami w ruch trzeba wprawiać, i więcej zużywa węgla niż lokomotywa. Piękny zrobił mi nabytek ten niedołęga Jakób. Spisał się wybornie, nie ma co mówić. Florymunda ma słuszność jeżeli patrząc na tę maszynę, wszystkie nowe maszyny uważa za wynalazki dyabelskie. Nie, nie, daj mi już pokój. Dziwię się nawet, że chcesz o nię mówić. Wiesz tak dobrze jak ja, co ona warta. Powiedziałem ci już, że nie chcę więcej o nię słyszeć.

— Nie miałam tęg zamiaru tego czynić. Nie o Florymundzie chciałam z tobą mówić, lecz o jęj córce chrzestnej, o Florze, twojęj córce rodzonej, o której być może zapomniałeś.

— A tak, zapewne? Podjęłaś się zaczęsto mi ją przypominać przy końcu każdego kwartału. Ależ to czyste waryactwo, co kosztuje edukacya tęg głupiej dziewczyny. Jak pomyślę sobie jeszcze, żeś ty mnie nigdy i jednego centyma nie kosztowała. Aha, to o to rzecz idzie, czy nie myślisz jęj wydobyć z klasztoru? Jak dotąd dawałem ci *carte blanche*, ale trzebaby, aby się to raz skończyło.

— Właśnie o tem chciałam z tobą mówić. Postanowiłam ją tu sprowadzić.



— Tu! Wybornie! Nigdy w życiu! Mamy już dosyć kłopotów i wrzasków.

— A więc cóż chcesz z nią uczynić.

— Hm... sam nie wiem dobrze... A choćby ją powierzyć Flo-  
rymundzie. Toby najlepiej było.

Dziwny uśmiech skrzywił usta Sabiny.

— A właśnie miałam o tem mówić.

— A to doskonale! Zdaje się mi, że to po raz pierwszy zgadzamy się bez poprzedniej rozprawy.

— A któż temu winien? — zapytała Sabina.

— Do kaduka! Piękne pytanie! Ja wydaję rozkazy, czyliż-  
bys ty ośmieliła się je roztrząsać.

— Nie idzie tu o to — rzekła porywczo Sabina. — Mówi-  
liśmy o Florze. Czyś nie pomyślał kiedy, że grunta des Allais...

P. de la Rullière przerwał ję żywo.

— Bardzo proszę, żadnych śmiesznych kwestyi. Wiesz do-  
brze, co o tem myślę. Niepodobna podsunąć mi żadnej nowej  
myśli w tym przedmiocie. Przewracałem go na różne strony.  
Wiesz przecie dobrze, iż za życia tego nieszczęśliwego des Allais  
pako wałem mu proces po procesie, spodziewając się, że mu te  
grunta obrzydzą, gdy z nich zbierać będzie same tylko nieprzyje-  
mności, że wreszcie doprowadzą go do ostateczności. Umarł z te-  
go biedak. Ale odtąd jeszcze gorzej idzie. Nie mam nawet przy-  
jemności rozgniewania Jakóba, jak się to udawało mi z jego ojcem.  
Obydwoma nogami usadowił się na ojeowskim gruncie, i tak jest  
nieczułym na moje zaczepki, jak na ukąszenie much, które sia-  
dają na jego długim nosie. Nie można nic zrobić z tym chłopcem.  
A to aż litość bierze, patrząc na ten piękny majątek narażony na  
pewną zgubę pod administracją dwóch bab szalonych i tego wyso-  
kiego głuptasa, który zbiera motyle, i wtedy tylko podziwia pole  
zbożem pokryte, gdy w nim widzi dużo habru i polnego maku.  
Jakób nigdy nie sprzeda des Allais, Wołałby raczej trawę jeść ze  
swojej łąki, aby z głodu nie umrzeć. Pozostało jeszcze jedno ro-  
związanie kwestyi i to jedynie możliwe. A kto temu winien, że się  
nie udało?

— Nie mówmy już o tem. Wiesz dobrze, iż to nadaremnie—  
rzekła Sabina niecierpliwie się.

— Tak, tak! Przyznam się, że nigdy nie zrozumieć takiego  
głupstwa ze strony tukięj rozsądnej jak ty dziewczyny. Twój pię-  
kny panicz z Paryża nigdy nie powróci, bądź tego pewną. Zanadto  
się pospieszył z wyjazdem. I odmawiać z tego powodu!..

— A najprzód nigdy nie doznałam téj nieprzyjemności, abym miała odmawiać méj ręki Jakóbowi, z téj bardzo prostéj i jedynéj przyczyny, że nigdy o nią nie prosił.

— A dlaczego? Ponieważ nigdy nie mógł się ośmielić, wyraźnie bał się ciebie.

— Pozwól, odłóżmy ten przedmiot na stronę. Jest jeszcze inny sposób połączenia Allais i Rullière.

— Przez chwilę myślałem sam ożenić się z jedną z tych starych panien.

Sabinę dreszcze przeszły. Nie przewidywała nigdy téj możliwości.

— Ydoina lepiej mi się nadawała, ponieważ w trzech czwartych częściach jest idiotką — mówił dalej p. de la Rullière, który widocznie chciał się przekomarzać z córką. — Byłoby to dla ciebie bardzo przyjemne towarzystwo, pomagałaby ci utrzymać porządek w domu. Ale zawsze nie jest to zupełne rozwiązanie kwestyi.

Sabina znów zaczęła się niecierpliwić.

— Przedstawiam ci projekt rozsądny — rzekła. — Cóżbys powiedział na małżeństwo między Jakóblem des Allais i Florą?

— Hm!.. To nie byłaby zła kombinacya; ależ mała jest dzieckiem, a Jakób...

— Ma trzydziści jeden lat, tak jak ja.

— W istocie jest-to myśl, i to myśl wyborna — powtórzył p. de la Rullière. — Lecz położyłbym pewne warunki, co do tego małżeństwa. Kiedy Jakób zostanie moim zięciem, musi osuszyć ten nieszczęśliwy staw, którego pilnuje jak oka w głowie, a który przepelnia wilgocią całą okolicę. Założyłbym winnice na téj pochyłości, którą zanieczyścił krzakami różanemi... położenie wyborne, na południe od zanku... kazałbym przekopać i zorać ogród Ydoiny... jest-to grunt wyborny pod buraki najlepszego gatunku. kazałbym ściąć wielkie cedry wschodnie... dobry z nich będzie budulec, a zanadto oceniają ogród warzywny... Kazałbym...

— Nie uczyniłbys nic z tego wszystkiego! Jakób chociaż ci się wydaje człowiekiem słomianym, jest o tyle upartym, o ile bojaźliwym. Wierz mi, znam dobrze tego młodzieńca, a jeśli namawiam cię, abys mu oddał Florę, to dlatego, iż uważam go za godnego jéj pod wszystkimi względami. Zgadzam się z tobą zupełnie, że byłoby wielką korzyścią dla obudwóch majątków, gdyby przeszły pod jedną administracyę. Ale to nie nastąpiłoby ani za twojego życia, a być może i mojego, i to wielkie szczęście. A wiesz dlaczego? kiedy Jakób ma dzierżawcę, który mu płacić nie może,

to poklepie go po ramieniu i powie: „To innym razem mój przyjacielu.“ Kiedy jeden z jego robotników zmuszonym jest sprzedać swoje narzędzia dla kupienia chleba swęj rodzinie, to kupuje zaraz te narzędzia za podwójną cenę, i napowrót mu je oddaje. Wszystkiego tego nie można nazwać dobrą administracją. My nie tak pojmujemy interesa, to jest ty i ja. Idź-no zapytaj chłopów, co sądzą o swoim panu. Wszyscy uwielbiają go. Jakób jest dumny z tego ich przywiązania, i za wszystkie skarby świata nie zmieniłby swojego systematu.

— A więc jakąż korzyść przyniosłoby mi to małżeństwo?

— Szczęście Flory.

— A to mi piękny interes. Jestem pewny, że będziesz jeszcze chciała, abym dał jęj posag?

— Wszak otrzymałeś go także za moją matką!... Ale nie mówmy już o tem. Jak na teraz jadę po Florę, wydobędę ją z klasztoru i tu przywiozę. Ona ujrzy Jakóba. Zrobię wszystko, co będzie można, aby się jęj podobał, i jeśli przypadną sobie do serca, to nie będziesz się sprzeciwiał ich połączeniu. Niech Flora zostanie zupełnie wolną, a nie odmówisz jęj tu schronienia, choćby przez całe życie, a nawet wtedy, gdybym ja kiedyś opuścić cię miała.

— Ho, ho! jak się zdaje dyktujesz mi warunki? — zaśmiał się szyderczo p. de la Rullière. — Uprzedzam cię, żem wiele utracił ufności w twoje zdolności od czasu jak zrobiłaś tak głupie fiasco przy twojéj ciotce d'Essé. Mam ja dobrą pamięć. Łudziłaś mnie nadzieją bogatego spadku, a cóż przyniosła ta podróż do Paryża? Dużo wydatków, małżeństwo zawiedzione i kilka mizerynych tysięcy franków, które ci zapisała, jakby z litości, a których nawet nie mam prawa podnieść. Zniewaga z po za grobu! Fatalnego bąka strzeliłaś, moja biedna córko! Życzę ci lepszego powodzenia w twoich nowych kombinacyach. Co do mnie, umyвам ręce.

Zgadzam się na przyjęcie twojéj siostry pod mój dach pod warunkiem, że jak najrzadziej będę ją widywał, że nie będzie robiła wrzawy w domu, nie będzie grała na fortepianie, i robót swoich zostawiać nie będzie po stołach.

— Sądzę, że teraz mogę już czytać dalej — rzekła Sabina.

## V.

Deszcz padał. Ale nie ten deszcz dobroczynny, którego duże krople spłaszczają się padając na ziemię spragnioną, dając połysk liściom i użyźniając ziarna ukryte w ziemi, z której się wydobywa woń zdrowa i ożywiająca; lecz ten deszczyk drobnouchny, kapuśniaczkim u nas zwany, właściwy porze jesiennój, deszcz nieznośny, denerwujący, bezpożyteczny, przesiąkły spleśniałą wonią. Słońce wschodząc już go zastaje jak się zagospodarował wszędzie, z trudnością przyświeca, i chyląc się ku zachodowi pozostawia go w posiadaniu całego nieba szarego, jednostajnego bez najmniejszego odcienia chmury. Liście zwolna spadają jeden za drugim, nie porwane wichrem, jaśniejące, barwne w swym stroju jesiennym, lecz rozlazłe, zbutwiałe, jednostajnie szare. Spadają ciężko przesiąkłe wilgocią, aby skończyć swój byt w błotnistej kałuży, która się pod drzewami utworzyła. W krzakach kryją się biedne ptaszki ze skrzydłami obwisłymi i przemokłym pierzem; jaskółki już odleciały tylko ropuchy i ślimaki rozkoszują się taką pogodą.

Zapewne nie wysadzano się na uroczyste przyjęcie Flory de la Rullière, wracającej do domu ojcowskiego; sama natura okazała swoją najgrymaśniejszą minę. Powiedziała to sobie Flora, gdy wsparłszy czoło o szybę, spoglądała na rozplakane niebo, i sama miała wielką ochotę zapłakać. Serce jej wezbrało łzami, bo jeśli klasztor jest wygnaniem, klatką, więzieniem dla dziewcząt, co pozbawione w nim zostały pieśczęt matki i gorących uczuć rodzinnego ogniska, to dla sieroty, która nigdy nie знаła matki, a ojca widywała zawsze rozgniewanego albo obojętnego, klasztor przedstawiał prawdziwą rodzinę, niewinne uciechy, szczęśliwość najwyższą. Sabina, którą widziała raz do roku, czyniła na nią wrażenie ciotki z prowincyi, dalekiej kuzynki raczej, niżeli siostry. Przybywając do tego dużego zamczyska, który ledwie poznała, zdało się jej, że się dostała do ludzi zupełnie obcych. Flora należała do tych delikatnych istot, które potrzebują się przywiązać do kogoś i podobne do powoju wiją się prawie niepostrzegalnemi fibrami wkoło ukochanego przedmiotu. Jest-to konieczny warunek ich bytu. Florę nagle wyrwano z łagodnej cieplarni klasztornej, gdzie wzrastala wśród powszechnej życzliwości, którą sobie zjednała jako sierota przez swój charakter miły i poetyczny,

a teraz przeniesiona w miejsca chłodem przejmujące otoczona nadąsaną obojętnością ojca i przywiązaniem siostry, mało się udzielała, drżała i cierpiała.

Tak pod względem fizycznym jak moralnym niepodobna było znaleźć dwóch siostr bardziej różniących się między sobą, jak Sabina i Flora.

Natura jakby sobie igraszkę uczyniła stwarzając dwa sobie przeciwné typy piękności niewieściej. Obdarzyła Sabinę przymiotami męzkimi, pozytywnymi, które rzadko spotykają się w kobiecie, zachowując dla jęj siostry młodszęj to nieuniknione połączenie wdzięku ze słabością, które pociąga i przywiązuje, ten urok delikatny, który rozbiera najniechętniejszych. Sabina mogła rozbudzić sympatyę, lecz to uczucie wnet sobie narażała przez jakąś niezbadaną stronę swojego charakteru. Szanowano ją, podziwiano, oddawano sprawiedliwość jęj moralnej wartości, lecz nie kochano; widocznie nie posiadała sztuki przypodobania się. To serce głęboko czujące, stałe i niezmiennie w swych uczuciach nie umiało wyrazić tego, co czuło przecież tak dobrze. Był to ogień, który sam się trawił, nie wydając płomienia, odmówiono mu daru ogrzewania i oświetlania. A przez to i dlatego właśnie żar samego ogniska był tém potężniejszy. Należała ona do tych nieszczęśliwych istot, których przeznaczenie skazało, aby nigdy nie były poznanymi. Żadna zgodność, żadna harmonia nie istnieje pomiędzy uczuciami jakich doświadczają, a jakie wyrażają, a gdy sążzone są prawie zawsze według pozorów, mijamy je obojętnie, prawie z pogardą, oskarżając je o oziębłość, szorstkość, samolubstwo.

Flora z czułością prawie chorobliwą swęj duszy, która drżała za każdym wzruszeniem, ze swojemi dużemi oczami szarego koloru najpoetyczniejszego ze wszystkich, gdyż sam przez się właściwie nie będąc kolorem, odbija w sobie wszystkie odcienia możliwe, ze swoim bujnym włosem złościsto-płowym, w którym jakby się zabłąkał promień słońca; Flora dosyć aby się pokazała, a wszystkich serca zniewalała sobie. Jęj delikatny owal twarzy zachował całą czystość niewinnego dziecka, jęj usteczka różowe, gdy uśmiech ich nie otwierał, miały jakiś wyraz smutny; jęj cera biała, atłasowa podobną była do listków róży polnej.

Lecz największym jęj wdziękiem było to, że nie wiedziała o swojęj piękności.

Gdy przybyła do Rulliére rozjaśniła stary zamek swoją obecnością. Była to młodość w blasku swoim wiosennym, uśmiechniętym. Była już od dwóch dni i uśmiechać się zapomniała. Ojciec zaledwie spojrział na nią.

— Nie jesteś bardzo duża na swój wiek — rzekł do niej, jakby mówił do czteroletniego dziecka. A dodał jeszcze:

— Włosy masz zawsze żółte.

Ot i wszystko. Sabina musiała się zabrać do swoich rachunków, których się wiele nagromadziło podczas jej bytności w Paryżu, nie miała więc czasu zajmować się nią.

Cóż robić? Gdy wydobyła i uporządkowała drobniuchny zapas swoich pensyonarskich rzeczy, zajrzała do książek Sabiny... były to książki rolnicze, których wcale nie rozumiała. Znajdując się sama w salonie, otworzyła fortepian. Należał kiedyś do jej matki. Klawisze z kości słoniowej pożółkły w nim. Zajrzawszy do środka, znalazłyby się grzybki, które się potworzyły pomiędzy zerwanymi strunami, a spróchniałem drzewem. Pod palcami Flory, klawisze, które jeszcze odpowiadały, wydały dźwięk chrapowaty, żalospny, podobny do jęków i łkania. Zadrżała i zamknęła umiarkujący instrument. Wyjść? ależ deszcz padał ciągle. Długo stała przy oknie, ze smutkiem patrząc przed siebie.

Po co Sabina wyprowadziła ją z klasztoru? Nikt jej tu nie kochał, nikt nie potrzebował; nie znajdowała tu ani przyjemności, ani zajęcia, i przewidywała ze strachem długi szereg dni nieskończonych i nudnych, które ją czekały. Wreszcie łzami przepełniły się powieki i stoczyły się po rzęsach. Pierwsze dni młodości mają niewytłomaczone udręczenia, które są jakby przecuciem smutków w życiu, albo też może jest-to tylko nieświadoma tęsknota serca, które cierpi samym rozwojem swoich przymiotów, i nie wie, czego one żądają od niego.

A zresztą, widnokrąg, który otwierał się przed Florą, był tak rozpaczliwie jednostajny, iż nawet nie starała się otrzeć łez, które jej zasłaniały go.

W samą rzecz starą zameczysko w Rullière było budynkiem najnudniejszym w świecie ze swoją długą fasadą, niską, bez żadnych ozdób, przeciętą dwoma piętrami okien regularnych, i okrytą ciężkim i dużym dachem łupkowym. Na prawo i lewo, dotykając dużego czworokątnego podwórza rozciągały się budynki gospodarskie. Masywne kraty żelazne oddzielały to podwórze od gościńca. Po drugiej stronie Flora postrzegła ogród warzywny, jego aleje pod sznur wysadzone, kwatery z kapustą obsadzone pietruszką i tymiankiem, długie, proste szpalery; a dalej, jak zasięgnie oko, pola uprawne, a jako świeżo zasiane, nie pokazujące żadnych śladów wegetacji. Wszystko to było tak smutne pod jednostajną osłoną deszczu, iż zamknęła oczy, aby raczej nic nie widzieć.

Naraz piasek zaskrzypiał na podwórzu. Widziała już przechodzących dwóch parobków i dziewczkę folwarczną. Zapewne-to jakiś chłop — pomyślała sobie, spojrzawszy roztargniona na tego, co się zbliżał do zamku.

Dziwna była jego powierzchowność. Przemokły cały, deszcz strumieniami spływał mu po obszernym płaszczu; głowę jego pokrywała czapka wydrzana, z pod której wydobywały się faliste długie włosy i długa broda płowego koloru; szedł wielkim krokiem, trzymając w rękę z wielką troskliwością koszyczek przykryty liśćmi zielonemi, przez które Flora róże dojrzała. Szedł prędko wyciągając przed sobą chude nogi i długie jak u bociana. Flora pomyślała, że to który z dzierzawców jój ojca. Widziała, jak wszedł do przedsionka zamkowego i nie zajmowała się nim więcej. Za chwilę później żywo się odwróciła, słysząc, że się otwierają drzwi od salonu.

Jakieś indywiduum ukazało się na progu i zatrzymało z otwartemi ustami, spoglądając na nią oczami tak nadmiernie rozwartemi i tak jasnemi, iż zdawały się nie mieć źrenic. Woda spływała mu z ubrania i z ogromnych butów, zostawiając szerokie plamy na posadzce; z jego brody ciekąca woda nadawała mu postać bożka morskiego. W jednej ręce trzymał swoją czapkę wydrzaną, a w drugiej koszyczek; był niegodziwie ubrany, jeszcze gorzej uczesany. Trzebaby mu dobrego krawca, przystrzyżenia zanadto długiej brody, umiejętnego fryzjera i kilka tygodni otarcia się w świecie, aby z tego niezgrabiarza zrobić osobę, mogącą się zaprezentować w salonie. Wszystko u niego wydawało się przesadnie długiem: ręce, nos, owal twarzy, wyrażającej niewinność graniczącą z prostotą. Lecz jeden tylko rys chronił tę dziwną postać od śmieszności: czoło wysokie, szerokie, cudownie ukształtowane znamionowało marzyciela a nawet poetę. Lecz w tej chwili miał minę tak pocieszną, zdziwioną... że Flora nie mogła się wstrzymać od uśmiechu. Milcząc spoglądał na nią ze zdumieniem. Flora zauważała, że ta zaduma trwa zbyt długo.

— Pan czegoś potrzebujesz? — zapytała.

Posłyszawszy jój głos zbudził się ze swojej ekstazy. Gdyż-to była ekstaza w jakiej się pogrążył na widok tego pięknego kwiatka ludzkiego, on co po całych godzinach wpatrywał się w pączek róży.

— Przepraszam — rzekł jakby z żalem — przyszedłem... Sądziłem... Wszak panny de la Rullière tu nie ma?

— A to z moją siostrą Sabiną chcesz się pan widzieć, pójdę

ją zawiadomić — rzekła Flora bardzo zmieszana, nie wiedząc do jakiej kategorii jój gość należy, czy ma go prosić, aby zasiadł w salonie.

— Oh, dziękuję, to niepotrzebne! mogę... mogę poczekać — jękał się nieszcześliwy, rumieniąc się po same uszy i taczając się jak pijany; usiadł niezgrabnie na brzeżku krzesła stojącego przy kominie, gdzie palił się jasny ogień.

Przy sobie postawił na ziemi koszyczek, który starannie zakrył czapką. Potém założył ręce za kolano i z wahaniem spoglądał na Florę, jakby słuchał jakiejś melodyi dalekiej.

Flora widziała tylko, że ma minę gapiowatą. Nigdy przynigdy nie domyślała się, że to był narzeczony, którego jój przeznaczała Sabina.

Gdy Sabina weszła, zawołała zdaleka, wyciągając do niego rękę:

— Dzień dobry, Jakóbie! Spodziewam się, żeście się poznali? Floro, kiedyś była małą, przypominam sobie, żeś zawsze się go bała. Teraz mam nadzieję, że będzie twoim tak dobrym przyjacielem, jak jest moim.

— Dziękuję! dziękuję! — rzekł Jakób, usiłując daremnie odzyskać przytomność umysłu i zacierając obiedwie czerwone ręce, aby sobie dodać śmiałości.

Wszyscy otoczyli kominek, rozmawiano o podróży Sabiny do Paryża, o wielkich owoczesnych wypadkach, lecz najwięcej rozprawiano o deszczu, tym niewyczerpanym przedmiocie rozmowy dla ludzi mieszkających na wsi.

Sabina postrzegła koszyk.

— Co tam pan masz? — zapytała. — Róże? Daj je pan Florze. To jój sprawi przyjemność.

Jakób podał je pannie w sposób bardzo niezgrabny, starając się pozostawić liście kapuściane w koszyku, w którym zdawało się, że coś więcej się zawiera.

— To są ostatnie tegoroczne róże, jedyne, które mogłem ocalić przed deszczem — rzekł.

Flora przyjęła je z miłym podziękowaniem, które rozpromieniło twarz Jakóba.

— Pierwsze-to są kwiaty, które spotykam od czasu, jak się tu znajduje — rzekła z westchnieniem.

Jakób uśmiechnął się.

— Pan de la Rullière nie toleruje ich u siebie — odrzekł. I dodał po cichu, jakby mówił sam do siebie:



— A przecież dozwolił weisnąć się tu jednemu, piękniejszemu i przyjemniejszemu, niż wszystkie moje kwiaty... — nagle przerwał, jakby przestraszony swoją śmiałością.

Flora spojrzęła na niego zdumiona, zmiarkowała, iż ten komplement do niej się stosował, a nie postrzegła żadnego kontrastu między powierzchownością młodzieńca, z słowami, które wyrzekł. Podziwienie dziewczyny zwiększało się coraz bardziej w ciągu rozmowy. Im więcej Jakób mówił, tém więcej zachwycała się jego erudycją głęboką. Nie był-to uczony, lecz myśliciel. Zrobił on sobie pewien wybór autorów, z którymi zostawał w wielkiej zażyłości, mówił o nich, jak o osobach żywych, które znał i widywał się z niemi: Fenelon, Bernardin de Saint-Pierre, Chateaubriand, wszyscy ei autorowie, którzy przemawiają raczej do serca, niż do rozumu, byli jego ulubieńcami. Romanse rycerskie zachwycały go w trzydziestym roku życia, tak samo jak niegdyś zachwycały go w dzieciństwie czarodziejskie powiastki Ydoiny, jego ciotki. Przebywając ciągle w towarzystwie swoich ukochanych bohaterów, uważał je w końcu, jako istoty żyjące. Kiedy czytał don Kiszota, jedna rzecz szczególnie wielkie na nim uczyniła wrażenie, mianowicie wzruszający entuzjazm biednego hidalga, reszta dla niego pozostała martwą literą. Jakób des Allais przepełnioną mając głowę temi ulubionemi romansami, przebiegał pola swojego majątku w towarzystwie Lancelota i Rolanda, ani się domyslając, że on sam dostarczyłby Cervantesowi wybornego typu jego bohatera. Nie masz wątpliwości, że bez znajomości ludzi i wypadków współczesnych, edukacya tego rodzaju była wadliwą. Ilość entuzjazmu, jaka się nagromadziła w tem sercu, stawała się tym sposobem jeszcze większą. Ten kamień nieobrobiony czekał tylko pierwszego uderzenia, aby wydać iskrę. Jakóba żyjącego nędznem życiem szlachetki prowincjonalnego dręczyła wzniosła choroba, marzył o ideale, on sam chciał być jednym z bohaterów, których szlachetne i wielkie czyny tak go zachwycały. Napróżno badał swoje przeznaczenie, rozpatrując się po ograniczonym swoim widnokreśgu nie dostrzegając ani jednego punktu, coby mu dostarczył z całego serca upragnionę sposobności. Wtedy owładło nim zniechęcenie, a nie mogąc znaleźć zewnątrz siebie tego ideału, który się stał jego potrzebą, szukał go w duszy swojej. Pan de la Rullière po grubijańsku oskarżał tego sąsiada, że do uprawy swojego pola zanadto używa poezyi, a zamało nawozu. Gospodarstwo rolne cierpiało na tem, to prawda, lecz za to umysł Jakóba stał się podobnym do cudownego ogrodu, w którym kwitną i rozwijają się

wszystkie kwiaty poezyi, osłaniając swym cieniem wszystkie zarody poświęcenia.

Sabina nigdy nie pojmowała Jakóba, nazywała go marzycielem. Flora odgadła lepiej, niż ona, ile to serce zawiera ukrytego zapału i wytwornej delikatności. Pierwszem uczuciem, jakiego względem niego doznała, była litość; widząc go tak niezgrabnym i bojaźliwym, zrozumiała, że ten duch skrzydlaty, to serce przepelnione odwieczną melodią, w osłonie grubej i niezgrabnej, cierpieć musi mękę ptaka w klatce uwięzionego. Jakób czynił na niej wrażenie osoby chorój, z którą obchodzić się należy łagodnie i ze współczuciem.

Zwracając się do niego, pomimowolnie głos jój stawał się pieśzcotliwym. Jakób, który nigdy się nie czuł tak szczęśliwym, szeroko odsłonił wszystkie skarby swojego serca i umysłu. Był zajmującym, uczuciowym. świetnym. Sabina nie poznawała go wcale, przyklaskiwała sobie w duszy téj wybornój myśli, jaką powzięła, aby połączyć z sobą te dwie istoty. W wyobraźni widziała ich małżonkami, i słuchała jednym tylko uchem reszty rozmowy, która ją mało obchodziła. Mówiono o książkach, przedmiot niewyczerpany dla Jakóba, dla Sabiny zaś był jednym z tych, w którym najbardziej czuć się dawały szczyby jój pierwotnej edukacji.

Dzień chylił się ku zachodowi, blask od kominkowego ognia był jedynem oświetleniem salonu; fantastyczne, długie cienie zaczęły padać na ściany i ich obicie. Flora zasłuchiwała się, zapomniawszy prawie o zabłoconych butach Jakóba siedzącego przy niej, o jego długich czerwonych rękach i o jego oczach bladych. Uśmiechała się oddychając wonią poezyi która tryskała z jego słów, i miłym zapachem różanym, jaki wydobywało ciepło pokoju z jój bukietu.

Lekkie dotknięcie jakie poczuła na fałdach sukni od strony krzesła, na którym siedział Jakób, zdziwiło ją. Instynktem, jednym z tych ruchów wrodzonych kobiecie, przesunęła ręką, aby przyglądać suknię. Nagle wydała okrzyk przerażenia i cofając swą rękę, zerwała się na nogi. Długa śliniasta struga, którą ogień od kominka czynił podobną do siatki srebrzystej, porysowała jój czarną suknię pensyonarską. Z jaki tuzin ślimaków przechadzał się majestatycznie po téj sukni.

Jakób krzyknął rozpaczliwie, zaczerwienił się jak student złapany na gorącym uczynku, i rzucił się do swojego koszyeczka. Liście, którym był przykryty poodchylały się i dały przejście całej armii małych ślimaków. Przechadzały się swobodnie po jego wy-

drzanéj czapce, lecz znajdując dla siebie tę przestrzeń z byt małą, porozłaziły się po posadzce, meblach, dywanach, wszędzie; ani jeden nie pozostał w nieszczęsnym koszyku.

Jakób wznosił na Sabinę wzrok błagający.

— Przepraszam! — rzekł pokornie. Wszystkie były zamknięte w skorupach. Nie przewidziałem, że ogrzane ciepłem kominowem, porozłazały się. Wszak pani wiesz... to na syrop pektoralny dla ciotki Ydoiny...

Zwrócił się do Sabiny. Instynkt mu radził, że na ten trywialny wypadek będzie pobłażliwszą od siostry. Ale strasznie się zawiódł.

— Przekłete ślimaki! — mruknęła mimowoli — wszystko poplamia!

— O bynajmniej — rzekł Jakób naiwnie — one nie nie plamią. Trochę czystéj wody, a wszystko się zmyje.

Ale to nie o kobiercach myślała Sabina.

— Mogłeś pan zostawić je w przedpokoju — mówiła dalej dość szorstko, zupełnie takim samym tonem, jakby łąjała niegrzeczne dziecko.

— Przebacz mi pani! — jękał się Jakób.

A miał minę tak nieszczęśliwą, że Flora wzięła za złe Sabinie jéj surowość, a kiedy się i do niéj zwrócił, powtarzając.

— Przebacz mi pani! — ona poszła za popędem swojego dobrego serca i wyciągnęła do niego rękę. On ją ujął w swoje duże łapy, a nie śmiąc uścisnąć, zatrzymał delikatnie, jakby coś kruche go, co się łatwo stłucze. Flora, sama nie wiedząc dlaczego, odwróciła się i zarumieniła.

— Aby dowieść panu, że nie mam do niego żadnéj urazy, pomogę w schwytniu zbiegów pańskich.

Gdy Sabina postrzegła ich oboje tak wesoło zajętych wyszukiwaniem kleistych śladów ślimakowych, gdy usłyszała srebrzysty głos Flory, mieszający się ze słowami Jakóba, wciąż się uniewinniającego, powiedziała sobie:

— W saméj rzeczy on ma słuszość: ślimaki nie nie popsują.

## VI.

Nazajutrz z rana ubożuchny promień słońca, drżący, bojaźliwy usiłował przeniknąć wilgotną zasłonę, za którą przed nim ukryła się ziemia. Słońce przyswiecało blado, niby uśmiech wśród łez; ziemia za to wyjrzała z całym przepychem dyamentów, któremi deszcz przyozdobił jej łono. W jednej chwili wszystko się rozradowało: koguty pisać zaczęły, ptaszki wstrząsały swoje skrzydła zmoczone i skakać zaczęły. wstrząsały główkami obojętnie jakby ich nie pogoda nie obchodziła, motyl nawet próbował pofruwać, lecz zawiódł się biedak, i ciężko spadł na powiędłe liście.

— Korzystajmy z tego uśmiechu pogody i złóżmy wizytę sąsiadom Allais—rzekła Sabina do młodszej siostry, skoro tylko pan de la Rullière wyruszył w pole. Każę zaprzadź mego kuca. A jeśli chcesz możesz iść naprzód, pójdziesz aleją topolową, wzdłuż strumienia... zawsze wprost siebie. Ja cię dogonię.

Flora kontenta, że może oswobodzić się z nudów, które ją otoczyły jakby jakaś ciężka osłona, której fałd wstrząsnąć nie mogła, z radością przyjęła tę propozycję.

Park w Rullière musiał być kiedyś bardzo piękny. Chciwość materyalnych korzyści obecnego właściciela niczego nie zaniedbała, aby ogołocić go ze wszystkiego, co mu nadawało widok poetyczny i wspaniały. Pan de la Rullière nie mógł jednak przeszkodzić olbrzymim kasztanom, aby nie zaginały swoich ogołoconych z liści gałęzi w pyszne łuki gotyckie, ani też zabronić murawie, aby nie rozposcierała swoich zielonych kobierców, które na wiosnę stroiły się zapewne w przeróżne kwiatki. A przecież tym biednym kwiatkom wypowiedział wojnę na zabój, ponieważ mu siano zanieczyszczały. A co też nie wyrabiał ze strumykiem, który sączył się srebrzystą wstęgą wśród trzciny i sitowia, i przeskakiwał fantastycznie zawady napotykanne na drodze, aby utrzymać go pomiędzy dwoma brzegami wykładanymi betonem i nadać mu łożysko regularne i szerokie? Na szczęście strumyk się zbuntował, i pewnego dnia pogodnego na wiosnę, wezwawszy w pomoc wszystkie śniegi spadłe z gór, zerwał wszystkie tamy, wyszedł z brzegów i nagromadził tyle piasku i kamieni, iż z nich w oczach swojego przesładowcy utworzyły się niewielkie malownicze kaskady. Wprawdzie korzystający ze wszystkiego właściciel, powydobywał kamienie

i użył ich do naprawy dróg, lecz zrzekł się dalszej walki ze strumieniem, przewidując drugą porażkę. Tego dnia strumyk zwiększony przez deszcze kilku dni poprzednich pomrukiwał sobie skromnie pieśń zwycięstwa, przybierając minę większego potoku i bawiąc się pochylaniem kępek trzciny, która tu i ówdzie wyrosła. Po piasku stały sobie pliszki, a całe stada dzikich kaczek przecinały powietrze trójkami. Flora szła pomалу, poruszając nogą zwiędłe liście gęsto zaścielające ziemię, przysłuchując się temu szmerowi, jaki wydają krople deszczowe spływające zwolna z gałęzi i krzaków. Wrażliwa aż do zbytku zjednoczyła się niejako z tym melancholicznym widokiem i w chorobliwym swem usposobieniu znajdowała urok w tym smutku rzeczy martwych. Naraz gruby głos wyrwał ją z zadumy.

— A do kaduka! Toć to moja córeczka chrzestna.

Nie widziała nikogo zbliżającego się do siebie, a szmer strumyka tłumił odgłos wszelkich kroków. Odwróciła się żywo i znalazła się oko w oko z jakimś strzelcem; fuzyę miał na ramieniu, a torbę myśliwską u boku.

Byłże-to młody człowiek?

Włosy krótko przystrzyżone, gładko przyczesane, były siwawe. Długa tunika z grubego sukna obejmowała jego kibić wysmukłą, i dochodziła do kolan; skórzane kamasze wiązyły jego gole nie delikatne i chude, nogi nadzwyczajnie małe obute były w grube buty, mały okrągły kapelusz pokrywał głowę dziwnej téj osoby nie mającej żadnego na twarzy zarostu, oczy tylko czarne żywo połyskiwały.

Bez żadnej ceremonii zbliżył się do Flory i ucałował ją głośno w obadwa policzki.

— No, jakże się miewasz, mała? — zawołał głosem mocniejszym, niż była potrzeba, zapewne, aby się wydał bardziej mężczyzną.

Flora przypominała sobie tę twarz, jednak nie pamiętała wcale swojego ojca chrzestnego.

Odpowiedziała z pewnem wahaniem:

— Dziękuję, ojcze mój chrzestny.

Myśliwy głośnym wybuchnął śmiechem i śmiał się jeszcze, gdy Sabina ukazała się w alei, poganiając swojego kuca zaprzęzonego do bryczki.

— A właśnie wybrałyśmy się do was — zawołała zdaleka. Wróćcie się. Dosyć będzie miejsca dla nas w bryczce. Trochę się ściśniemy, a Flora może usiąść na twoich kolanach.

— Sabino,—odważyła się wyrzec Flora—nie wymieniłaś mi nazwiska tego... pana.

Sabina z kolei zaśmiała się.

— Ten *pan* jest twoją matką chrzestną. Panna Florymunda des Allais, i o ile ją znam nie mogłaś jęj większję sprawić przyjemności, jak biorąc ją za mężczyznę. Lubi pozować na mężczyznę, wszak prawda Florymundo!

— Nie bardzo ei do twarzy, abys mnie ganiła—rzekła sucho stara panna. Dlaczegoż, proszę cię, pozujesz zawsze w swęj toalecie jaskrawęj.

— Dajmy na dziś pokój wszystkim kłótniom!—odrzekła Sabina dotknięta w swoję słabą stronę.—Niechże nie pomysli mała, że żyjemy z sobą w nieporozumieniu, gdy w gruncie rzeczy jestešmy najlepszemi w świecie przyjaciółkami.

Jednakże, pomimo najlepszyc zamiarów Sabiny, rozmowa nie obeszła się bez maleńkic docinków niewinnych. Zwyczaj sprzeczania się z sobą zbyt był zakorzeniony u obydwóch kobiet, zresztą bardzo podobnych do siebie, aby chociaź na chwilę mogły o nim zapomnieć. Sabina znajdowała tu nawet pewną przyjemność, zwłaszcza, że stara panna odcinała się dowcipnie i w dość oryginalny sposób. Flora ze zdumieniem spoglądała na tę dziwną osobę, z której przebraniem nigdy się oswoić nie mogła. W rysach jęj twarzy było coś podstępnego, co młodęj dziewczynie wcale się nie podobało, a oczy jęj czarne zdawały się zanadto połyskujące, aby miały dobroć objawiać. Myliła się. Panna Florymunda w samęj rzeczy była dobrą, lecz Flora powzięła ku nięj od pierwszję zaraz chwili niewytłómaczoną antypatyę tak bezwzględną i tak trudną do wytępienia u dzieci, a Flora nie umiała wyrozumować swyc wrażeń tak samo jak tego nie umięją małe dzieci.

Wnet ją znużyła rozmowa, słuchała jęj z roztargnieniem, a w końcu zatopiła się cała w kontemplacyi krajobrazów, które ją otaczały.

Niejasne wspomnienia dzieciństwa przywodziły jęj na pamięć długie alee, stary młyn, niebieskawe zarysy wzgórz oddalonych. Wszystko to zwolna przypominała sobie, jak z kilku ułamków przypominamy sobie śpiew dawno zapomniany. Droga przechodziła przez niewielki lasek sosnowy. Koń postępował zwolna, zaturzając kopyta w gruncie błotnistym i czerwonym. Przez drzewa i gałęzie porośłe mchem złocistym przeciskały się promienie słońca, przyczepiając się do kropli wody zwieszonych na igielkach sosnowych i nadając blask szmaragdów kępkom mchowym deszczem przesyconym; wiewiórki skakały po gałęziach, sroki skrzeczały w gęstwinie, miły zapach żywiczny wydobywał się z wilgotnych liści iglastych.

— Jakże tu pięknie, jak przyjemnie!—szeptała Flora.  
Coś poruszyło się w krzakach.

— To kuropatwa—zawołała panna Florymunda. Zeskoczyć z bryczki, chwycić za fuzyę i zabić zwierzynę było dziełem jednej chwili.

Podniosła spokojnie kuropatwę jeszcze dyszącą i obejrzała ją całą.

— Łapki czerwone — rzekła z zadowoleniem — młoda, wyborna, doskonały był strzał. Weź to mała, to podarek od twego ojca chrzestnego, zjesz ją za moje zdrowie. Jedźcie wy dalej, ja wrócę piechotą do domu. Ubocznymi ścieżkami prędjéj od was przybędę.

Rzuciła kuropatwę na kolana Flory, która mimowolnie cofnęła się ze wstrętem. Kilka kropli krwi padło na jej sukienkę. Nie śmiała dotknąć ręką tego ptaka, którego piękna główka, zdawało się, spogląda jeszcze na nią.

— Sabinko!—rzekła łagodnie, gdy same pozostały.

— Cóż takiego?

— Wszak to okrucieństwo?

— Przecież ich żywcem jeść nie można. Nie bądźże tak sentymentalną.

— Oh, Sabino! serce mi mówi, że sprawiać cierpienie jakiemu-bądź stworzeniu jedynie dlatego, że nas to bawi, niegodnem jest kobiety.

— Wyborniebyś gospodarowała z Jakóbbem. On zupełnie twój jest zdania. Ale moja mała nie bądź tak surową względem tych starych panien. Wszak one nigdy nie kochały, a takim wszystkim się przebacza.

Zacięła się. Ze wzruszenia głos jéj zatamował się, Flora spojrziała na nią zdziwiona. Czy to żal tak ją przemienił? byłoż to wypomnienie? Flora pytała sama siebie, nie znając wcale przeszłości swéj siostry. Lecz widząc pomieszanie Sabiny i jéj wzrok rozrzewniony, który w takiéj zostawał sprzeczności z jéj zwykłym zachowaniem się, pomyślała sobie.

— Ona kochała, kocha może jeszcze.

Na samym skraju lasu ukazał się zamek... panna Ydoina nazywała go *kastellem* panów des Allais. Onego czasu, niegdys wyglądał on dumnie wspaniale, wzniesiony na wzgórzu, otoczony fossami i wałami. Zburzony podczas rewolucyi, odbudowany około roku 1830 w stylu tak zwanym gotyckim, który podówczas był w modzie, stał się śmiesznym cokolwiek przez swoje spieczaste łuki gipsowe, wieżeczki pretensjonalne opatrzone daszkami i fra-

mugami zapelnionemi trubadurami i kasztelankami. Flora, która miała wstręt do wszystkiego, co było w złym guście, nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

— Ta szkaradna zabawka, zupełnie podobna do piernika, ma być zamkiem des Allais?—zapytała.

Sabina uczyniła znak potakujący.

— Pan des Allais jest z niego dumnym?

— A dlaczegożby nie?—odrzekła sucho Sabina. Jego przodkowie posiadali go od czasów niepamiętnych.

Potem zmieniając ton: — Tam, gdzie serce nas wiąże, tam kwestya piękności lub brzydoty jest podrzędna. Przywiązanie zastępuje pierwszą a wymazuje drugą.

Znów ze zdziwieniem spojrzała Flora.

— Czyliżby ona kochała Jakóba?—rzekła do siebie.

Nie śmiała pytać siostry, lecz w miarę jak się zastanawiała przypuszczenie to coraz więcej nabierało pewności. I to wydało się jój bardzo naturalnem, bo Jakób z Sabiną znali się od dzieciństwa. Ale dlaczego nie pobrali się?

Sabina jako gość zwykły weszła bez meldowania się do pokoju panny Ydoiny. Starsza z dwóch leciwych panien, usadowiła się, jak gołąbka, na wysokości jednej z wieżyczek, które chudym swoim profilem zdobić miały fasadę zamkową.

Panna Ydoine była powagą dla całej rodziny. Uszanowanie Jakóba dla téj staréj żyjącej relikwii równało się czci, a jego siostra, której charakter energiczny i stanowczy obyłby się bez posłuszeństwa, nie śmiała przedsięwziąć bez przyzwolenia panny Ydoiny. Dla tych charakterów tak usposobionych do uszanowania i pokory, prawo jój starszeństwa było powagą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości. Ona, bojaźliwsza, łagodniejsza od siostry przyjmowała ten hołd poszanowania z pewnego rodzaju pokorą. W tym szczególniejszym domu każdy był posłusznym, a nikt nie rozkazywał.

Do niewielkiego saloniku owalnego, którego sufit zdobiły złociste gwiazdy, Sabina wprowadziła swoją siostrę. Tajemnicze światło przeciskające się przez różnobarwne szyby rzucało jakiś fantastyczny odbłysek na ściany obite malowanym papierem. Rycerz uzbrojony od stóp do głów, podający różę złotą kasztelance ubranej w suknię błękitną powtarzał się do nieskończoności, zmieniając się niekiedy na trubadura grającego na gitarze.

Meble z wielką troskliwością dobrane uwydatniały swoją formą niezgrabną i pretensjonalną zamięłowanie w gotyku z końca Restauracyi.



Przy kominku, oddzielonym od saloniku parawanem, na fotelu z grzbietem wysokim uherbowanym, postrzegła Flora starszą kę szczupluteką i bladziuteką, w której odgadła starszą pannę des Allais. Długie loki, niegdyś blond koloru, otaczały jej twarz wychudłą; czepeczek upstrzony kwiatami okrywał jej głowę.

Przyjęła młodą dziewczynę z uprzejmą powagą pomieszana z czułą życzliwością. Głos jej był kwilący jak turkawki. Zaprosiła ją, aby się zbliżyła do ognia.

— Dziś tak wilgotno! — rzekła, udając, jakby ją dreszcze przejmowały. — Jakżeś podobna do twojej biednej matki. Przygotuję ci filiżankę odwaru hizopowego, jakiego zwykle używam. Jakaś była dzieckiem lubiłaś bardzo moje karmelki pomarańczowe. Dobrze to pamiętam.

Przed nią na rzeźbionym pulpicie leżał zeszyt otwarty.

— Widzisz kochanie — rzekła, zwracając się do Sabiny— że znowu przyjemniam swobodne chwile mojej samotności przestając z muzami.— A potem znów odezwała się do Flory— czy spisywałaś kiedy swoje wrażenia językiem bogów na Parnasie?

— I tak nie mało się nakłopotę, aby się wyrażać w prozie dobrą francuzczyzną— odrzekła trochę złośliwie dziewczyna.

— Co do mnie, nienawidzę prozy, — rzekła z pewną ostentacją panna Ydoine. Staram się upoetyzować najmniejszy wypadek w życiu, i lubię papierowi zwierzać moje wrażenia. Jest to drobnostka, kilka wierszyków za ledwie, jakaś myśl ulotna, w guście takim, jak pisał Lamartine. Jakób jest zdania, że muszę kiedy zdecydować się ogłosić to drukiem. Niekiedy także układam melodyę, to mi rozrywkę sprawia. Wczoraj wieczorem skomponowałam muzykę do tego pięknego romansu, co nosi moje imię „Piękna Ydoine usiadła pod drzewem oliwnem“.

Drzwi się otworzyły.

— A otóż i Jakób! Mój dobry przyjacielu, jak się przywitasz z paniami, trzeba żebyś poszedł po swój flet i zagrał im tę aryę, którą skomponowałam wczorajszego wieczoru do *Pięknéj Ydoiny*, wiesz już. Sam uważałeś, że to bardzo wdzięczne, szczególnież też zwrotka:

I zanuciła:

Ach, bogowie!

Kto z miłości znosi zmartwienia,

Dozna wnet ulgi, pocieszenia.

— Jestem pewną, że Flora z przyjemnością cię posłucha... On gra bardzo pięknie na flecie, ale jest tak skromnym!... Pisze także wdzięczne sonety. Obaczysz, moja miła, że i do ciebie wystosuje jaki sonecik... Otóż mamy i Florymundę. A zmieniłaś kochanie swoje obuwie? Dziś taki czas wilgotny! Czuję się bardzo cierpiącą, bez mojej wody werbenowej, nie wiem, co by się zemną stało.

Słowa stariej panny płynęły tak jedno po drugim z jednostajnością sączącej się cieplej wody, która się wydobywa ze źle zamkniętego kranu. Flora nie słuchała jej dłużej. Jakób utkwivszy w nią swoje duże bezbarwne oczy, pograżył się w jakimś marzeniu. Sabina i Florymunda prowadziły dalej swą walkę podjazdową, zadając sobie ciosy podobne do ułucia śpilką.

Flora pomyślała sobie: A to mi trzy istoty! tak nudnych i tak śmiesznych jeszcze nigdy nie spotkała. A przypatrując się im z kolei, zdało się jej, że zrozumiła, dlaczego Sabina za męża nie wyszła.

Kiedy się wreszcie znalazła w lasku sosnowym odetchnęła swobodnie.

Sabina była milcząca: rzeczy nie układały się według jej życzenia. Odgadła wrażenie, jakie dziewczyna wyniosła z tych pierwszych odwiedzin.

— Sabino, czy wszyscy nasi sąsiedzi podobni do tych, u których byliśmy? — zapytała Flora po długim milczeniu.

— Wszyscy nasi sąsiedzi?... Myślisz więc, że mamy ich więcej? Oprócz dwóch czy trzech rodzin szlacheckich z Saint-Romuald, z którymi ojciec pokłócił się od dawnego czasu i kilku osób urzędowych, jak prefekt, komendant, poborca, których znać nie chce, otaczają nas sami tylko biedni rolnicy.

— Tak więc, wyjąwszy moją matkę chrzestną z jej hekatombą kuropatwy, wyjąwszy pannę Ydoinę z jej tyzanną i poezją, wyjąwszy Jakóba z jego fletem i ślimakami, trzeba żyć samą, zawsze samą! — westchnęła Flora.

— A jakże ja żyję? — rzekła z pewną szorstkością Sabina. Usunęła trochę Florę, która się do niej przytuliła.

— Posłuchaj — rzekła znów — ja nie umiem pięknymi wyrażać się frazesami. Jeśli nie odgadujesz całej głębi przywiązania, jakie czuję dla ciebie, tem ci gorzej. Nie będziesz się tu bawiła, to rzecz jasna. Lecz nie mam czasu zajmować się tobą. Nawet mniej tu ci będzie wesoło, niż w klasztorze. Lecz bądź przekonaną, iż jeśli cię tu sprowadziłam, to jedynie dla twojego szczęścia. Tak

samo, jak ty widzę dobrze wszystkie śmieczności i wady tych ludzi. Staraj się na nie zamknąć oczy, a zwróć uwagę na ich istotne przymioty, a zaręczam ci, że będziesz w końcu szczęśliwą z niemi.

Flora smutnie wstrząsnęła głową. Wszelako przyrzekła sobie uczynić wszystko, co będzie w jej możności, aby przywyknąć do myśli, że kiedyś Jakóba będzie miała za... swojego szwagra.

## VII.

Jakób des Allais wsparty o pień drzewa, włożywszy ręce w kieszenie i nos wysunawszy naprzód, ścigał wejrzeniem od jakiego kwadransa małe sikory niebieskie, zziębnięte i drżące na ogołoconych z liści gałęziach, które szron ustroił w koronki kryształowe. Pola spały pod białem okryciem śniegowem, na którym tu i owdzie, czerniły się wrony; woda niewielkiego jeziora drzymała również, spowita płaszczem lodowym; słońce świeciło na bladym lazurze nieba, nie ogrzewając wcale tej uśpionej natury. Za buki bez liści, za lasek sosnowy, którego posępna zieloność ugięła się pod ciężarem śniegu, za ścieżką ubieloną, na której widać jeszcze było ślady małej nóżki, przeniosła się jego wyobraźnia, gubiąc się w nieskończoności.

Tak samo jak Sabina, lecz z przyczyn innych, Jakób nigdy nie był młodym. U niej przedwczesna odpowiedzialność, umysł z natury pozytywny w sposób nagły przemieniły dziewczynkę w kobietę, u niego znów wiek dzincinny długo się ciągnął przekroczywszy granice młodości, a nawet wieku dojrzałego. Jego edukacją kierowały dwie stare ciotki. Z abnegacją należąca do innej epoki nie wyszły one za mąż jedynie dlatego, aby nie zmniejszyć ojcowizny swojego brata. Wszystkie uczucia tych dwóch serc zogniskowały się w miłości dla tego chłopca. Wychowanie i edukacja czysto kobieca pełna oszczędzania i przemilezania musiała wyrzucić nieuniknione skutki: niezachwianą wiarę i przesady dziecinne, obok delikatnych i szlachetnych uczuć przesadną skromność pensyonarską, a szczególnie też zupełną nieświadomość surowych warunków rzeczywistości. Ojciec jego który wydał rozkazy jak pan samowładny, jak ojciec rodziny z czasów feu-

dalnych, nigdy go nie wtajemniczał w szczegóły swoich interesów, sam jedynie zajmując się administracją całego majątku. Jakób tak był przyzwyczajony do szanowania téj władzy, którą uważał za najświętszą, iż nigdy mu przez myśl nie przeszło, aby chociaż na jeden dzień miał się wydalic z domu bez pozwolenia ojca. Pieniądze, któremi mógł rozporządzać, otrzymywał w tak małej ilości, że nawet studencik nie poprzestałby na nich, a jednak nigdy się o nie nie upominał. Kiedy pan des Allais umarł, Jakób naraz został głową rodziny, panem dość pięknego majątku, którego wartości pieniężnej nie znał, człowiekiem wreszcie, który nigdy nie był młodym. Miał już wtedy przeszło lat trzydzieści. Pobiegł zaraz do ciotki Ydoiny, prosząc ją, aby się zajęła jego interesami, na których wcale się nie znał. Pocziwa staruszka znała się na nich jeszcze mniej, niż on. Udano się więc do Florymundy, której umysł był trzeźwiejszy i praktyczniejszy. Ta zgodziła się na to, że porozumie się z notaryuszem i dzierżawcami, ale pod tym warunkiem, że każdą jéj czynność rozpatrzy ta szczególniejszego rodzaju rada familijna. Jakób przystał na to i o nic więcej się nie troszczył, pędził życie swobodne, oddany swoim marzeniom; ta podwójna troskliwość macierzyńska ukołysała jego umysł zupełnie.

Jednem słowem uważał się za szczęśliwego aż do dnia, w którym spotkał Florę. Dotąd wystarczały mu marzenia. Ciotki wprawdzie nasuwały mu niekiedy myśl o małżeństwie, przypominając mu z niesmiałością, iż obowiązkiem jego niedopuszcic, aby wygasło nazwisko które nosił. — Mamy jeszcze dosyć czasu o tem pomyśleć — odpowiadał Jakób, którego serce było jeszcze kartą białą. Pocziwe stary panny nie nalegały. A może, same nie wiedząc o tém lękały się trochę, aby nie wprowadził do domu jakiejś obcej osoby, coby zamęciła im spokojność błogą. Jedyną osobą, którąby chętnie przyjęły, była Sabina, ale o niéj wiedziały, że nie jest wolną; pozostawała Flora, dziecko jeszcze wprawdzie, ale rośnie ciągle, a matka chrestna jużby ją na swój sposób urobiła; niepodobieństwem, aby ona nie pokochała i nie oceniła ich Jakóba.

W cichości cieszyły się tym projektem.

Jakób wiedział o tém, pomieszanie jego było więc tém większe, gdy się znalazł po raz pierwszy w obecności téj, którą spodziewał się kiedyś nazwać swoją żoną, matką swych dzieci. Na tę myśl samą Jakób się zarumienił, gdyż wydało się mu, że Flora była czemś tak nadziemskim, tak czystem, iż miłość jego dla niéj była profanacją.

A kochał ją szalenie. Wszystkie chimery, wszystkie przywidzenia, jakie sobie utworzył, rozpierzchły się na sam jój widok. Wszystkie te puste marzenia tysiączne, wpośród których żył, znikły, jak znikają cienie nocy za wejściem jutrzeńki. Miłość była pierwszą rzeczywistością tego umysłu rozkołysanego i chwiejnego. Uczucie gorące, jak krew w jego żyłach, ogniste jak pragnienie jego duszy zawładło nim na zawsze.

Od chwili, kiedy ujrzał Florę w całym poetycznym blasku jój piękności, w całym rozkwicie jój młodości, serce jego rwało się do niój. Była ona dla niego wcielonym marzeniem, znalezionym ideałem. Nie troszczył się wiele o to, czy ona go kochać będzie. Był niezgrabny, roztargniony, brzydki, nieznający świata i jego obyczajów. Wiedział o tem wszystkiem; wszak ona sama, z tą łatwością stosunków wiejskich, które wkrótce zmieniły się pomiędzy niemi w zupełną poufalskość, wyrzucała mu łagodnie ciągle roztargnienie i niepożyteczność jego zajęć. Widywali się codziennie, i całe życie Jakóba koncentrowało się w tój chwili, która go z nią łączyła.

Ona nie domyślając się tój głębokiej czci, jakiej była przedmiotem, postępowała z nim niekiedy z wdzięczną powagą starszój siostry, łajała go, wypowiadając gorzkie prawdy. A potem widząc jego minę godną pożałowania, i lękając się, czy go nie obraziła, wyrzucała sobie swoją szczerosć, i to współczucie dla istoty, którą uważała, trochę sama nie wiedząc dlaczego, jako dziecko chore, natchnęło ją względami szczerój litości. Łagodny pieściotliwy jój głos upajał go szczęściem. Był szczęśliwym. Widzieć ją koło siebie, móżdż na nią w milczeniu spoglądać, iść za nią, jak wierny pies na przechadzce, mieć zawsze pod ręką kwiatek, który podejmował jak relikwie, gdy przypięła go do boku, a potem zwiędły odrzuciła, to mu wystarczało, nie pragnął więcej. Nie pomyślał nawet mówić jój o swojej miłości, zresztą nigdyby się na to nie odważył.

Pewnego dnia wiedziała, że ma przyjść. Przyjęła bowiem propozycyą, którą jój Jakób uczynił, że pożyczy jój książek. Jakób uniesiony radością, rozzuchwalony szczęściem do tego stopnia posunął swoją śmiałość, iż w jednej z tych książek podkreślił pewien ustęp, z którego Flora mogła się domysleć jego wyznania. Gdy zdala postrzegł jój jasnowłocą główkę, przystrojoną w czapkę futrzaną, biedak zakochany tak się przestraszył, iż uciec miał wielką ochotę. Co powie na swoje uniewinnienie się i jak się zachowa, aby choć trochę być pewnym siebie? Jakób wstydził się

swojego uczynku. Ukrył się za gestemi krzakami. Gdy była tuż koło niego, i przechodziła nie widząc go, ośmielił się, nie wychodząc z ukrycia wyciągnąć rękę i podać jęj codzienną ofarę. Były to fiołki o bardzo przyjemnym zapachu, które wypielegnował umyślnie dla nięj.

Przelekła się.

— Ah! jakżeś mnie pan przestraszył.

— Przystraszył! — powtórzył smutnie. — Jest-to więc to samo uczucie, jakim cię natchnąłem gdy byłaś mała, przypominasz sobie pani?

I mówił dalej bez żadnego związku, sam nie wiedząc, co chce powiedzieć.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy, tylko więc strach mogę zbudzić w pani.

Flora nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

— O przepraszam, od owego czasu stałam się daleko odważniejszą. Widzisz pan, sama przecież przyszłam, bez żadnej eskorty. Niezego się teraz nie boję, mój poczciwy panie Jakóbie, owszem, przeciwnie, mam dla pana wiele przyjaźni i wdzięczności i za bukiet i za tę dużą książkę, którą odnoszę.

— Czytałaś ją pani? — zapytał naiwnie Jakób.

— Od deski do deski i to z wielkiem zajęciem.

Jakób jakby skamieniał. Straszna boleść ścisnęła mu serce. A więc ona czytała i nie pojęła go.

— I przyszłam prosić o drugą — mówiła dalej najnaturalniejszym tonem.

— Wejdź pani — rzekł Jakób zawiedziony, znękany, zrozpaczony.

Szedł przy nięj milcząc. Bo i cóż miały jęj powiedzieć?

Wstąpili na karykaturę mostu zwodzonego, który dawał przystęp do zamku, i przeszli przez jedno z podwórzcy wewnętrznych. Przechodząc koło jednych drzwi uchylonych, posłyszeli jakies chrząkanie. Jakób stanął, zawahał się.

— Co to takiego? — zapytała Flora.

— To zapewne... zapewne...

Wreszcie powziął nagłe postanowienie, i całkiem otworzył drzwi. Wśrodku czworokątnego podwórza Flora postrzegła swoją matkę chrzestną, której ubranie na wpół męzkie jeszcze dziwniejszem się wydało przez polowanie, jakiemu się oddawała. Wywijając energicznie kijem, który trzymała w rękę, usiłowała zapędzić do chlewa ogromnego wieprza, któremu się zechciało użyć trochę

swobody. Kwiczał i rzucał się, gdy tymczasem panna Florymunda biła gdzie się zmieściło, i ścigała zbiega, czerwona z zimna i gniewu. Poryty śnieg tu i owdzie świadczył, że walka długo już trwała. Jakób nie namyślając się weale rzucił się naprzód, a chwytając winowajcę za nogę, za ucho, gdzie tylko mógł, siłą zaciągnął go do zwykłego miejsca jego przebywania. Panna Florymunda wnet znikła, nie zauważywszy nawet obecności swej chrzestniaczki. Kiedy żałośliwe kwiczenie ustało, Flora ujrzała znów Jakóba z rozczochraną głową i brodą, z krawatem rozwiązanym i w czapce owęj wydrzanęj, w której niegdyś pochowały się slimaki, narzuconą na tył głowy, co wszystko nadawało mu minę tak pocieszoną, iż Flora nie mogła powstrzymać głośniego śmiechu. Jakób zatrzymał się i utkwił w nią spojrzenie tak żałosne, iż się zmieszala. W tym jego wzroku był wyrzut, który ją mocno wzruszył.

— Pani się śmiejesz — rzekł cicho. — Wiem dobrze, iż w jej oczach wydaję się śmiesznym aż miło. Jest-to drugie uczucie, którego pani doznajesz po owym strachu, jaki w niej niegdyś budziłem. I nigdy pani się nie domyślisz... nigdy nie zrozumiesz... to darmo. Jestem bardzo nieszczęśliwy.

Szybko skierował się do zamku. Flora w miłczeniu poszła za nim. Roztargniony szedł naprzód jakby zapomniał o niej. Przybywszy do przedsionka, otworzył drzwi, które ona widziała za wsze zamknięte.

— To mój pokój — rzekł. — Oto moje książki. Wybiera pani.

I nie zajmując się nią, wsparł się o kominek i skrył głowę w dłoniach.

Flora niepewna siebie, stanęła na progu. Było coś w atmosferze tego pokoju, co ją powstrzymało, gdyż bądź co bądź, chociaż Jakób był brzydki i niezgrabny zawsze był mężczyzną, a do tego młodym i nieżonatym, a kiedy mówił do niej, słowa jego miały tyle wdzięku, tak były poetyczne, iż mimowoli musiała o nim pomarzyć. A zresztą Flora miała lat siedemnaście, wyszła niedawno z klasztoru i po raz pierwszy znajdowała się sama w pokoju męzczyzny. Bojaźliwie obejrzała się wkoło. Ten pokój w niczem nie był podobny do tego, co dotąd widziała; był-to prawdziwie przybytek poety, jednego z tych, co myślą wierszami, które inni piszą. Szczątki kobierców i zbroi ocalonych z ruin starego zamku wisały po ścianach; dziwne stare sprzęty znalezione u chłopów i różne odłamy posągów były nagromadzone w malowniczym nieładzie. Po wszystkich stołach kwiaty sposepniałe od dusznej atmosfery

pokoju, wychylały się z naczyń kryształowych i fajansowych, rośliny kwitnące tworzyły prawdziwe gaje około okien, wypełniając powietrze swoją wonią. A tu i owdzie porozrzucane przybory rybackie, mnóstwo gniazd ptasich, osobliwe mechy i konchy perłowe. Śpiew ptasząt wydobywał się z dużej klatki wiejskiej; przed kominem, na dywanie perskim spoczywała w kłębek zwinięta kotka jak śnieg biała, między łapami dużego charta, a wszędzie książki w stosy nagromadzone i pochyłone ku sobie, jakby się zwierzały z tajemnic, które zawierają.

Flora wciąż się wahała. Zraniła więc Jakóba bardzo głęboko. Pozostał on wciąż nieruchomy, milczący, jakby jój wcale nie było. Litość wreszcie zatryumfowała nad jój zakłopotaniem. Zwolna i po cichu zbliżyła się do niego; nie odwrócił się przecież; położyła bojaźliwie rękę na jego ramieniu i głosem łagodnym, jak pieszczota:

— Jakóbie — rzekła. On zadrzał, Jakóbie, zrobiłam ci przykrość, daruj mi.

Nie poruszył się, lecz Flora ujrzała łzy spływające mu po palcach.

— Co ci jest Jakóbie? — zapytała. — Jesteś więc bardzo nieszczęśliwym? Powierz mi swoje zmartwienie, jak swojej siostrzyczce.

A potem bardzo cicho, jak przemawiamy do dziecka, którego chcemy uzyskać zwierzenie.

— Czy-to ja zrobiłam ci coś tak przykrego, że cię obeszło do tego stopnia? Powiedz mi, a drugi raz nie zgrzeszę. Przed chwilą nie mogłam się wstrzymać od śmiechu, lecz wcale nie chciałam cię obrazić, wszak nie wątpisz o tem... Powiedz mi, że jeszcze mnie kochasz choć trochę. Wszak prawda Jakóbie?

— Jeszcze trochę! O Floro, jesteś więc ślepą?

I odwracając ku niej twarz zmienioną mocnem wzruszeniem i oczy łzami przepełnione, złożył ręce jak do modlitwy. Miłość jego wielka jak uragan wstrząsnęła całą jego istotę, znosząc bojaźliwość, nieśmiałość i powzięte postanowienie.

— Ależ ja kocham ciebie jak szalencie! — wyjąkał. — Możesz ze mnie zrobić, co ci się podoba, swego niewolnika, rzecz swoją, możesz mnie zdeptać nogami, śmiać się ze mnie, jak z błazna, a nie zdołasz wyrwać z mego serca téj miłości, która się stała krwią żył moich. Tak, płaczę. A wiesz dlaczego? Wydałem ci się dziwnym, śmiesznym, śmiałaś się też ze mnie, to prawda, ale nie to jest przyczyną mojej rozpacz. Książkę, którą przeczytałaś nie rozu-



miejąc jój poruczyłem staranie, aby ci wypowiedziała część prawdy. Gorączka mnie trapiła, gdys ją czytała. Mówilem sobie: Ona się domysli, ona odgadnie, dlaczego wybrałem jój tę książkę, a nie inną, dlatego ręką drżącą osmieliłem się podkreślić w niej niektóre ustępy: A tyś nie rozumiała! Czy jestem tak obojętny dla ciebie?

Ona chciała mu przerwać.

— Oh! pozwól mi mówić! — ciągnął dalej. — Może już nigdy nie będę miał odwagi tego uczynić. Gdybyś wiedziała, o czym ja śmiałem marzyć. Moje serce podobne było do tego krajobrazu zimowego, który drżmie pod lodowym całunem nieświadomości. Zjawiłaś się, jak technienie wiosny, i zbudziłem się do życia. Wszystko co niegdys kochałem zogniskowało się w tobie. Łagodny ciepły deszczyk kwietniowy, który pełną dłonią rozsiewa po krzakach róże i kwiaty tarniny, zawiesza gwiazdy woniejące na zeschniętych lodygach i wyprowadza w jakim samotnym kąciku ziemi fiołki i konwalie; te rozkoszne drżenia długich nocy srebrzystych, podczas których wsłuchiwałem się w śpiew słowika ukrytego w krzakach; te harmonie, które mnie zachwycaly, one mi ciebie przeczuwać dawały. Znajduję w tobie wszystkie te piękności, te wzruszenia stokroć rozkoszniejsze, czystsze. O! Floro, ideale mój, ja marzyć śmiałem, że kiedyś będziesz moją. O, nie odpychaj mnie, nie oddalaj się! Było-to szaleństwem, zbrodnią! Wiem o tém, dlatego nie proszę cię nawet, abys miała litość nade mną. Wiem, że jestem istotą śmieszną, niepożyteczną, będzie ze mnie tylko to, czém natchnie mnie twoja miłość, lecz przynajmniej chciej ją poznać. Nie kochaj mnie, jeśli to dla ciebie niepodobieństwem, lecz nie bądź ślepą na to, coś sprawiła w mojem sercu.

Flora słuchała go, niepewna, wahająca się. Ogniste słowa Jakóba brzmiały w jój uchu, jak melodia oddalona. Był-to jakby miraż jaki, który jój ukazywał istnienie uczucia gwałtownego, wszechpotężnego, silnego jak życie samo, którego ona kiedyś dozna zapewne. Całe nieszczęście Jakóba, iż dał poznać Florze, co to jest miłość, nie mogąc jój zbudzić w niej.

Widząc, że słucha go zarumieniona i pomieszana, a sama nie mówi, Jakób nabrał odwagi:

— Floro, kochanie moje, czyli niesłusznie rozpaczam? — szepnął.

Ona wyjąkała:

— Nie wiem... To wszystko jest dla mnie tak nowe, tak dziwne...

Dodatek Tyg. Pow. Nr. 40. („Kłamstwo Sabiny.“ Ark. 8).

A potem nagle odpowiadając temu głosowi wewnętrznemu który odzywał się w niej i mieszał bardziej niż słowa Jakóba.

— Oh, jakżeś szczęśliwy! — zawołała. — Czegóż się skarżysz? Jakże to musi być przyjemnie tak kochać, znajdować swoje szczęście w drugiej istocie, zapominać o wszystkim, co nie jest nią; żyć jedynie jój życiem... Ah to rozkosz prawdziwa! Biedny mój przyjacielu, gdybyś wiedział, jakbym pragnęła złożyć moją rękę w twoich dłoniach, i powiedzieć: Oto jestem, ukołysz mnie swojemi słowami i zrób mnie uczestniczką twójogo szczęścia... lecz nie mogę... nie mogę... późniój może.

— Ah, nie dawaj mi téj nadziei! Nie kochasz mnie i nigdy kochać nie będziesz!

— Być może — powtórzyła dziewczyna. — Posłuchaj mnie Jakóbie, nigdy się nie spodziewała innem uczuciem cię natchnąć, jak tylko przyjaźnią. Trzeba mi zostawić czas, abym się przyzwyczaiła inaczéj być kochaną, abym mogła zbadać swoje serce. Pozostaw mi wolność. Jeśli mnie ujrzysz, jak przyjdę do ciebie i powiem ci: Jakóbie, rozważyłam, zgadzam się zostać twoją żoną, to pojmiesz, iż to jest wyznaniem uczucia podobnego temu, które mi wyraziłeś.

— Oh, gdyby ten dzień nastąpił kiedy, wtedy zwaryowałbym chyba ze szczęścia.

Flora smutnie wejrzała na niego. Rozrzewniła się pomimo woli. Jakież-to szczęście dać było w jój mocy.

— Wyobrażałam sobie, sama nie wiedząc dlaczego, że kochasz Sabinę — rzekła po chwili mileżenia.

— Sabinę? nigdy o tem nie myślałam.

— . . . . A jeśli ona cię kocha? Przyzwyczaiłam się widzieć w tobie mojego przyszłego szwagra, — i... — zawahała się. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że i ta myśl nie bardzo była jój przyjemną. A cóż dopiero, gdyby trzeba było podzielać życie Jakóba i stać się połową jego samego? W mgnieniu oka wyobrażnia nakreśliła jój, jakie to życie jój będzie w tym zamku, życie z dnia na dzień wśród tych dziwaczkich murów, gdzie nie nie przerywa jednostajności nędznego bytu, w którym ona z kolei stawałaby się przedmiotem drażniących przytyków swojej matki chrzestnej, drobiazgowej zyczliwości panny Ydoiny, i próżniaczego uwielbienia Jakóba; a te nieskończone wieczory zimowe podczas których trzeba nasłuchać się opowiadań o mniemanych chorobach staréj panny i co gorsza jeszcze niedorzecznych jój wierszy, po których następowałyby gra na flecie Jakóba, jedyna jego rozrywka, jeśli nie

przyjdzie proboszcz, aby z nim zrobić partyjkę wista. Dreszcze ją przejęły.... Tysiąc razy byłoby lepiej spędzić życie w Rullière wśród odpychającej mowy ojca i mało udzielających się uczuć Sabiny, zestarzeć się jak ona, lecz zachować przynajmniej pewne złudzenia.

— Muszę już odejść — rzekła. — Możem nie dobrze zrobiła, przychodząc tu, lecz nie wiedziałam, że...

— Oh! nie, nie, dobrześ postąpiła. Dałaś mi nadzieję, która zmieniła życie moje. O Floro, jakże to szczęście byłoby wielkie, skoro sama nadzieja, że kiedyś może być moim udziałem, taką upaja mnie rozkoszą.

Wysłała nie podawszy mu ręki i nie odwróciwszy się. Spieszno jęć było oddalić się od niego, aby jak największą przestrzenią oddzielić siebie od tego spojrzenia jego, które było wymowniejsze, niż sobie tego życzyła. Rozpoczęła się w niej walka, walka pomiędzy młodem jęć sercem wzruszonym miłością, którą, nie podzielaając jęć, rozplomieniła, a rozumem, który przemawiał do niej: „To szczęście, o którym marzysz, do którego wdychasz, możesz go dać wprawdzie, lecz sama go nie doznasz. Flora odpowiadała: „Nie jest-że to rozumowanie samolubne, a rzeczywistym szczęściem nie jest-że to, które dajemy?

Roztargniona, pomieszana machinalnie szła drogą do Rullière. Gruby głos ojca wyrwał ją z zadumy. P. de la Rullière był w najgorszym humorze. Oglądał właśnie swój ogród warzywny, i przekonał się o wielkich szkodach, wyrządzonych przez śnieg, którego ciężar powywracał mu wiele drzew owocowych. A ponieważ nikogo nie miał pod ręką, do którego mógłby się przyczepić za tę kłeskę, szukał więc ofiary na którą mógłby wyrzucić złość swoją.

— A zkąd-to idziesz? — zawołał, skoro tylko ją postrzegł.

— Od des Allais — odpowiedziała nie śmiało, przewidując burzę.

— Lepiejbyś zrobiła, żebyś tam i została. Nie chcę, abyś tam chodziła, aż ten niedołęga nie zdecyduje się przemówić. Rozumiesz mnie? Zabraniam ci włóczyć się po gościńcach. Jeśli Sabina nie umie cię dopilnować, to lepiejby zrobiła, żeby cię zostawiła w klasztorze. No proszę, a długoż to trwać będą te przedwstępne korowody? Przewiduję, co się stanie. Na moje stare lata zostaną mi na karku dwie dziewczyny przejrzałe. Nie, nie, nie z tego nie będzie. Wielki już czas, abym się w to wdał. Już ja targu dobiję. Jakób jest gap, co się zowie, będziesz go za nos wo-

dziła, i mnie słuchać będziesz, rozumiesz? — I odszedł nagle zostawiając ją jakby wrosłą w ziemię, bladą, drżącą jak listek.

A więc ojciec myśli ją wydać za męża, pomimo jęj woli. Będzie więc musiała walczyć nie tylko z miłością Jakóba, lecz jeszcze z wolą ojca, który budził w niej zawsze trwogę, graniczącą ze strachem. Nie czuła się dosyć silną, aby długo opierać się mogła wpływowi zewnętrznemu. Czyliż nie zawahała się przed chwilą pod wzruszeniem litości, którą poczuła dla Jakóba? A gdyby juległa, cóżby nastąpiło? Miałaby się poddać swojemu losowi i zasnąć lodowatym snem obojętności, utracając wszystkie swoje złudzenia? Albo też jęj serce zbuntuje się, aby sama się dręczyć za daremne usiłowania? Lecz inna jeszcze możliwość, bardziej straszliwa przedstawiła się jęj umysłowi. A jeśli spotka kiedy tego, co wywoła gwałtowne bicie jęj serca i wzbudzi to uczucie, które tak zachwyca Jakóba? Mężatka, połączona z człowiekiem, który nie umiał pozyskać jęj miłości, co się wtedy z nią stanie w owym dniu, kiedy się przed nią stawi ten, którego jęj serce przeczuwa?

„A ja chcę być szczęśliwą, chcę kochać taką miłością, jaką mnie Jakób kocha — zawołała namiętnie, biegnąc po śniegu, który skrzypiał pod jęj niecierpliwemi nogami. — Nie pójdę nigdy za męża przez posłuszeństwo jedynie, posłubię tego, którego pokocham, albo wcale nie pójdę za męża, jak to uczyniła Sabina, zestarzeję się jak ona, lecz przynajmniej moje illuzye zabiorę z sobą do grobu.

Sabina, nie byłaż dla niej drugą matką? Uda się do niej, niech ona rozstrzygnie jęj przeznaczenie. A jeśli Sabina kocha Jakóba, nie będąc od niego kochaną, jak o tem Flora najmocniej była przekonana, to jeszcze jeden powód więcej, aby los swój w jęj ręce złożyła. Ona najlepiej potrafi ją wybawić od tego małżeństwa i ochronić ją przed własną jęj słabością.

Sabina siedziała przy biurku i dodawała nieskończone kolumny liczb; gdy Flora weszła, nie podniosła nawet oczu i złożyła dopiero pióro, gdy jasno-włosa głowa jęj młodziej siostry wsparła się o jęj ramię.

— Czego chcesz? — zapytała krótko. — Pilno mi. Ojciec domaga się rachunku, a wcale dziś nie jest w humorze, aby pocekał na niego. Jeśli masz mi co do powiedzenia, to pospiesz się.

Flora wyprostowała się i odskoczyła żywo, jakby ją coś ukuło.

— Przepraszam! — rzekła. — Przykro mi, zem ci przeszkodziła. Spodziewałam się, że przy tobie znajdę pomoc i sympatyę... omyliłam się.

Chciała odejść, lecz namyśliła się.

— Sabino, odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, a odpowiedz z ręką na sercu. Czyś kiedy kochała?

Na twarzy Sabiny postrzegła nagłą wielką zmianę, która ją wielce zdziwiła. Żywy rumieniec ogarnął jej twarz całą, posępny ogień zapłonął w jej oczach czarnych, jakaś rzewność i żal odbijały się w jej rysach, nawet nie starała się ukryć tego swojego wzruszenia.

— Dlaczego mnie o to pytasz? — Tak, kochałam, kochałam jak zapewne ty nigdy kochać nie będziesz, ty sentymentalna, delikatna i egzaltowana.

— I kochasz jeszcze?

— Miłość nigdy nie umiera. Jeśli się zmienia, to jej wcale nie było, to nie była miłość.

— A więc jesteś szczęśliwą, bardzo szczęśliwą, że tak kochasz, wszak prawda? Nawet jeśli się niczego nie spodziewasz po tej miłości, nawet wtedy, gdy ten co cię nią natchnął nigdy się z tobą może nie połączy węzłem ziemskim, nawet gdyby kochał inną kobietę? Samo szczęście kochania wystarcza ci. Wszak tak Sabino.

Sabina zdziwiona tem namiętnem uniesieniem, którego przyczyny nie знаła, rozgniewana na własne wzruszenie, oparła się mu.

— Dajmy temu pokój, spodziewam się, żeś nie po to przyszła mi przeszkadzać w robocie, aby mi to powiedzieć?

— Posłuchaj Sabino! Nie znam historii twojego życia. Tajemnica twojego serca jest mi nie znaną. Lecz co tu znaczą szczegóły? Kochasz, oto wszystko, czego się chciałam dowiedzieć. Otóż, gdyby w miejsce tej miłości, która wypełnia całą twoją duszę, fatalność narzuciła ci nierozzerwalny związek, przykuła twoje życie do życia innej istoty, która dla ciebie jest obojętną, gdyby cię skazała na pozbawienie się tego żywszego słodsze go uczucia, i wzbrowiła jak zbrodni samego o nim zamarczenia?... cóżbyś uczyniła?

Sabina odrzekła bez wahania.

— Poddalabym się woli bożej, i spełniłabym mój obowiązek.

Florze rozszerzyły się oczy z przerażenia; ręką przycisnęła pierś wzburzoną i znękana wyszeptwała:

— Poddam się i ja. Będę posłuszną, jeśli tego trzeba... lecz umrę, czuję, że to będzie śmiercią moją.

## VIII.

Gdy p. de la Rullière nadszedł i ostro wyrzucać zaczął swojej starszej córce, że zaniedbuje jego interesa, nie nie robiąc dla kombinacji przez którą majątek des Allais ma się dostać pod jego rządy, i oświadczył, że na przyszłość sam się zajmie doprowadzeniem małżeństwa Flory, której wydał już rozkazy, aby mu była posłuszną pod każdym względem; Sabina pojęła i wytłomaczyła sobie wzburzenie dziewczyny. W głębi duszy wyrzucała sobie, że nie zajęła się serdeczniej jej zwierzeniem się, że powinna była wypytać się i okazać choć trochę sympatii. Lecz podobne myśli przychodziły Sabinie zwykle zbyt późno; pierwszy jej popęd nigdy nie odznaczał się ciepłem serdecznem, to też na nieszczęście uczucia jej jakby były przeznaczone na to, że się na nich nikt nie poznawał.

Instyktowo niedowierzała wszelkiej przesadzie uczuciowej, dlatego szczególniejszą okazywała pod tym względem powściągliwość z Florą, którą słusznie, czy niesłusznie uważała za zbytęcznie sentymentalną. Ponieważ sama była dość silną, aby spojrzeć oko w oko przeciwności i nie zachwiać się pod żadnym choćby najstraszniejszym ciosem nieszczęścia, nie mogła przypuszczać, aby dusza tego dziecka mogła się przerazić samą myślą cierpienia. Ta natura delikatna, cierpiąca chorobę istot słabych, które same sobie wystarczyć nie mogą, wydała jej się egzaltowaną, romantyczną. Było-to nieszczęście, choroba; Sabina widziała tu wadę.

Oskarżała Florę o niesprawiedliwość względem Jakóba, którego niezaprzeczone tylko widziała przymioty. Przyznała jednak, że edukacja jaką otrzymała Flora, tak różna od jej edukacji mogła ją uczynić trudniejszą co do niektórych punktów, które jej samej nie razily, i powiedziała sobie, że tu czas trzeba przyzwać na pomoc. Aby otrzymać od ojca przyrzeczenie, iż naglić nie będzie, użyła wszelkich środków, tak dużych jak małych, któremi tylko rozporządzać mogła. Odwilż, rozpoczęcie robót w polu, zdwojona czynność były największymi jej sprzymierzeńcami.

Sabina kochała siostrę, lecz jej nie rozumiała. Chętnie oddałaby za nią swoją krew i życie, lecz zupełnie była niezdolną do obdarzenia jej temi pieczyotami, które dla pewnych serc młodych

i wrażliwych tak są potrzebne jak powietrze którym oddychają. Kiedy Flora zaniepokojona nieznaną tajemnicą, nieznaną przyszłością, będącą może dla dziewczyny przecuciem cierpień kobiety, wylewała łzy, nie mające ani przyczyny, ani skutku, a które matka osusza jednym pocałunkiem; Sabina wzruszała tylko ramionami. Biedna mimoza do żywego tknięta, zamykała się w sobie, tak dalece, iż stało się to, co stać się koniecznie musiało. Flora coraz bardziej oddalała się od starszej siostry, i przestała rachować na jej współczucie. Lękała się walki z powagą ojca, lecz ten wbrew jej oczekiwaniu nie mówił nic o Jakóbie. Domysliła się tu interwencji Sabiny i utwierdziła się w tej idei, którą sobie utworzyła o przywiązaniu swjej siostry do dziedzica des Allais. To przekonanie, że Sabina kocha Jakóba nie zdoławszy pozyskać jego wzajemności, umocniło ją w postanowieniu, aby nie poddać się uczuciu litości, jakie on w nięj wzbudzał.

Potem, zwolna, stawszy się zupełną panią swoich poruszeń i postępów, przyzwyczaiła się do życia sztucznego, odosobnionego, spędzając czas na przechadzkach w polu, pogrążona w bezcelowych marzeniach, albo też na czytaniu książek, których jej dostarczał Jakób. W tém podnieceniu umysłowem, wiotka jej organizacya stawała się jeszcze bardziej wiotką, aż w końcu przybierać zaczęła jakby bezcielesne kształty.

Białe i różowe kwiaty wiosenne zaśnieżyły trawniki sadów; potem drzewa owocowe przystroili się w zieloną toaletę, w suknię poważną i praktyczną, jaka z kolei przypada po białym stroju ślubnym. Należało odtąd myśleć tylko o wyżywieniu i wychowaniu licznej rodziny, ukrywającej się wśród liści: wśród wiśni już rumieniących się, nieuformowanych jeszcze gruszek i będących w związku jabłek. Łakome wróble krążyły koło drzew, badając swemi chciwemi oczami rychło-li wybije godzina obfitego rabunku. Jeszcze kilka dni cierpliwości, odzywały się stare wróble, a uczta się zacznie! A potrafiemy uniknąć zasadzek, które nam stawia p. de la Rullière ze swym słomianym strachem przybranym w bluzę, aby nas odpedzał; posłuży on nam za grzędę, na której po uczcie odpoczywać będziemy. I cała chmara łotrów wypełniała powietrze głośnym śmiechem. Biedny ten pan de la Rullière! Co tu stworzeń na jego gruncie zajętych jest jedynie tém, aby sobie z niego żartować i w niwecz obracać jego starania i ostrożne zabiegi: począwszy od kretów, podkopujących się pod krzaki z poziomkami, myszy i susłów, zajmujących letnie kwatery w zbożach, cierpliwie oczekujących aż wzrastające kłosa dostarczą im soczystego pożywie-

nia, aż do kwiatów podnoszących swoje promienne główki z miną wyzywającą, i to jeszcze wśród nastaranniejszych zasiewów: groszek polny różnokolorowy, haber błękitny, margaretki o serduszku złotem, wszystko się tu zbiegło, jakby umyślnie, żeby go gniewać.

Flora nie mogła się nacieszyć temi pięknościami natury, które tak nowemi były dla niej, co spędziła młodość w ciasnym obrębie murów klasztornych. I z chciwością zbierała wszystkie te śliczne rzeczy, które sami tylko marzyciele odkryć umieją wśród rozbudzonego życia w polu. Większą część dnia spędziła na błędzeniu z książką w rękę, przypatrując się z roztargnieniem fantastycznemu lotowi owadów unoszących się nad kwiatami, albo falującym niwom obsianym lnem, którego kwiatki wychylające się z jutrzeńką były zabarwione delikatnym błękitem podobnym do oczu zdziwionego dziecka.

Na te kwiatki nigdy nie mógł Jakób patrzeć bez wzruszenia; one mu przypominały jasne spojrzenie Flory! Niestety! nie śmiał jej tego powiedzieć. Teraz zaledwie mógł parę słów z nią zamienić, poprzestając tylko na tém, że na nią patrzył zdaleka. Szczęśliwy, gdy mógł ją widzieć przechodzącą, bladą, zimną, obojętną, żyjącą jedynie w świecie marzeń, z którego czuł to dobrze, że wypędzonym został na zawsze, on, co żył tylko dla niej.

Słońce czerwcowe rozwinęło róże. Był-to kwiat Jakóba najulubieńszy; niewinna namiętność, którą mu szorstko wyrzucał jego sąsiad nieubłagany. Z początku p. de la Rullière wielką miał ochotę wzbronąć przystępu tym pękom woniejącym, które Jakób, hojny w rozrzucaniu swych skarbów, codziennie przysyłał swojej ukochanej. Zrobił tylko uwagę córce, iż nigdyby nie znosił w swoim domu tak wielkiej ilości nieużytecznego zielska, które tylko przyciąga owady, gdyby w tej przesyłce nie dopatrywał pierwszych kroków przyszłego swojego zięcia. Wszakże, dodał jeszcze, jedynie dlatego przystał na wyjście córki z klasztoru, że wkrótce zostanie dziedziczką; gdy to małżeństwo korzystnym jest dla niego interesem, spodziewa się, że ona nie będzie długo rzeczy odwłóczyła, i użyje wszelkich sposobów, będących w mocy kobiety, aby zniewolić Jakóba do formalnego oświadczenia się o jej rękę. Gdyby od dawnego czasu nie w szczególniejszych zostawał stosunkach ze starymi pannami, toby sam poszedł do nich i przedstawił swoją propozycję i warunki.

Zdumiona i znękana tą brutalną otwartością, Flora słuchała, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź, a wreszcie uciekła gorzkiemi łzami.



Szła, gdzie ją oczy poniosły, wzdłuż potoku, nad którego brzegiem kwitł irys i dzika mięta, gdy naraz na dziesięć kroków przed sobą postrzegła Jakóba. Leżał rozciągnięty na murawie i zapatrzony w wodę. Przy nim zapuszczona wędka, na którą oddawna złapała się jakaś żarłoczna rybka i niebacznie przyciągała do siebie przynętę na haczyku zawieszoną. Flora przystanąła i przez chwilę spoglądała na niego. Wydał ję: się doskonałym typem próżniactwa i bezczynności. Oto istota, której ma podzielać życie! Nagle, sumienie, ten głos niczem niestłumiony i wypowiadający nam gorzką prawdę, odezwało się w niej: A ty nie jesteś niedołęzniejszą od niego? Tak, to prawda, odpowiedziała Flora, dlatego też potrzebuję przywiązać się do istoty energicznej, której wola będzie moim prawem, której przez miłość z przyjemnością ślepo będę mogła być posłuszną. — A nie jest-żes tak samo, jak on, niepożyteczną ludziom? — odezwał się znów nieubłagalny sędzia. — Z téj też przyczyny, jak nieużyteczny bluszcz, muszę moją słabą łodygę uczyć o potężne gałęzie jednego z tych drzew, które cały świat osłaniają swym cieniem. Chcę umieścić moją miłość pomiędzy gwiazdy niebieskie, a nie pomiędzy kwiaty na łące. I w milczeniu oddaliła się, wciąż marząc.

W końcu pola zatrzymała się przed płotem. Za nim pasły się krowy koloru ognisto-mlecznego, gryząc trawę zieloną, połyskującą złotymi kwiatkami. Było-to prozaiczne, ale Flora bardzo się krów bała. Nie mogąc iść naprzód i nie chcąc się wracać, aby gdy będzie przechodziła koło Jakóba, nie postrzegł ten ję, postanowiła zatrzymać się. Może kto będzie przechodził ścieżką, to przyłączy się do niego. Usiadła pod płotem w cieniu dużego krzaka róży polnej, którego gałęzie obciążone kwieciami pochyliły się nad ję głową, odczepiła jedną gałązkę i przypięła ją do swego kapelusza słomianego. Krowy ryczały, owady brzęczały, skowronek tylko, śpiewając wznosił się w górę, wprost ku słońcu.

Piasek zatrzeszczał i cień padł na drogę. Flora podniosła się z wolna, nie patrząc kto przechodził, strząsnęła listki różane, które spadły na ję suknię i zwróciła się ku przechodniowi. Mówiła sobie, że to zapewne jaki parobek lub dziewczka folwarczna, gdy znalazła się twarzą w twarz w obec jakiegoś obcego człowieka elegancko ubranego o wyniosłej, pięknej postawie. Ten zatrzymał się przed nią, odkrył głowę i skłonił się z uszanowaniem. Przypatrywał się ję bacznie, jakby szukał w ję twarzy wspomnienia jakiego, podobieństwa.

Potem nagle wyciągnął do niej rękę.

— Czy mam panią nazywać panną, czy po prostu Florcią, jak niegdys? — rzekł z uśmiechem.

Flora ze swojej strony, również, nim odpowiedziała, bacznie mu przypatrywać się zaczęła. Był-to młody jeszcze człowiek, którego cera ogorzała, rysy twarzy wyraziste i zmarszczkami pokryte czoło czyniły starszym, niż był wistocie. Cała jego postać napiętnowaną była niezwykłą energią; jego spojrzenie odznaczało się pewną stanowczością i siłą znamienującą; przyzwyczajenie do zastanawiania się i panowania nad sobą. Pod tém spojrzeniem które skierował na Florę, nie podobna było myśleć o kłamstwie, to téż dziewczyna rumieniąc się, pytała sama siebie, czy ten obcy człowiek czytał już w jéj biedném serduszkuz, jak w otwartéj książce. Dziwny wyraz odbił się na jego twarzy męskiej, łagodząc jéj powagę pewnem rozrzewnieniem.

— Czekam na odpowiedź — rzekł, widząc że Flora wciąż milczy. — Więc mnie pani nie poznajesz? A jednak, skorom przybył do Paryża najprzód udałem się do klasztoru, gdzie spodziewałem się jeszcze panią zastać. Bo wreszcie masz pani zaledwie lat siedemnaście...

— I trzy miesiące.

— I trzy miesiące, w twoim wieku, to rzecz bardzo ważna. Właśnie dziesięć lat temu, jakeśmy się rozstali, a zaraz cię poznałem. Przywitajże się ze mną Florciu. Czyliżes zapomniała owe wieczory u ciotki d'Essé, jak ci to trudno było nie zdrzemać się w jéj salonie, a znalazło się pewne indywiduum, które z tobą tylko rozmawiało i litościwie podsuwało ci pod głowę swoje ramię, abys mogła zasnąć wygodnie, gdy się nami nikt nie zajmował.

Flora podniosła na niego oczy rozszerzone ze zdziwienia.

— Pan de Bargemont! — zawołała. — Ależ pan do niego niepodobny...

— Mam jednak zaszczyt przedstawić go pani. Od tego czasu przeżył on niemało, i przebiegł pół świata... Teraz gdy mi los nastreczył że panią spotykam, proszę cię wskaż mi drogę do zamku de la Rullière.

Flora zawahała się.

— Trzeba przejść przez to pole... — a nie boisz się pan krów?...

— Krowa... zapewne, to bardzo srogie i niebezpieczne zwierzę, ale postaram się uzbroić w odwagę, pomyslawszy o małych

zatargach, jakie miałem z bardzo łagodnymi stworzeniami, jak krokodyły, pantery i jaguary.

— I nie bałeś się pan ich? — zapytała naiwnie dziewczyna.

— Jak pani widzisz, nie było czego, skoro żyję zdrów i cały. Ale jeśli nie mam przyznać... w żadnej chwili mojego burzliwego życia, nie czułem się tak przestraszony jak obecnie.

— Przestraszony?... a czego? Skoro się pan krów nie boisz?.. to chyba mnie?..

Roger utkwiał w nią wzrok poważny i pomyślał: być może! a odrzekł głośno:

— Lękam się przyjęcia, jakiego doznam w zamku, do którego dążę.

— O, bądź pan spokojny. Dziś ojciec w nienajgorszym jest humorze, tylko dwa razy wyłajał mnie od rana: wcale się nie narażasz, abys tak był przyjęty, jak wczoraj pod-profekt, którego trzymał przez dwie godziny w przedpokoju w towarzystwie worka mąki i zajadłego psa, nie podawczy mu nawet krzesła. Przypadkiem, czy naumyślnie zamknięto go na klucz. Byłby tam może i dłużej pozostał, gdyby go Sabina nie wyswobodziła. Biedaczysko znużony usiadł na worku mąki, pocieszną więc miał minę. Spodziewam się, że nie prędko przyjdzie.

— Czy siostra pani ciągle żyje z ojcem — zapytał Roger, słuchając ję z roztargnieniem. — Czy nie wyszła za mąż?

— Za mąż? Ah, mój Boże, nie! Żałowałabym bardzo nie-szczęśliwego, którego byłoby przeznaczeniem mieszkać w la Rulière w charakterze zięcia mojego papy.

— Dlaczego?

— Ależ.. ponieważ pan znasz Sabinę, oddawna to wiesz zapewne, że będąc dobrą i poczciwą, nie odznacza się czułością i łagodnością. Ma zwyczaj wyrażać się niekiedy ostro i szorstko, dlatego przekładam łajania ojca nad ję zimną powściągliwość.

Chmura przeszła po czole Rogera, wzrok jego zatrzymał się na tych oczach przezroczyście szarych.

— Biedne dziecię! niebardzo wesoło upływa ci życie w takim domu.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Flory

— Zapewne uważasz mnie pan za niedyskretną i bardzo nierozsądną, że tak otwarcie mówię o moich drobnych nieprzyjemnościach życia do pana, o którym przed chwilą nie wiedziałam, że jesteś na świecie.

— Owszem znajduję tylko, że jesteś pani szczerą, i wdzię-

czy jestem ci za to. Posłuchaj mnie proszę: nie wierzę w przypadkowość; zanadto wielu unikałem niebezpieczeństw, abym nie miał być przekonanym, że Opatrzność czuwa nad nami, i sądzę, iż jeśli cię postawiła na mojej drodze właśnie wtedy, gdy się miał udać do zamku, uczyniła to zapewne w tym celu, aby mi oszczędzić jakiego zawodu. Kiedy człowiek wraca z antypodów i nie nie słyszał o swoich przyjaciółach od lat dziesięciu, bardzo łatwo pojąć, iż chciałby się dowiedzieć, co się z nimi przez ten czas działo. Nie wiedząc tego może się dopuścić tysiącznych niewłaściwości i podrażnić uczucia, o których nic nie wie. Powiedz mi więc pani otwarcie, co się u was działo od mojego wyjazdu. Nie mówisz do obcego, lecz do starego przyjaciela, na którego piersiach spoczywałaś niegdyś. Nie pytam się coś pani czyniła; spędziłaś te lata w klasztorze. Wiem o tém, ponieważ sam cię tam umieściłem; lecz co odtąd?

— Odtąd nie ruszyłam się z de la Rullière i lękam się, czy kiedy ztąd oddalić się będę mogła.

Westchnęła.

— A siostra pani, Sabina? Czy nie wiesz, dlaczego dotąd nie wyszła zamąż?

— Nie wiem z pewnością, ale zdaje się mi, że...

Umilkła.

— Chcę, abys mi pani wszystko powiedziała z całą szczerością — rzekł Roger tonem prawie rozkazującym, który doskonale harmonizował z wyrazem jego spojrzenia. — Bez żadnych przemyleń, proszę. Powiedz mi nie tylko to, co wiesz, lecz i to co ci się zdaje. Dlaczego siostra pani nie wyszła za mąż?

— Sądzę, że kocha kogoś, który nie podziela jój uczuć — wyjąkała Flora.

— Któż jest ten ktoś, czy nie wiesz pani jego nazwiska?

— Nietrudno mi je odgadnąć. Ot patrz pan, tam nad brzegiem strumienia, pod topolami, a obaczysz pan.

Roger nie patrzył, lecz pytał.

— Jego nazwisko?

— Jakób des Allais. Ale na miłość boską, nie zapominaj pan, iż nic nie wiem pewnego. Sabina nie jest udzielająca się, zamknięta w sobie nie czyniła mi żadnych zwierzeń, mogę więc tworzyć tylko przypuszczenia.

— A on, zkażde pani wiesz, że jój nie kocha.

Tym razem Florze wydał się pan Bargemont niedyskretny i trochę zaciekawy; chciała się osłonić milczeniem pełnym godno-

ści. Lecz on zatrzymał się na środku drogi, i stając przed nią, jakby chciał jęj zatamować przejście, jeśli mu nie powiedziała, czego pragnie, wlepił w nią wzrok spokojny, przenikający. Ona spuściła głowę, niespokojna, drżąca.

— Zkąd pani wiesz, że on jęj nie kocha? — powtórzył spokojnie Roger.

— Wiem, że kocha inną — wyszeptwała Flora.

— To jest panią? No, to dobrze. Nie pytam o nie więcej. Wiem jak się rzeczy mają, to mi wystarcza.

„Otóż, pomyślał Roger, jakie odkrycie spotyka mnie na progu tego domu, do którego mam zapukać szukając szczęścia po dziesięciu latach zaciętej walki przeciw złym losom. Słyszając, jak naiwnie to dziewczę opowiada, że kobieta, którą wyidealizowała nieobecność w moich wspomnieniach, dla której przez punkt honoru, może przesadzony trochę, zachowałem wszystkie skarby serca, dla której dobijałem się o majątek, pozostając jęj wiernym zawsze; kobieta ta została zgryźliwą starą panną, dręczącą tych, którzy ją otaczają, gorzej jeszcze rozamorowała się w jakimś szlachciurze, który nie dba o nią wcale. Przez chwilę brała go ochota zwrócić się zaraz do Paryża. Tam prowadziłby życie swobodne i wesołe, na jakie mu zdobyty majątek pozwala. Zapomniał tam o Sabinie tak samo, jak ona zapomniała o nim. Pomyślmy też, dlaczego ona nigdy nie próbowała pisać do niego. Zabronił jęj wprawdzie tego, lecz kobieta kochająca wie dobrze, co znaczą podobne zakazy. Że on do nięj nie pisał, te rzecz naturalna, tak nakazywała postąpić uczciwość dopóki nie zdobył sobie niezależności; ale ona, ona, co chciała podążyć za nim, ona, co pomimo jego oporu obowiązała się pozostać mu wierną, zmuszając go niejako do uczynienia takiego samego przyrzeczenia, za którym serce wcale nie przemawiało. Mówiąc prawdę, okoliczności mu sprzyjały, gdyż w życiu zajętem jedynie zebraniem pieniędzy mało spotkał pokus na swęj drodze; a zresztą był młodym i nieraz sobie powiedział, że ta wierność, którą jęj tak święcie dochowywał niewarta była łatwego szczęścia, które mógł spotkać gdzieindziej. Mianowicie też pewnego razu gdy bogaty Amerykanin, którego był współnikiem, otwarcie ofiarował mu rękę swęj córki, która była młodą i piękną. Przez to zdwoiłby swęj majątek. Odmówił; lecz w tęg chwili żałował prawie, że nie uległ pokusie.

Gdy tak milcząc szedł obok Flory, wydało się mu wreszcie, że jest śmiesznym i zaczął się sam nad sobą litować. Jakąż smutną będzie miał minę, gdy stawi się jako zakochany przed tą

wieśniaczką, której wady... dobrze przypomniał je sobie w tej chwili... bardziej się jeszcze z latami zwiększyły! Chętnie oszczędzi sobie i jej tego przymusu, oddając jej prostą wizytę z grzeczności, jako dawniej znajomej i ani słówka nie wyrzeknie, co by stanowiło jakąś aluzję do przeszłości, dając jej jasno do zrozumienia, że są wolni oboje.

Przybrał minę obojętną i uzbroił się naprzód przeciwko Sabinie, nie domyślając się, iż ma stłumić miłość, nie poznając się na niej.

## IX.

Sabina siedziała przy biurku, podobna do sędziego śledczego, badającego winowajcę, którym był młynarz jej ojca. Stał on przed nią i z komicznym zakłopotaniem obracał na wszystkie strony swoją czapkę wydrzaną strasznie zamączoną. Badanie trwało oddawna. Szło o sprostowanie niektórych pozycji rachunkowych. Wszystko odbywało się, jak należy aż do chwili, kiedy wszedł p. de la Rullière wcześniej niż zwykle, i zaczął się mieszać do indagacji. Zaraz powstało tysiące kwestyi; biedny chłop nieoświecony, gmatwał się w nich coraz bardziej; drobne, nieznaczące błędy, przybierały olbrzymie rozmiary, drobiazgowo badane przez pana de la Rullière. Sabina nawet płatać się zaczęła, tracąc z niecierpliwości swój jasny pogląd na interesa tego rodzaju.

Nawał zajęcia w tym dniu nie pozwolił jej dotąd zmienić ranniej toalety na zwykłą strojną popołudniową. Suknia szara, wełniana, w wielu miejscach poplamiona, skrajana przez jakąś miejscową szwaczkę, niezgrabnie okrywała jej biust, spadając w ciężkich fałdach. Ręce poplamiała sobie atramentem, a bujne swoje czarne włosy, w zapale rozmowy uchylając z czoła, zupełnie poczochrała. Była tak mocno zajęta toczącą się rozprawą, iż nie posłyszała nawet, jak się drzwi otworzyły od gabinetu, w którym odbywała się konferencya.

We drzwiach ukazała się głowa Florci.

— Papol — rzekła nieśmiało.

Pan de la Rullière zwrócił się ku niej, i uderzając w stół pięścią:

— Czy ci niezabroniłem — zawołał — abyś nie przerywała nam, kiedy odbywamy rachunki? Firmin mów dalej.

— Przepraszam, papo — rzekła Flora po chwili.

— A to co? Widzę, żeś mnie nie rozumiała. Zakazuję ci wyraźnie, aby noga twoja nie powstała w tym pokoju.

Flora miała odejść.

— Co tam takiego? — zapytała Sabina. — Czego chcesz?

— Ktoś pragnie się widzieć z ojcem.

— Niech czeka! — zawołał pan de la Rullière.

— Kto-to taki? — zapytała od niechcenia Sabina.

— Pan de Bargemont.

Jakby poruszona sprężyną, Sabina zerwała się i wyprostowała. Pióro jęj wypadło z ręki i potoczyło się na ziemię; siłą woli zapanowała nad tem pierwszym wzruszeniem, schyliła się, podniosła pióro, i usiadła mając przed sobą swoją księgę rachunkową, tak dalece, że dziewczyna nie postrzegła jęj wzruszenia.

— Dobrze, dobrze, niech czeka, zaraz skończymy — rzekł p. de la Rullière, a zwracając się do córki starszj, zawołał: No, Sabino, na czem zatrzymałaś się? Trzydzieści dwa kilos po osmdziesiąt pięć centymów.

Zdo była się na tyle odwagi, że dalej prowadziła rachunki aż do chwili, kiedy po usunięciu wszystkich trudności i po odprawieniu młynarza, p. de la Rullière wyszedł na nowo, zapomniawszy o gościu, którego nazwiska nawet nie dosłyszał.

Ona została sama.

Jednym skokiem była przy drzwiach, wszak one rozdzielały ją od narzeczonego. Zapomniała o wszystkim, o latach, które upłynęły od czasu ostatniego ich widzenia się z sobą, zapomniała, że i on może tak się zmienić, iż go poznać nie będzie mogła. Nie pomyślała, że jęj ubiór zaniedbany mało korzystnie przedstawi ją w oczach Rogera. Powiedziała sobie tylko, że tam jest jęj Roger, i że przycisnie ją do serca, jak nieg tys. Więc było to szczęście, spokój, ufność, swobodne wylanie się uczuć dotąd powściąganych, jednym słowem... miłość. A jednak jakieś niewytlomaczone uczucia przytrzymywały ją przed temi drzwiami, których klamkę przyciskała ręką. A czy-to w samj rzeczy jęj narzeczonego przybył? Któż jęj powiedział, że nie jest zakochany w innj kobiecie, a może już żonaty? Odepchnęła od siebie to zwątpienie, jako ubliżające Rogerowi. Ponieważ nie go nie zmuszało do powrotu, więc przybył jedynie dla urzeczywistnienia dawnych ich nadziei. A jednak... że, jednak... co przez te lat dziesięć stać się mógł! Roger czy się

nie zmienił? Chciała go przynajmniej widzieć, nie będąc widzianą, i leciuchno, jakby to uczyniła jej młodsza siostra, uchyliła drzwi.

To co ujrzała, ugodziło ją prosto w serce, jak pocisk ostry. Roger stał wsparty niedbale o okno, pochyliwszy głowę ku Florze, opowiadał coś głosem, który się stał poważniejszym i wolniejszym; Sabina nie mogła widzieć jego twarzy, lecz za to wpatrywała się we Florę, tę jej Florcię, dziecię zaledwie zbudzone do życia, jakiz dziwny wyraz odbijał się we wszystkich jej rysach! Siedziała we framudze od okna, gorące słońca promienie na jej szyję padały i pieściły się z delikatnymi konturami jej przeszlicznego profilu. Twarz pochyliła ku twarzy Rogera, a jej duże oczy skierowane ku jego oczom wyrażały naiwne uwielbienie, którego nawet nie starała się ukrywać. Jej usta uśmiechające się lekko, zdawały się otwierać, aby pochłonąć każdy jego wyraz. Wewnętrzny płomień rozjaśnił tę młodą twarzyczkę i przebijał się przez wąż osłonę tej duszy dziecinniej. Policzki jej nawet przybrały tę barwę różową i białą zarazem jak naczynie alabałowe, w którym pomieszczono lampę. Sabina przestraszyła się. Wsmgnięniu oka poznała naturę niebezpieczeństwa, które jej zagrażało i zapowiadało dziwną i straszną komplikację, jaką powrót Rogera wnieść może w jej życie. Cóż się stanie, jeśli Roger natchnie Florę miłością, jaką niegdys umiał w niej wzbudzić? Zimny dreszcz ją przejął, na chwilę zamknęła oczy. Potem zwolna po cichu weszła do pokoju.

Kiedy już blisko była Flory, ta jakby otrząsnąwszy się z uroku, jakie zdawało się Roger na nią wywiera, postrzegła jej obecność i szybko powstała.

— Sabinal — zawołała.

Roger się odwrócił.

Ileż-to razy w rzadkich marzeniach, których sobie pozwała Sabina, wyobrażała sobie tę chwilę błogą ich połączenia! Jakiz zapach, jakie upojenie. Czy dalej czytać będą razem ten romans, nagle przerwany na ostatniej stronicy? czy też nowe harmonie, silniejsze i przyjemniejsze zrodzi w ich sercu druga młodość?

Będzie to gorący pocałunek, czy też uroczyste uściśnienie którym Roger uzna i wynagrodzi wierną miłość swęj narzeczonej.

Gdy Flora wygłosiła jej imię, Roger odwrócił się zwolna, bez pospiechu, prawie z niechęcią, i zimno spoglądając na starą pannę w zaniedbanem ubraniu, która stała przed nim, pobladła i skostniała z wielkiego wzruszenia, podał jej ceremonialnie rękę



i zaledwie uściskał jęj zimne palce. Biedna Sabina! wszelkie ślady młodości i piękności znikły z jęj twarzy pod wpływem silnego wstrząśnienia. Przymus, jaki sobie zadawała, aby się okazać spokojną, całej jęj postaci nadawał jakąś sztywność i niezgrabność; usta jęj, które mocno zacisnęła, jakby chciała stłumić wydobywający się wykrzyk, zdawały się wązkie i bezbarwne.

Roger uśmiechnął się prawie w okrutnej radości. Wydała się mu tak mało ponętną, tak mało godną, aby przez tak długi czas zajmowała serce i wyobraźnię młodego jeszcze człowieka, iż prawie wdzięcznym jęj był, że go nie naśladowała w wierności, i po cichu błogosławił nieznanego rywala, który potrafił wywołać bicie serca, skrytego w tak postarzałej osłonie. Coby się było stało wielki Boże! gdyby na drodze nie spotkał Flory, która swoją naiwną otwartością uwolniła go od smutnej konieczności, w jakiejby się znajdował, gdyby mu przyszło złożyć swoje serce u nóg jęj tak mało sympatycznej wieśniaczki? Musiałby wysadzać się na czulości i prosić Sabiny, aby zechciała być towarzyszką jego życia, światłem jego ogniska, urzeczywistnić jego ideał, i widzieć w nięj tę łagodną i słabą istotę, o którejj zawsze marzył, iż osłoni ją swoją siłą i upoi miłością. Sama ta myśl wydała się mu niedorzeczną. Nie wiedział teraz, co do nięj mówić, jaki przedmiot wybrać do rozmowy, lękając się, aby nie wymówił jakiego słowa, co by stanowiło alluzję do przeszłości.

Ona, również przerażona, aby nie okazać swojego wzruszenia, po raz pierwszy w życiu straciła pewność siebie. Usiadła w cieniu, drżąca, milcząca, z załamaniem rękoma, wodząc swym zaniepokojonym wzrokiem po twarzy Rogera i twarzy Flory.

Pragnąc położyć koniec temu nieznośnemu położeniu, Roger zwrócił się do Flory i ciągnął dalej opowiadanie, przerwane wejściem Sabiny.

— Na czem-to stanęliśmy? — rzekł spokojnie. I opowiadał znów o swojej strasnej podróży, najeżonej tysiącami trudności, które należało pokonać. Wyrażał się z cudowną łatwością, nigdy nie pozując na bohatera i nie przesadzając faktów, a jednak wyobraźnia młodej dziewczyny otoczyła go tą aureolą, którą wczesna młodość otacza czoła wielkich ludzi.

Milcząc Sabina usunęła się na stronę i z boleścią przypatrywała się przemianie sceny, której aktorami były najdroższe jęj sercu osoby. Ah! jakże wydał się jęj wymownym, jak pojmowała dobrze tę chciwość z jaką upajało się to dziecię każdym jego wrazem. A on, jakże mógł ją ujrzeć bez najmniejszego wzruszenia?

Dodatek Tyg. Pow. Nr. 41. („Kłamstwo Sabiny“ Ark 10).

Czyliż się zmienił do tego stopnia, iż daje się pociągać i odciągać przez pochlebne uwielbienie, jakie wyraża ta młoda twarzyczka? Sabina nie słyszała prawie opowiadania, tak uderzenia serca tłumiły jego głos; cierpiała tak mocno, iż brała ją ochota powstać i uciec. Ten Roger, który był przed nią, tak spokojny i obojętny, to nie był jój Roger. Pocóż ten piękny obcy człowiek, tak zimny, a tak wymowny, po co tu przyszedł, aby w jednem mgnienu oka zburzyć cały gmach jój marzeń, wspomnień i nadziei? W tój bezgranicznej boleści mówiła sobie, iż wolałaby, aby wcale nie wracał, i ona ciągle na niego czekała.

Przybycie p. de la Rullière dało jój sposobność iż wymknęła się nie będąc postrzeżoną. Stary szlachcic przypomniał sobie wreszcie, że ma gościa, którego nazwiska nie dosłyszał. Dla niego interes brał pierwszeństwo przed wszystkim. Lecz gdy ostatecznie ułatwił się z ludźmi: p. de Bargemont! — rzekł do siebie — to nazwisko mi znane... I zwolna odgrzebując całą przeszłość w przytępionej pamięci, przybrał minę zachmurzoną, aby się przedstawić swojemu gościowi. Zwykła w nim nieufność nasunęła mu zaraz myśl, że jakiś interes musi być powodem tych odwiedzin. Sabina nie była już młodą, pogardliwie nazywał ją starą panną; temu niewdzięcznikowi, a widocznie nim jest, nie udało się zapewne odzyskać majątku, a teraz przybywa pożyczyć od niego pieniędzy i doprowadzić do skutku zerwane z Sabiną małżeństwo.

Przystąpił nader oględnie do p. de Bargemont podobien do lisa wietrzącego zasadzkę: sukien nie ma wytartych, ubiór przyzwoity, nawet elegancki, nie ma tój pokornej miny człowieka, który potrzebuje ciebie. Owszem, przeciwnie powitał pana de la Rullière z pewną wyniosłością, która się temu wielce podobała: człowiek, co nie ma grosza w kieszeni, nie pozwala sobie tak śmiało występować.

Pan de la Rullière chciał zbadać grunt, im się dalej posunie w grzecznych formułach powitania i tak zręcznie nakierował rozmowę, iż p. de Bargemont wyznał, iż znaczne kapitały przywiózł z Ameryki. Wtedy wielki szacunek powziął dla człowieka, który umiał dorobić się majątku, a teraz przybywa zapewne, aby spełnić dawne przyrzeczenie i po raz drugi prosić o rękę jego córki.

— Wszak pan zostajesz u nas na obiedzie? bardzo proszę, bez ceremonii, kochany przyjacielu.

Roger się skłonił.

— Obawiam się, czy będę mógł przyjąć pańskie zaproszenie; muszę wrócić do Paryża.

— Ale cóż znowu? Nawet pociąg drogi żelaznej dziś nie odchodzi. Cóżes pan zrobił ze swojemi rzeczami?

— Zostawiłem je w Saint-Romuald, w hotelu pod jednorożcem, gdzie stanąłem.

— Pod jednorożcem! ależ to nędzna oberża. Jesteś pan moim gościem, poszłę zaraz po rzeczy pańskie. Sabino, każ zaprzęgać. Sabino! ależ gdzie ona się podziała? Co zaś do powrotu do Paryża, to spodziewam się, że nie tak prędko będzie o tem mowa. Nie często nam się zdarza sposobność mieć tak miłego gościa.

Flora ze zdziwieniem spojrziała na ojca. Był to pierwszy grzeczny frazes, jaki z jego ust usłyszała.

Sabina pokazała się dopiero przy obiedzie. Kazała nawet czekać na siebie, ona tak punktualna zwykle, teraz składała się swemi obowiązkami, jako gospodyni domu.

Ubrała się z taką samą starannością jak codziennie, lecz uczyniła to jedynie dlatego, aby ani ojciec, ani Flora nie postrzegli zmiany, jaka w niej zaszła. Wystroiła się bynajmniej nie dla Rogera. Podczas całego obiadu, a następnie wiecerzy, była spokojną, zupełną panią siebie, chociaż rozpacz ją ogarniała za każdym razem gdy postrzegła, że wzrok Rogera zimno przesuwają się po niej, wciąż zatrzymując się na główce Flory. Więcej jeszcze, Roger zdawał się ją badać z pewnego rodzaju nieprzyjaznem zdziwieniem.

Faktem jest niezaprzeczonem, że jego gust, jako człowieka światowego razila ta mina mało powabna i zupełne zaniedbanie swojej powierzchowności. Jeszcze bardziej dotknęła go nieprzyjemnie, gdy później weszła do sali jadalnej, ponurój i szarój, ubrana w suknię jedwabną tego szkaradnego i fałszywego koloru, który przez długi czas narzucała moda pod nazwą koloru *Magenta*, przystrojona w naszyjnik koralu, który jeszcze bardziej uwydatniał jój płeć zwiedłą i opaloną. A tuż koło niej widział w całej poetycznej świeżości lat siedemnastu ten kwiat delikatny, którego idealna piękność przez sam kontrast tém ponętniejszą się wydała. Za całą jój ozdobę służyła róża polna, którą przypięła do stanika swojej sukni z jasnego muslinu; w miejsce ciężkich splotów, które tak poważnie wieńczyły czoło Flory, cała chmura jasnych, złocistych loków ulatywała koło jój skroni. Nie byłby chyba mężczyzną, żeby pozostał ślepy i głuchy na te wszystkie powaby, które go pociągały do tego dziewczęcia.

Ów wieczór dla Sabyńi zdawał się nie mieć końca. Odetchnęła swobodniej dopiero wtedy, gdy p. de Bargemont pożegnał

się ze swoim gospodarzem, wtedy postanowiła schronić się do swojego pokoju.

— A dokąd idziesz? — zawołał za nią p. de la Rullière. — Pozostań chwilkę, mam z tobą do pomówienia... ty zaś możesz odejść — rzekł do Flory.

Sabina była cierpliwą, usiadła. Pan de la Rullière wydobyl fajkę z kieszeni i nałożył ją. Puściwszy parę kłębow dymu, złożył ręce na krzyż, i spojrzawszy na Sabinę rzekł:

— I cóż ty na to?

— Na co? — odrzekła Sabina, którą wstrząsnęły dreszcze nerwowe.

— Ależ do kaduka, co myślisz o swoim narzeczonym.

— Nie mam już narzeczonego. A jeśli o panu Bargemont chcesz wiedzieć moje zdanie, powiem ci później, jak bliżej go poznam.

— A wiesz co? pyszna sobie jesteś, słowo honoru! Oto człowiek, który powraca z drugiego końca świata, uczciwie ofiaruje ci majątek, który zebrał, a ty przyjmujesz go, jak obcego człowieka.

— Bo też niezem innym nie jest dla mnie.

— A cóż u diabła, przecież był twoim narzeczonym.

— Wiesz tak dobrze jak ja, ile okazał uporą, aby zachować swoją niezależność i pozbyć się względem mnie wszelkich związków, któreby tamowały mu wolność. A któż ci powiedział, że nie powrócił żonaty?

— Zdrowy rozsądek upewnia mnie, że nie odszukiwałby cię w tym zakątku jedynie po to, aby cię zawiadomić o swoim małżeństwie. A co na to odpowiesz?

— Że inne uczucie mogło go tu sprowadzić: może zapragnął sprawdzić, co się też stało po tylu latach z twarzą, która się mu niegdyś podobała. Proszę cię, nie mówmy już o tem. Oboje nie wiemy, co skłoniło pana de Bargemont, że nas odszukał, chociaż wybornie mógł sobie tego trudu nie zadawać, ale o tem wiesz tak dobrze jak ja, iż skrupulatnie zastosowałam się do jego ostatniego życzenia. Zabronił mi pisywać do siebie; nigdy też nie próbowałam tego uczynić, nigdy nie styszałeś, abym wymówiła jego imię. On, ze swęj strony najmniejszej nie dał mi o sobie wiadomości. Byliśmy więc zupełnie wolni i ja i on. Nie mamy więc żadnego prawa dziwić się, jeśli jedno z nas przynajmniej zrobiło użytek z téj wolności. Życzyłabym sobie, abyś zupełnie zapomniał o przeszłości tak, jak ja to uczyniłam.

Pomimo wszelkich wysiłków głos jój był drżącym.

— A zresztą — mówiła dalej z większym spokojem: — Czy ci kto powiedział, że p. Bargemont nie przybył po prostu, aby ci zaproponować jaki interes, umieszczenie summy, lub nabycie jakiego majątku? Czyliż nie powiedział, że ma kapitały do rozporządzenia?

— No, i to myśl niezła — zauważył p. de la Rullière, którego twarz się rozjaśniła. — W rzeczy samej, może ty masz słusność, bo chociaż ty jesteś najszanowniejszą kobietą, jaką znam, nie jesteś przecież już młodą, moja biedna córko, i pomimo dużego majątku, który kiedyś będziesz miała, jeśli mnie przeżyjesz, nie wziąłbym cię za żonę, gdybym był tak młodym elegantem, jak pan de Bargemont. Od chwili, kiedy potrzeba pieniędzy nie zagnęła go do składania ci hołdów, no to zapewne... Tak, w samej rzeczy, myśl, iż tu przybył po tylu latach, aby się o ciebie upomnié jest niedorzeczna. Ot lepiej, ponieważ jesteśmy sami przeczytaj mi ten artykuł o filokserze, który się ukazał w ostatnim numerze *Przeglądu*, to cię zajmie.

Sabinę oburzył ten ślepy egoizm, który nie widział zburzonego jój szczęścia, lecz wnet się powściągnęła i znalazła w sobie tyle odwagi, iż od początku do końca przeczytała wymieniony artykuł, nie opuszczając ani jednego wiersza.

Gdy się znalazła w swoim pokoju, ogarnęła ją trwoga, jak podróżnika, którego zaskoczyła burza w chwili, gdy się zbliżał do portu, i widzi pewną swoją zgubę w miejsce radosnych nadziei, które go dotąd kołysały.

— Wszystko się skończyło! — szeptała sobie w ponurój rozpacz: — on mnie już nie kocha!

---

## X.

Nazajutrz rano, Roger znużony nocą bezsennością, przeszedł bramę zamkową. Daremnie czynił wysilenia, aby pozostać w zgodzie ze swoim sumieniem, a teraz chciał się dowiedzieć, czy świeże powietrze i przechadzka nie przedstawią mu stanu rzeczy w odmiennem świetle. Dotąd wyrzucał sobie surowo łatwość z jaką dał

wiarę przypuszczeniom Flory, której bądź co bądź naiwna niedyskrecya nie mu pewnego nie powiedziała. To podejrzenie było dostatecznym powodem, upoważniającym go do wycofania się i opuszczenia kobiety, która w każdym razie pozostała mu wierną co do samego faktu, jeśli nie co do uczucia. Miał się odwrócić od kobiety, nie zapytawszy jej nawet, jak rozporządziła swem sercem. A szczególnie mówił sobie: gdyby Sabina była młodą, piękną i zachwycającą, to zapewne z mniejszą skwapliwością przyjąłby zwierzenie jej młodziej siostry. W głębi duszy odzywał się głos oskarżającego sumienia, iż gdyby nie spotkał przy swój dawniej narzeczonej pozbawionej w jego oczach wszelkiego wdzięku, tej młodej dziewczyny, której obecność upajała go, jak upaja woń niektórych kwiatów, toby wszelkimi sposobami starał się dowiedzieć czy Sabina sama domaga się swój wolności.

Pod niebem bladawem, które jutrzienka dopiero zarumienić miała, oddychając całą pierś świeże powietrze nocy, Roger pozbył się gorączki, która opanowywać go zaczęła. Rozum wziął górę, a przed nim pierzchły wszystkie te skrupuły, których już nie tłumił. Powiedział sobie, ponieważ aż do przesady posunął uczucie wiążące człowieka honoru do jakiegobądź przyrzeczenia, dotrwa więc w nim do końca i nie wprzód opuści Rullière, aż od samej Sabiny otrzyma prawo rozporządzania swoim sercem i swoim życiem. A potem? Będzie miał tyle odwagi, aby opuścić zamek, na progu którego o władnęła nim po raz pierwszy pokusa rzeczywista, której oprzeć się nie może? A jeżeli Sabina zadawszy kłam, przypuszczeniom siostry, zażąda nagrody za swoją wierność, zdobędzie się na jeszcze większą odwagę i położy niepokonaną zaporę pomiędzy sobą a tem dziewczęciem, które wzrosło podczas jego nieobecności, jakby dla pokazania mu urzeczywistnionych jego marzeń? Będiesz śmiał przyrzekać miłość i wierność kobiecie zimnej i zwiędłej, i widzieć przy niej codziennie tę dziewczynę, która go tak czaruje, upaja i nabawia tego rozkosznego niepokoju, którego nie doznawał przy Sabinie. W trzydziestym trzecim roku poznał, iż kocha po raz pierwszy.

Gdy się przechadzał pogrążony w tych myślach, wszystkie odgłosy zbudzenia się natury i człowieka zwolna po sobie następowały, pozdrawiając purpurową jutrzienkę, która w różane blaski stroiła błękitniejące oddalone wzgórza. Do radosnego śpiewu zbudzonego ptastwa, do piania kogutów odpowiadających sobie z każdej fermy, łączył się głos nieco stłumiony kościelnego dzwonu.

Instynktowo Roger skierował się w jego stronę; i wnet

znalazł się wprost czworograniastój wieży prawie w ruinach osłoniętych bluszczem.

Przez kruchtę dość interesującej architektury wchodziło się do kościoła; wszędzie wokoło pomniki z różnych epok, prawie wszystkie z napisami, tłoczyły się jedne przy drugich, jakby te wygasłe generacye chciały się uściśnąć w ostatnim uścisku. Roger w roztargnieniu odczytał niektóre z tych napisów. Wszystkie one głosiły w języku bądź pokornym, jakim odzywa się człowiek uczciwy mówiąc o sobie, bądź w nadętym i pompatycznym, jakiego używają wdzięczni spadkobiercy, cnoty, żal, nadzieje nieprzerwanego następstwa dostojnych i wielmożnych panów des Allais. Z wyjątkiem tych, którzy zapewne polegli na wojnie, spoczywali tu, począwszy od walecznego Jakóba des Allais, który wojował w Ziemi Świętej, a którego nazwiska nie można było odczytać na kamieniu mchem porośłym, aż do tego pana des Allais, którego wizerunek, widocznie nowy uśmiechał się z życzliwością człowieka nie mającego sobie nic do wyrzucania, którego największą zbrodnią w życiu było to, że odbudował zamek swoich ojców podług własnego gustu. Nazwisko des Allais nie było obcem dla Rogera, przypomniał sobie, że je wczoraj słyszał wymówione przez Florę, jako należące do jego rywala w sercu Sabiny. „Ciekawy też jestem, jak wygląda potomek tak starożytnój i szlachetnej rasy“ wyobrażał sobie, że musi to być jeden z tych szlachciców prowincjonalnych, silnych i gburowatych, dobrze zbudowanych, o szerokich plecach, którzy piją i klną jak chłopcy, i wtedy czują się w dobrym humorze, gdy mają fuzyę na ramieniu, albo konia między kolanami. Takim być musiał ojciec Sabiny w wieku swym młodym; takim również według jego wyobrażenia musi być bohater romansu tej dziewczyny szorstkiej i pozytywnej, jaką była Sabina.

Gdy się oddawał takim przypuszczeniom, jakieś indywiduum ukazało się ze strony przeciwnój, wiodącej do kościoła. Roger spojrział na niego obojętnie, lecz uderzony dziwną jego postawą bacznie z boku przypatrywać się mu zaczął. Sądząc z ubrania skrojonego według staroświeckiej mody, i zbyt krótkiego, jak u studenta, który wyrósł, ze swoich sukien, a z tych wydobywały się ręce długie i czerwone; wnosząc z miny roztargnionej i zamyśloniej zarazem, z twarzy ocienionej zbyt długimi i zbyt płaskimi jasno blond włosami, wziął go z początku za seminarzystę na wakacjach. Trzymał w ręku ogromny pęk róż, który niósł z czułą prawie troskliwością. Kiedy był już blisko kruchty, ukląkł przed

otwartemi drzwiami, przeżegnał się pobożnie i czekał. Msza zapewne była ku końcowi. Kilka wieśniaczek otulonych w swoje brunatne okrycia, milczące i ponure wychodziły jak mrówki, jedna po drugiej. Widząc jak wszystkie pokornie się kłaniają na ostatku przybyłemu, Roger powiedział sobie, że to musi być bakałarz wiejski, gdyż miał jego minę i poruszenia. Naraz wielka jasność wypełniła ciemną kruchtę: świeża jak jutrzienka, która tylko co weszła, o białej twarzy nieco zaróżowionej pod słomianym kapełuszem w sukni jasnej falującej koło niej w lekkich fałdach... Flora de la Rullière ukazała się na progu. Zaledwie pokropiwszy się święconą wodą, przeżegnała się, gdy indywiduum o długich płaskich włosach posunęło się ku niej. Z wielkiem uszanowaniem, prawie błagając podał jej swój bukiet. Podziękowała, prawie nie patrząc na niego, zarumieniła się trochę i odeszła. On pozostał na miejscu ścigając ją wzrokiem, jak mógł najdalej. Roger nie mógł się oprzeć chęci dowiedzenia, się jakie ma znaczenie ten bukiet, nie wątpiąc, że go wręczył ogrodnik w imieniu swojego pana. Pospieszył drogą, którą się Flora udała i wnet ją dogonił.

Odskokczyła ze zdziwienia, postrzegłszy go, potem przywitała się z radosnym uśmiechem.

— Jakże pan rano wstajesz.

— Nie tak przecież rano, jak pani.

— O! ja, to co innego, przyzwyczaiłam się do tego w klasztorze. Najprzód oddaję cześć dobremu Bogu, a potem podziwiam wieś, która tak rozkosznie wygląda o tej godzinie. Czujesz pan przyjemną woń wydzielającą się z tego pola pokrytego kwitnącym grochem?

— Zapach z tego bukietu róż, który trzymasz pani w ręku, nie pozwała mi na to.

Flora spojrzała na bukiet, jakby teraz dopiero o nim przypomniała sobie, a zbliżając go do swjej twarzy zamyśliła się.

— To prawda — rzekła jakby z żalem — te róże pięknie pachną.

— Ten, który je pani przysyła, zapewne zlecił im bardzo przyjemne poselstwo.

Flora spojrzała na swoje róże z pewną litością.

— Biedny Jakóbi! — rzekła po cichu. Potem wznosząc oczy postrzegła badawcze spojrzenie, jakie na nią Roger skierował. Zarumieniona i pomieszana powtórzyła prawie machinalnie.

— Biedny Jakóbi!

Roger nie poznał się na przyczynie tego pomieszania.



Dzikię uczucie zazdrości wkradło się do jego serca, dając mu poznać przez ból, którego doświadczył, jak głębokie zapuściła w jego sercu korzenie miłość, która tak niedawno się zrodziła. Każde nowe żywsze uczucie, które nas w życiu spotyka, wie dzie za sobą cały orszak udręczeń i zawodów, dlatego samolub z tego tytułu może się uważać za najszczęśliwszego na ziemi. To też Roger, który nie był egoistą, powiedział sobie: jeśli Flora już komu innemu oddała serce swoje, to całe jego życie przyszło będzie pełne żalu i rozczarowania.

Powiedział sobie: Jakób des Allais, nie masz wątpliwości! Więcej niż kiedykolwiek zapragnął poznać tego Lewelasa wiejskiego, który umiał sobie zjednać na raz miłość obydwóch sióstr, i naturalnie przekładał młodszą nad starszą. Musi to być osobistość, której oprzec się niepodobna, a która w tak dziwny sposób stanęła mu na drodze, tak iż od tego nieznanego los jego zawisł. Najprzód był mu wdzięczny za przeszkodę, jaką mu postawił w dopełnieniu obowiązku honorowego zobowiązania względem Sabiny, teraz zaś przeklinał go, że mu przeszkadzał szukać szczęścia w miłości Flory.

Czy ona go kocha? Wątpliwości tej znieść nie mógł. Narazając się na nowe cierpienia, chciał wiedzieć prawdę. Jeśli się dowie, że pierwsze miejsce w jej sercu już jest zajęte, to łatwiej może przyjdzie mu zwyciężyć rodzącą się miłość. Lecz w chwili gdy miał badać tajemnice tego dziewczęcia niewinnego, zmieszał się, jakby się dopuszał jakiej profanacji. Nie śmiał wprost wypowiedzieć swojego pytania, które mu usta paliło, lecz zdala i ogłędnie zaczął badanie.

— Masz zapewne pani stosunki sąsiedzkie? — zapytał. — Zapewne w tej okolicy nie zbywa na towarzystwie?

— Z wyjątkiem jednej rodziny, nikogo nie widzimy.

— A ta się składa?

— Ze smoka, którego się strasznie boję i z dwóch wrózek z których jedna pełna pretensji i śmieszności, druga szydercza i złośliwa. Ta ostatnia jest moją matką chrzestną.

— I to wszyscy?

— A wszyscy — odrzekła.

— A ten pan des Allais, którego szlachetni przodkowi zalegają ementarz, który niedawno zwiedziłem?

— To pan byłeś przy kościele przed chwilą? — rzekła żywo Flora.

— Tak, czy się to pani nie podoba?

— Nie — odrzekła namyślając się.

— Nie, odpowiedziałaś pani, a gdzie mieszka ten pan des Allais?

— Niedaleko kościoła, w zamku zębątem, poprzecinanym, najeżonym.

— Powiedziałaś mi pani wczoraj, że miał szczęście czy nie-szczęście, iż się w nim pokochała pani siostra Sabina?

Flora spoważniała.

— Wczoraj złapałeś mnie pan w chwili, kiedy prawiliam niedorzeczności. Wczoraj mówiłam z panem, jakbym mówiła przed laty dziesięciu u ciotki d'Essé, nie zastanawiając się, nie przewidując wagi, jaką możesz przywiązać do mojej paplaniny. Gniewałam się na ojca... nie ma po co mówić dlaczego... gniewałam się jeszcze więcej na Sabinę, która nie rozumiała jednego z moich uczuć, i sądziła, że jestem tak stara i tak rozumna, jak ona. Gdy zaś postrzegłam w niej w pewnych chwilach, że ten zimny rozum topnieje jak śnieg wystawiony na promienie słońca, wniosłam ztąd, że ona kogoś kocha. Zbieg różnych okoliczności zrodził we mnie podejrzenie, że tym ktosiem jest nasz sąsiad pan des Allais, i że cierpkość i szorstkość Sabiny pochodziły ztąd, że widziała tę swoją miłość niepoznaną; jak roztrzepaniec jaki, bez taktu i doświadczenia, wypowiedziałam panu moje przypuszczenie, panu, którego wcale nie znałam. Cóż pan chcesz? Kiedy się wychodzi z klasztoru, na każdym kroku popełnia się błędy, które się wtedy postrze-ga, gdy już zapóźno. Trzeba mieć matkę przy sobie, matkę baczną na wszystko, któraby cię nauczyła jak ich unikać, a przynaj-mniej naprawić je po spełnieniu. Ja nie mogę na nikogo rachować.

— A zwracając na Rogera swoje piękne niewinne oczy:

— Mogę rachować na pana? — rzekła wzruszona do głębi duszy.

Roger nie zdobył się ani na jedno słowo odpowiedzi. Wycią-gnął tylko rękę i podniósł wysoko aż do ust swoich drobną, deli-katną i różową rączkę, którą trzymał w swjej dłoni. Pocałunek, który złożył na niej musiał być bardzo wymowny, gdyż Flora się zadumała i zakłopotała. Aby ukryć pomieszanie i nie pokazać Rogerowi swoich purpurą oblanych policzków, pochyliła się nad różanym bukietem.

— A ten pan des Allais, który wysyła swego ogrodnika, aby pani składał te piękne bukiety? — zapytał Roger, tknięty nagłe przystępem zazdrości.

— Ognodnika? Ależ mój Boże, to on sam przynosi mi je co

rano do kościoła, ponieważ tam, nie mogąc uczynić inna czéj, muszę je przyjąć; wie on bardzo dobrze, że gdzieindziej takbym się urządziła, abym go nie spotkała.

— Uciekasz więc pani przed nim? Dlaczego?

-- Ponieważ się go boję; tak jak w bajce księżniczka boi się smoka, który czatuje na nią aby ją porwać do swojego zamku i zjeść.

Serce Rogera wezbrało nadzieją.

— Więc go pani nie kochasz.

Flora z iście dziecinną naiwnością odrzekła:

— To już nie moja wina! — rzekła zniechęcona — w tym celu czyniłam wszystko, com tylko mogła, ale jakoś nie mogę trafić do końca.

— Czy tak wiele zależy pani na tem.

— O! bardzo.

— Dlaczego?

— Ależ dla kilku przyczyn. Najprzód, aby być posłuszną ojcu, który chciałby mnie zmusić, abym posłużyła Jakóba, na co nigdy się nie zgodzę, dopóki go nie pokocham. Strasznie się boję, abym wprzód nie uległa, i wtedy... oh! wtedy czuję, że będę żyć mogła z moim smutkiem. Gdy nie będę tyle silną, aby go zwyciężyć, więc on mnie zabije.

— Biedne dziecię! A jakaż druga przyczyna?

— Chęć przypodobania się Jakóbowi, który mnie kocha... o! i bardzo kocha, i którego mogłabym tak uszczęśliwić... a potem...

— A potem? — pytał Roger, widząc, że się zawahała.

— A potem, jest jeszcze inna przyczyna, lecz bardzo egoistyczna: chciałabym sama być szczęśliwą, i uczuciem gorącym, pochłaniającem wszystko, takim jakiego Jakób względem mnie doznaje, zapełnić tę ogromną próżnię, jaką czuję w głębi serca. Widzisz pan, ona nigdy nie była zapełnioną. Nie znałam matki; ojciec... tak, zapewne, ja go kocham, ale... Sabina nie pozwala, abym ją kochała, abym jęj to okazywała. Znajduje mnie egzaltowaną, nazywa sentymentalną. Czyliż-to moja wina? W klasztorze, bardzo kochałam moje nauczycielki i towarzyszki, lecz w tym czasie nie zastanawiałam się wiele, a zresztą nigdy nie byłam sama. Odkąd zaś jestem tu... Oh! chciałabym w końcu pokochać Jakóba.

Upojony, podbity naiwnością tego wyznania Roger zapomniał jak fałszywe i niepewne było położenie w tej rodzinie,

zapomniał o Sabinie, i o uczynionych jęj przyrzeczeniach, zapomniał o tak długiej swęj wierności, którą jedna chwila szalu miała w niwecz obrócić, a widział tylko, że Flora, ta niegdyś mała, delikatna dziewczynka, stawszy się kobietą nie przestała być dzieckiem niewinnem, aby mogła bez przemilczeń i bez wahańia odslaniać niepokalane stronicę księgi swojego serca. Aby się temu oprzecz trzeba było więć być niż ludzką istotą, a szczególniej nie być tak jak on zakochanym. Zatrzymał się i utkwiał swój wzrok w przezroczystrych źrenicach dziewicy.

— A mnie, Florciu — rzekł łagodnie, prawie ojcowskim tonem — czy bardzo musiałabyś się przymuszać, aby pokochać?

— Pana — szepnęło dziewczę głosem drżącym. — Widzisz dobrze, że nie, ponieważ nie znając pana zwierzyłam mu się zupełnie, i żadnych tajemnic nie nam dla niego.

Roger żalować zaczął słów, które wyrzekł, odpowiedź Flory uspokoiła go.

„To jeszcze nie miłość, i nie wolno mi jęj żądać, rzekł do siebie, idąc wciąż przy nięj w milczeniu, lecz poczuł, że ta miłość zrodzić się może, a dzień w którym się zbudzi, fatalnym będzie dla nięj, bo pochłonie wszystkie władze jęj niezajętego serca i uniesie je, jak huragan, porywając liść nieprzyczepiony. A wtedy dla tęg wątlęj organizacyi byłoby to wielkiem cierpieniem, śmiercią nawet, gdyby nie wolno było jęj kochać i uszczęśliwić. Szybko więc powziął postanowienie: trzeba przedewszystkiem uwolnić się od mniemanego związku, łączącego go z Sabiną; uda się wprost do nięj i zażąda swęj wolności.

Lecz jeżeli Flora pomyliła się w swoich przypuszczeniach, jeśli Sabina kocha go jeszcze, jeśli to uczucie, które ona tak troskliwie ukrywa przed niedoświadczonym wzrokiem swęj młodziutkiej siostry, nie jest niczem innym jak tylko dawną jęj miłością dla niego spotęgwaną przez nieobecność i samotność, zakorzenioną głęboko przez upór, o którym wiedział, że stanowi cechę jęj charakteru, i przez napotymane przeszkody, które dla kobiet podobnej natury stanowią pociąg tem większy? Nie chciał jednak zatrzymywać się nad tą możliwością, i powiedział sobie z tem okrucieństwem właściwym mężczyźnie, który już nie kocha, iż gdyby nawet zostało jeszcze w sercu Sabiny cokolwiek dla niego uczucia, o czem wszakże powątpiewa, wnosząc z zimnego przyjęcia jakiego doznał, to sam rozum w tęg istocie wolnej od wszelkiej egzaltacyi, powinien zatryumfować nad uczuciem w trzech czwartych częściach już wygasłym.

Przeszli ogród warzywny przepelniony brzękiem pszczoł i krzykami rabusiowskich ptaków, i zbliżywszy się do Sabiny dopiero postrzegli ją stojącą we drzewach wiodących do wnętrza zamku.

Ona widziała ich zdaleka, gdy nadchodzili, lecz ani Roger ani Flora nie zauważyli nadzwyczajnej bladoci jej lic ogorzałych. Znadto byli sobą zajęci, aby postrzedz mieli sine obwódki pod jej oczami od łez zaczerwionemi. Tylko Roger powiedział sobie brutalnie, iż była bardzo brzydką i niedosyć zakonserwowaną na swój wiek. Przypasała do swój sukni ogromny fartuch, a w rękę trzymała tabliczkę, na której spisywała przeważone masło świeże i tuziny jaj, które liczyła przy niej dziewczka folwarczna.

Roger się skłonił i zatrzymał przed nią, postanowiszysy prosić ją o chwilę rozmowy.

Ona nie przerywała swego zajęcia z takim spokojem pozornym, jakby przy niej znajdował się człowiek obcy.

— Kiedy pani skończysz swoją robotę, czy będę mógł prosić, abys ze mną pomówiła na osobności?

— Wątpię, czy będę wolną dziś i jutro; lecz ponieważ pan jesteś naszym gościem na czas dłuższy, poczekaj jeszcze — a do dała po cichu: — To lepiej będzie dla wszystkich.

Roger pojął to w ten sposób, że unikała wyjaśnień nieprzyjemnych dla niej. Skłonił się i oddalił.

Lecz ani nazajutrz, ani dni następnych, Sabina nie podawała mu sposobności do rozmowy, od której los jego zależał, tak starannie unikała pozostania z nim sam na sam. Porządek, jaki pannaowała w la Rullière, był tak wyborny, zajęcia każdego były tak regularne, że nikt nie mógł zaniedbywać swojej roboty. Sabina będąc główną osiã, około której całe gospodarstwo się obracało, najmniej napozór zajmowała się obecnością gościa.

Naturalnie całe staranie w czynieniu honorów domu przyznane zostało osobie, która zostawała zewnątrz tej żywej maszyny. Flora z niewinnością, właściwą jej wiekowi, oddawała się skłonności, która ją pociągała ku Rogerowi, przyjmując z pewnego rodzaju rokosznem zdziwieniem, każde z tych wrażeń nowych jakie wzbudzała w niej miłość rodząca się, ognista i marzycielska zarazem, nie opierając się wcale temu namiętnemu technieniu, które ogarniało całą jej istotę, rozkoszując się szczęściem, że jest kochaną, żyjąc wciąż pod promieniejącym zachwyconym wzrokiem, który jej nie opuszczał na chwilę, prześladował i jakby chciał zmusić do słuchania wiecznego wznania.

Wprzód Roger śledził tylko chciwie pierwsze wzruszenia dziewiczego serca; teraz miał cel. Chciał być kochanym gorąco, jak sam kochał, urzeczywistnić wreszcie to szczęście, marzenie całego życia, którego się prawie wyrzekł, łącząc się niegdys z zimną i prozaiczną Sabiną, dać swobodny polot wszystkim pragnieniom swój istoty, tak długo powściąganym energią woli, której siła dziwiła jego samego. Ztąd też upajał się z gorączkową chciwością tą czystą i niewinną miłością, której czytał wyznanie w pomieszanu Flory. W niej zwolna budziła się Ewa, spoglądając po raz pierwszy na życie oczami, których niewinność osłaniała się wstydlivością, uczuciem, które się rodzi wraz z miłością.

A przecież nigdy on jój o miłości nie mówił; lecz jego milczenie było dla niej wymowniejsze, niż poetyczne oświadczenie Jakóba. Nie wstrzymywały jój żadne skrupuły, z łatwościąby je pokonała, a widząc Sabinę tak uparcie milezącą, zimną, na pozór tak zajętą gospodarstwem, iż przekonał się, że jest obojętną dla niego, a nawet trochę zakłopotaną na wspomnienie przeszłości, której się wyparła.

---

## XI.

Jakób des Allais, dowiedziawszy się o przybyciu pana de Bargemont, ucieszył się szczerze ze szczęścia, którego wreszcie doczekała się Sabina. Po upływie dni kilku, które sądził, że były poświęcone wzruszeniom zwierzeń wzajemnych, bardzo dyskretnie przedstawił się w zamku, gotów Sabinie złożyć najgorętsze życzenia. Właśnie postrzegł ją na dziedzińcu zamkowym, i szybko podążył ku niej z radosnym uśmiechem na ustach, gdy nagle stanął jak wryty uderzony zmianą całej jój osoby. Ani Flora zatopiona w swoim wszechpotężnem uczuciu, ani p. de la Rullière zaślepiony swoim egoizmem, nie postrzegli tego. Te dni kilka uczyniły Sabinę starszą przynajmniej o lat dziesięć. Walczyła, opierała się tym cierpieniom, które opanowały całą jój istotę, a wznosząc się coraz bardziej, podobne do fal morskich, w czasie przyptywu, pochłaniały wszystkie jój złudzenia, przeszłość przyszość, jój wiarę i ślepą ufność w Rogerze, a wreszcie wszyst-

ko to, co jój pozostało z młodości w duszy i w ciele. Rysy jój przybrały wyraz jakiś ostry i twardy, prawie złośliwy. Jakób cofnął się zdziwiony... nie poznawał jój.

— Co się stało takiego? — Nie mógł się wstrzymać, aby nie zapytać z obawą.

Rozśmieła się szyderezym głosem ojca.

— Nic — rzekła. — Pan de Bargemont przybył. Idź pan do salonu, to go znajdziesz z Florą.

Nie pojął, ile gorzkiej wymówki słowa te ukrywały, i gdy oddaliła się nie wyrzekłszy słowa, stanął osłupiały, zdziwiony, jakby się ziemia usuwała mu pod nogami.

Roger widząc go wchodzącego zmierzzył wzrokiem tego szlachcica starój i znakomitój rasy, którego brał z kolei za bakałarza i ogrodnika. Okazywał mu przesadniejszą grzeczność, niż tego okoliczności wymagały, bawiąc się widocznem zakłopotaniem Jakóba. Roger bezwątpienia nie był samochwałem, lecz oddawał sobie sprawiedliwość i nie mógł się powstrzymać od zmierzania się z tą niezgrabną i bojaźliwą figurą. Jakób ze swój strony cierpliwie mu się przypatrywał, nie odpowiadając nawet na jego pytania, i każąc mu płacić wszystkie koszta rozmowy. Gdyż jeśli Jakób boleśnie był zdziwiony zmianą Sabiny, to daleko mocniej jeszcze dotknęła go zmiana, jaką wyczytał w oczach Flory. Gdy kobieta kocha, to w całej jój osobie jest coś takiego, co ją zdradza pomimowolnie. Naprózno usiłowała ukryć swoją tajemnicę, wydobywała się ona z jój serca jak płyn z przepelnionego naczynia. Jakieś światło wewnętrzne ją opromienia daremnie stara się je stłumić: oczy, usta, cała jój twarz temi promieniami jaśnieje.

Jakób ani słowa nie rozumiał z tych grzecznych frazesów, któremi go obsypał Roger, jako człowiek przywykły żyć w świecie; roztargniony, zakłopotany, bąknął czasem jakieś słowo bez żadnego znaczenia bez żadnego związku z przedmiotem rozmowy, tak iż Roger nabył przekonanie, że ma przed sobą idyotę. Jego blade oczy pożerały Florę, a kiedy po chwili jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Rogera, kiedy schwycił pomiędzy niemi te tkliwe drżenia, których ukryć nie podobna, podniósł się nagle, porwał za kapelusz, i wyszedł bez pożegnania, pozostawiwszy Rogera raczej uradowanego, niżeli zdziwionego tem wyjściem, którego powody odgadywał.

Na progu Jakób zetknął się z Sabiną o mało jój nie przewróciwszy, tak był oslepiiony bólem i zazdrością. Miał iść dalej, gdy ona go zatrzymała, przyłożyła palce do ust pobladłych, nakazując

mu mileczenie, i pociągnęła go do ogrodu... a upewniwszy się, że nikt ich słyszeć nie może:

— Czyś pan pojął? — rzekła.

Jakób obiema rękami zacisnął czoło i oczy, jakby od nich chciał oddalić jakieś widmo.

— Zdało mi się, że jestem ofiarą sennéj zmory! — zawołał. — Oh! Sabino! to być nie może, to zbyt straszne, i cóż pani? Moja boleść własna dozwala mi odgadnąć cierpienie pani...

Sabina przerwała mu skiniem ręki.

— Daj pan pokój frazesom! — rzekła porywcz. — Nade wszystko proszę, nie lituj się nad moim losem, jakby nad jaką sentymentalną dziewczyną, która dostała bólu serca. Kiedy kula armatnia urwie ci nogę, czy schylasz się po nią? A jeśli chcemy iść dalej, to najlepszym sposobem przyprawić sobie nogę drewnianą. Otóż kochany panie, zupełnie to samo dzieje się z sercem. Jeśli nie umieramy od jednego ciosu, to potem mamy się tem lepiéj. Ja żyję, z panem będzie to samo, i zobaczysz, że jeszcze dożyjemy dziewiędziesiątego roku...

Chciała się zaśmiać, lecz głos jéj brzmiał fałszywie.

— Nie jesteś szczerą! — zawołał Jakób. — Jeśli prawdą, czego się lękamy, nigdy się nie pocieszysz tak samo jak ja. Ależ to niemożliwe! Oh, Sabino, powiedz, że to niemożliwe, że tylko jestem igraszką snu straszne.

— Pozwól pan, że sny zostawimy na boku. Dosyć w życiu namarzyliśmy się, pan i ja, tak, i ja także, co wcale nie miałam czasu, aby tak jak pan zajmować się marzydłami. Jak tylko ujrzałam ich razem, poczułam niebezpieczeństwo, w pięć minut później okryłam czarnym całunem i rzuciłam grudkę ziemi na wszystkie moje nadzieje. Należy być sprawiedliwym, spojrzij pan tylko na nich: on, mój Roger, typ wszystkiego co dobre, piękne, odważne, wytworne, waleczne; ona...

— Oh! ona...

— Tak, tak, znam to wszystko, pomińmy więc, potem spojrzymy na siebie: ty, mój zacy przyjacielu, chociaż jesteś dobrym, pocziwym... bądź jak bądź, nie jaśniesz wcale, wszak prawda? a ja... lepiéj już o tem nie mówić... to rzecz widoczna... Że oni się kochają, to rzecz naturalna. Miejmy odwagę poświęcić się i poddać się swojemu losowi. Widzisz, oni oboje muszą być szczęśliwymi, oni na to stworzeni. Najprzód mała, tak samo jak matka nie ma ani za grosz siły... — i wyprostowała się w całej postaci. — Nieszczęście zabiłoby ją, a on, on Jakóbie musi także być szczęśliwym.



Niecierpliwie dłonią obtarła kroplę wody... byłaż to łza, co się jój stoczyła po licach? i zakaszła aby oczyścić głos, który stał się zachrypłym. A Jakób, ów Jakób łagodny na chwilę zbuntował się.

— A jakim prawem żadasz ode mnie, abym poświęcił to, co mi jest droższe, niż życie, i to dla kaprysu...

— Milcz pan — rzekła rozkazująco Sabina. — Mój Roger nie jest zdolnym do kaprysu.

Lecz Jakób mówił dalej z uporem:

— Dla kaprysu przychodnia, którego znam tylko tyle, iż przyniósł nieszczęście twoje i moje.

— Zabraniam panu mówić, że jestem nieszczęśliwa — zawołała Sabina. — To fałsz!

— Ależ to dzieciństwo, Sabino, chcesz się zapierać cierpienia, którego moje pozwala mi zmierzyć całą głębookość...

— Dosyć tego rozczulania się. — przerwała Sabina. — Pośpiesz się. Gajowy czeka na mnie od pół godziny, weterynarz ma nadejść, mamy chorego konia i dwie krowy, nie pora mi bawić się w czułośćki, a zresztą nie po to ezatowałam na wyjście pana, gdy byłeś tam z niemi. Niewielką mam ufność w pańską przenikliwość, pomyślałam więc, abys będąc mniej ślepym, wiedział jak istotnie rzeczy się mają. Ja, co wcale nie jestem domyslną, widzisz pan przecie, że dobrze odgadła jak za pierwszym widzeniem się waszem, gdyście razem szukali ślimaków... ale, mówiąc nawiasem plamy się nie wywabiły... poznałam, że mąka strzeliła, i że pan nie jesteś mężem, jakiego jój potrzeba. Teraz posłuchaj mnie dobrze i nie przerywaj mi. Oni się kochają, to bardzo przyjemnem dla nas być nie może, ale cóż ztąd, kochają się, jest to fakt niezaprzeczony, i nic na to nie poradzimy. Otóż my oboje zgodzić się na to musimy... co do mnie, jużem to uczyniła... i przez samolubstwo nie zamącimy im szczęścia. Te dwie istoty muszą być szczęśliwe, — rozumiesz mnie panie Jakóbie des Allais? Postarasz się o wszystkim zapomnieć.

On chciał protestować, lecz ona nakazała mu milczenie i mówiła dalej.

— Zabroniłam panu przerywać mi. A jeśli nie zapomnisz, na honor, tém ci gorzej, zawsze uczynisz, jak ja. Ale jest tu jeszcze rzecz jedna, której panu wzbraniam jak najwyraźniej. Mała nie wie, że Roger jest... był... no, żeśmy się pobrać mieli. Kiedy to wszystko się działo, ona o niczém nie wiedziała. Oddałam ją wtedy do klasztoru: uważałam za rzecz bezużyteczną mówić jój o mo-

jem małżeństwie, dopóki ono nie przyjdzie do skutku. Kiedy Roger powrócił, jego odwiedziny niech innego dla niej nie mają znaczenia, jak prosta grzeczność jednego ze zwykłych gości w salonie ciotki d'Essé. Ona myślała, że on jest wolnym; teraz zapóźno ją ostrzegać. Powiedzieć jej prawdę byłoby okrucieństwem. Dwie tylko osoby mogłyby jej to powiedzieć, mój ojciec i pan. O ojca się nie lękam. P. de Bargemont jest bogatym, i jeśli zostanie jego zięciem, to mu wszystko jedno, którą z jego córek poślubi; pan, to co innego, mogłaby ci przyjść ochota, żebyś powiedział prawdę małej i skorzystał z jej zgryzot i zmartwienia, aby ją przyciągnąć do siebie. Oh! nie wypieraj się pan, poczciwy jesteś chłopiec, ale to uczucie tak naturalne! Otóż ja ci zabraniam odkrycia kiedykolwiek Florze, że jakiś związek istniał pomiędzy Rogerem i mną, zabraniam ci panie Jakóbie, czy rozumiesz? i przyrzekniesz mi, że będziesz posłuszny w imię tej miłości, którą czujesz dla niej.

Odurzony, ze zranionem sercem Jakób, wyjąkał jakieś przyrzeczenie, czy protestacyę... mało to obchodziło go... serce miał zakrwawione. Sabina żywo pochwyliła jego rękę, ścisnęła ją mocno, i nachylając się do jego ucha, powtórzyła jeszcze głosem ostrym:

— Będziesz mileżał, wymagam tego, rozumiesz.

Szybko się oddaliła, nie dając mu czasu na odpowiedź, nie domyślając się, że przy jednym oknie salonu Roger był świadkiem tej rozmowy, której wyrażen nie słyszał i wnosząc z gestykulacyi Sabiny, fatalnie się pomylił co do jej treści.

---

## XII.

Łatwo wierzymy temu, w co przyjemnie nam uwierzyć. Pan de Bargemont, oszukany pozorami, które wytłomaczył sobie na swoją korzyść, był przekonany, że Sabina uczyniła Jakóbowi wyznanie swych uczuć, i odtąd bez wyrzutów sumienia i bez przymusu oddawał się szczęściu swój miłości. Ani on, ani Flora niedomyślali się nawet jakie tortury ona znosiła. Ona, prawość wcielo-  
na, zdaleka szpiegowała ich bez ustanku, używała wszelkich przebiegów, aby ich widzieć, sama nie będąc widzianą, nastęrczając

im spotkanie się sam na sam w miejscach, gdzie mogła ukryć się w cieniu i czuwać nad nimi, pochłaniając ich szczęście oczyma suchemi i zaognionemi, podobna do biedaka zgłodniałego pożerającego wzrokiem cwoce, o których wie, że nigdy mu nie będzie wolno ich skosztować. Zdawała się doznawać jakiejś dzikiej rozkoszy fakirów indyjskich rozkoszując się we własnej męczarni, i patrząc jak jęj serce rwie się w kawały, upajała się zachwytem widzów, patrzących na krwawe walki byków. Cierpienia, jakie inna kobieta zadawałaby swęj rywalce, dziwna ta natura znajdowała upodobanie w wymierzaniu ich samęj sobie. Cierpiąc, poświęcała się dla Rogera, a mierząc ogromem swęj rozpaczy miłość swoję dla niego, cieszyła się widząc, jak żywą i wszech-potęzną była w nięj ta miłość.

Co do Rogera, ten o nie jęj nie oskarżał; dalekim był od tego. Z rozpaczliwą pokorą, ta dumna i wyniosła kobieta przyznawała przed sobą, iż jego nie była godną, i w zupełności usprawiedliwiała go, że nią pogardzał. Jak tylko go za powrotem postrzegła, nielitościwy jęj zwyczajny rozsądek dał jęj wyraźnie do zrozumienia, iż nie była ona towarzyszką, jakiej potrzeba było temu wytwornemu młodzieńcowi. Czas pracy tych lat dziesięciu, najczynniejszych w życiu ludzkim wydał różny skutek u nięj i u niego. U nięj była utrata pierwszej świeżości dziewięcziej. A zresztą są kobiety, które się prędcziej, niż inne starzeją. Sabina należała do liczby tych ostatnich; i wiedziała o tem. Rodzaj jęj zajęcia, towarzystwo, w którym żyła, wymagania tęj natury czynnej i energicznej, niemało się do tego przyczyniły; lecz prawdziwą istotną przyczyną, której przed sobą nie ukrywała, był brak szczęścia, brak pogody duszy, który na ustach starców nawet wywołuje uśmiech młodości. Roger przeciwnie doszedł do tego życiowego peryodu, w którym mężczyzna, zmierzwszy swoje siły, postępuje krokiem równiejszym i pewniejszym, będąc w pełnem posiadaniu wszystkich swoich zdolności: jest to chwila wzniosłych namiętności, szlachetnego zapału, czynów bohaterskich, rodzących się w zupełnej harmonii rozumu i serca. Był to także czas, w którym, gdy jego siła fizyczna doszła do najwyższego rozwoju, przedstawiał doskonały typ piękności męskiej, i Sabina otwarcie się przyznawała, iż uwielbia tę piękność, która niegdyś, a pamiętała to dobrze, niemało się przyłożyła do miłości, jaką zapłonęła dla Rogera.

Dni jedne upływały po drugich i tworzyły tygodnie, dla Sabiny wlokły się one ciężko, jak ołów i były długie jak wiek cały,

dla Flory i Rogera miały szybko, jak chwile snu błęgiego. Każde słowo, które wyrzekł, każdy jego sąd o rzeczach i ludziach, jego zdania i gusta starannie zbierała młoda dziewczyna i chowała jak najdroższe relikwie w tym świętym przybytku, który poświęca każde młode serce swój pierwszej miłości. Kiedy Rogera nie było przy niej, rozpatrywała te drogie pamiątki, rozmarzona i zadumana. Ogniste wyrazy Jakóba często przychodziły jej na myśl, teraz pojmowała, co on musiał doświadczać; litowała się nad nim, lecz uśmiechała zarazem pomysławszy o tych naiwnych wysiłkach, jakie czyniła, aby wzbudzić w sobie miłość podobną do jego miłości. Teraz poznała wielką tajemnicę serca ludzkiego i zrozumiała, że miłości nie można się nauczyć jak zadanéj lekcyi, i że ona nie zgadza się z litością.

Róże Jakóba powiędły pod ognistemi pocałunkami lipcowego słońca; w salach de la Rullière były już tylko kwiaty polne, które Roger i Flora znosili ze swoich przechadzek ogromne pęki, które gniotły roztargnione palce dziewczyny, podczas długiego milczenia Rogera, nieśmiejąc przerywać téj nieméj rozmowy. Wszystkie te kwiaty polne zbierane po łąkach i miedzach, więdnąc wydawały woń mocną, a gdy zapomniane zostały gdzie na krześle lub kanapie, nielitościwa ręka p. de la Rullière bez ceremonii je wymiatała. Ten ostatni przecieź był dosyć zadowolony. Dla niego bytność Rogera miała znaczenie pozytywne. Oszczędzała wydatku nieuniknionego na honorarium dla inżyniera. Nazajutrz zaraz po jego przybyciu, pojął jaką może wyciągnąć korzyść z rad człowieka, który z tego tylko, co miał pod czaszką, umiał zrobić wielki majątek i pod pozorem, że chciałby zasięgnąć jego zdania, zrobił go kierownikiem dość ważnéj roboty. Szło tu ani mniej, ani więcej, jak o to, żeby raz położyć kres kapryśnym zachciankom potoku, zmieniając jego koryto. Roger skwapliwie przyjął to zajęcie, gdyż ono usprawiedliwiałoby przedłużony zbyteczny pobyt jego w Rullière, a nie przyspieszało nagle stanowczego rozwiązania, którego wypadkowéj nie przewidywał jeszcze. Dzięki zagadkowemu postępowaniu Sabiny, nie mógł się doczekać od niej jasnego wytłómaczenia się. Zamknęła się w szczególniejszój niemocie, i cała, więcej jak kiedykolwiek, zajęta była swojemi gospodarskimi kłopotami. Gdy Jakób przestał nagle przysyłać bukiety i gdy więcej nie pokazał się w Rullière, Roger wniósł ztąd, że tajemne pomiędzy nimi nastąpiło porozumienie.

Sabina niekiedy zadawała sobie pytanie, kiedy się skończą jej męki, i czy do ostatka znajdzie dość sił w sobie? Lecz postano-

wiła wytrwać na swoim stanowisku. Czyliż tu nie szło o to, aby zapewnić szczęście Rogera i Flory, którzy odtąd w jej umyśle stanowili całość? Pewnego dnia ujrzała ich przechadzających się po aleach parku, przesuwając się z wolna jak te szczęśliwe dusze, które widział Dante w rozkoszonym cieniu raju. Oboje byli tak piękni tak zachwycająco wyglądali, jakby stworzeni tylko dla siebie, iż ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, aby miała im wyrzucać ich szczęście, Było rzeczą tak naturalną, że tych dwóch świetnych motylów było przeznaczeniem, aby krążyły w świetle, upajały się wonią kwiatów, wlatywały ku słońcu! Ona zaś jak pszczoła posępna musi pozostać w ulu, zniknąć, pracować, nieznaną i zapomnianą. To jej miejsce właściwe.

Widziała ich, jak zatrzymali się przed kamienną ławką, która pozostała jeszcze z dawnego parku. Milcząc usiedli przy sobie. Za ławką krzak jeryzyny iskrzył się białymi kwiatami i owocem czerwonym. Flora przyciągnęła do siebie gałązkę pokrytą jeryzną purpurową wybrała z nich jedną i zerwała. Roger schwycił ją w lot, i poniósł do swoich ust, dziki owoc, wraz z palcami, które go trzymały. Chciała się rozśmiać, aby ukryć pomieszenie. On trzymał ciągle jej rękę, małą rączkę dziecinną, różową, bezsilną, prawie przezroczystą, istne pieścidełko do pocałowania. Długo się jej przypatrywał, potem lekko, jakby się obawiał uronić kwiatek delikatny, poniósł ją do ust.

Sabina odskoczyła w tył, jakby strzała ugodziła ją w samo serce.

Instynktowo spojrzała na swoją rękę, rękę ogromną, opaloną i stwardniałą od pracy. Na jednym z jej palców, na którym miała być obrączka ślubna, połyskiwał świetny pierścień. Był-to rubin otoczony kołem brylancików. Żywo go zdjęła, i wychodząc ze swojej zasadzki z obojętnością udaną, zbliżyła się do Flory.

— Siedzicie, siedzicie — wołała zdaleka, widząc, że oboje powstali, aby wyjść na jej spotkanie. — Tylko jedno słówko mam powiedzieć. No mała, przynoszę ci podarunek. Masz pierścień. — Mówiła głosem przerywanym, jakby się zatrzymywała dla nabrania oddechu, zmęczony się szybkim chodem. — Nie, nie, proszę cię, nie dziękuj. Lepiej wyglądać będzie na twoim palcu, niż na mojej łapie ogorzalęj. — Trochę on jest zaduży, ale to nic nie szkodzi, wkrótce będziesz miała inny zrobiony na twoją miarę, to tamten utrzymasz na miejscu. — Pewne szyderstwo przebijało się w jej słowach. — Szczególniejsza rzecz — mówiła dalej — że

wszystkie takie pierścionki łatwo się zsuwają, jeśli je nie podtrzyma prosta obrączka złota... Zdaje się, że to rzecz nieunikniona.

Mówiła szybko, gorączkowo. Flora, która niczego się nie domyślała, pieśczośliwą ręką otoczyła jęj szyję, chcąc okazać swoją wdzięczność. Zarumieniła się z rozkoszy. Sabina szorstko uwolniła się od jęj pieśczoł.

— Nie całuj mnie — rzekła. — Wiesz, że tego nie lubię. No, daj mi pokój, nie mam czasu.

— Sabino! — szepnął Roger, pobladły ze wzruszenia. Poznał swój pierścień zaręczynowy.

Nakazała mu milczenie skinieniem i spojrzeniem. Było-to dla niego istne objawienie. Wyczytał w niem dzikie postanowienie, boleść powściąganą, wyrzuty mimowolne, i serce mu się zakrwauiło. Straszne podejrzenie bólem go przejęło. A jeśli Sabina zawsze go kochała, jeśli wcale kochać nie przestawała, jeśli zimne przyjęcie, jakiego doznał od nięj było tylko skutkiem dziwactwa tego charakteru, powściągliwego i namiętnego zarazem? Nie śmiał nawet dłużej zatrzymywać myśli na tém przypuszczeniu, które go stawiało w rozpaczliwym położeniu. Swoje postępowanie widział w nowem świetle: oskarżał się, iż był podle okrutnym, potępiając Sabineę, nie wysłuchawszy jęj. Serce mu głośno mówiło, iż było już zapóźno, aby złe naprawić. Zgnębioy tém odkryciem, patrzył na oddalającą się Sabineę. Szła z głową podniesioną do góry, lecz wolno, ociężale, jakby wielki ciężar włókl się za nią.

Wróciła do domu, weszła do swojego pokoju, i zamknęła się. Zbliżyła się do okna, odsłoniła firanki, wzięła zwierciadło, postawiła do światła i bacznie przypatrywała się twarzy, którą zwierciadło odbijało. Policzyła skrupulatnie wszystkie białe włosy, których liczba znacznie się zwiększyła od dni kilku w jęj czarnych splotach, zbadała zmarszczki, które się potworzyły przy oczach i około ust; przypatrzyła się tęg cerze poczerniałęj, którą upały na jęj skroniach rozpostarły, plamom potowym, które jęj czoło poźółciły, i nie przebaczyła żadnym uszczerbkom, które czas poczynił w jęj piękności. Skończywszy ten przegląd, wsparła o stół i ciężko opuściła głowę na dłonie.

— A ja dotąd jeschcem się nie postrzegła — szeptała sobie. — Jestem zwiedłą, brzydką i starą! Piękność opuściła mnie, zem się ani postrzegła; młodość, przyszłość, nadzieja, miłość Rogera, porzuciły mnie, przepadły. Pozostała mi tylko rzecz jedna, jedyna... przeszłość moja. Tęj nikt mi zabrać nie może. Roger może być niewdzięcznym, okrutnym, oddawać siostrze w moich oczach to

serce, które było mojem i do mnie należało, lecz nie może przeszkodzić, aby przeszłość istniała. Kochał mnie, namiętnie kochał. Niech przyjdzie starość, zapomnienie, opuszczenie, samotność, śmiało im spojrzę w oczy; będę szczęśliwą mejmi wspomnieniami, dumną z méj przeszłości... on mnie kochał.

Biedne serce zranione! Uczepiła się ostatniego szczytka swego zburzonego szczęścia z całą energią rozbitka, nie domyślając się, że burza nie wyczerpała do ostatka swéj gwałtowności, gotowa zgruzgotać w jéj rękę ostatnią deskę zbawienia.

Tego dnia nie ukazała się na wieczór w swéj starannej toalecie, która dla niéj stała się przyzwyczajeniem. Opuszczenie się to wydało skutek wprost przeciwny temu, jakiego się spowiedziała. Miała na sobie suknię z szarego kaszmiru, którego długie fałdy majestatycznie spływały, otaczając ją miękko swoją barwą przyćmioną, koronka czarna niedbale zarzucona na głowę, okrywała w części włosy, przerywając ostrą linię jéj splotów, których geometryczna regularność drażniła niegdyś Rogera, a spadając na plecy okalała głowę przezroczystem cieniem. Gdy taką okazała się Rogerowi, który czatował na jej przyjście, uderzyła go jakby jakie nowe zjawisko. Z oczami ociężałemi z boleści, z rysami twarzy regularnemi, chociaż nieco ostremi wydała mu się piękną, jak jedna z madonn włoskich, płaczących u stóp krzyża. Zeszła na odgłos dzwonka obiadowego, spóźniła się trochę, czekano na nią. Było-to jéj zwyczajem po przybyciu Rogera. Unikała tym sposobem pozostania z nim sam na sam. Lecz on mocno sobie postanowiwszy widzieć się z nią bez świadków, oczekiwał ją przed drzwiami do jadalnej sali, a gdy miała przejść koło niego, położył rękę na kłamec i nie puścił jéj.

— Nie, Sabino — rzekł głosem stanowczym — nie przejdiesz pani. Muszę się z tobą rozmówić. Twoja dziwna odmowa trwa długo. Musimy się wytłómaczyć. Szczęście nas wszystkich od tego zależy. Gdybyś pani pierwszego zaraz dnia nie odmówiła rozmowy, o którą prosiłem, byłoby się nam wiele oszczędziło cierpień.

Ona z tak doskonale odegraną spokojnością na niego spojrziała, iż można było się pomylić.

— O jakich, proszę, chcesz pan mówić cierpieniach? — rzekła. — Czy o swoich? Nie zdajesz się pan być cierpiącym! A co do Flory, ta nigdy szczęśliwszą nie była, i cieszę się z tego...

Uczył ruch zniecierpliwienia.

— Ależ na miłość boską przestań Sabino, przestań pani grać

komedycę. Chcę ci tylko jedno uczynić pytanie. Odpowiedz mi sumiennie. Zapomniałaś o przeszłości? Przestałaś pani mnie kochać?

Wyprostowała się dumnie, ściągnęła brwi, i z okiem połyskującym odrzekła.

— A ja z kolei zapytam pana, czyś zbadał własne serce, aby się przekonać, czy ono zachowało prawo jakie, czynić mi podobne zapytanie.

I odsunęła rękę, która drzwi wciąż przytrzymywała i rzekła szorstko.

— Idź pan swoją drogą i pozwól, że i ja pójdę swoją. Jesteśmy wolni.

On skłonił się i usunął na bok.

Sam p. de la Rullière zauważył, iż gość jego był milczący i roztargniony podczas obiadu. Roger tłumaczył się nader ważnymi wiadomościami, o których dzienniki donosiły. Było to właśnie w roku 1870; wojna stawała się nieuniknioną; na widnokręgu wywijala już swoją ręką krwawą.

Nazajutrz z rana zbudziwszy się Sabina, a wstawała o świcie, z trudnością otrząsnęła się z ciężkiej martwoty wspomnienia czy przecucia, które ją osłoniło jakby całunem śmiertelnym. Był to dzień jeden z najgorętszych w lecie. Noc nawet nie ochłodziła rozpalonego powietrza. Słońce jeszcze nie świeciło a z ziemi już się wydobywały gorące opary. Kiedy Sabina usiadła przy oknie aby odetchnąć świeżem powietrzem, mimowoli wydobyło się z jej piersi westchnienie. Małe jaskółki wkółko latały po nad dachem łupkowym, ścigając się ostrym głosem; koniki polne przerywały jednostajną ciszę swem przenikliwym brzęczeniem.

— Jeszcze jeden dzień męczarni! — pomyślała Sabina, spoglądając w przyszłość, chcąc wyobrazić sobie, jakie będzie jej życie, zawczasu przyzwyczać się do myśli, że jej Florcia ukochana, dziecię jej, pierwsza troska i pierwsza pociecha jej życia, zostanie żoną Rogera, jej Rogera, jej narzeczonego, jedynej jej miłości, i wyjadą oboje, pozostawiając ją samą, zawsze samą, wiecznie samą ze starym ojcem, któremu i rozum i pamięć już zaczęły niedopisywać. Zrażona i zniechęcona zamknęła oczy, aby nie widzieć tej przyszłości, a spojrzała wstecz, w swoją przeszłość wypełnioną miłością, zaufaniem, nadzieją. I jak wczoraj powtórzyła sobie: On mnie kochał! O tego nikt mi odebrać nie może.



### XIII.

Pomimo upału p. de la Rullière i Roger wyjechali bardzo rano dla zwiedzenia jednej oddalonej fermy. Sabina zdwoiła swoją działalność, aby pokonać to zniekanie fizyczne i moralne, które nią zawładło. I jako tako dzień ten upłynął jak wszystkie inne. Nad wieczorem chłodny wietrzyk odświeżył nieco rozpalone powietrze. Ptaszęta, które milczały podczas godzin upału, teraz zaczęły nucić swoje wieczorne piosenki, wesoło skacząc po gałęziach i bluszczach które mur otaczały, trzepotały skrzydełkami, przelatywały z miejsca na miejsce, nim się do snu ułożyły; całe chmary drobnych muszek krążyły w purpurowych promieniach zachodzącego słońca, niby pyłek złoty, który zniknął za łada silniejszym podmuchem.

Sabina obeszła swoją mleczarnię. Zwiedziła oborę, policzyła sery, zlażała niejedną dziewczkę folwarczną swoim głosem, przed którym wszystko drżało. O żadnym szczególe gospodarskim nie zapomniała; przenikliwy jój wzrok odkrywał najmniejsze zaniedbanie. Wydała rozkazy na dzień następny, a załatwiwszy się zupełnie, oddaliła się, podniosła nieco w górę fałdzistą swoją suknię i powolnym ciężkim krokiem przechodziła przez klepisko stodoły. Koty i kury z pośpiechem wracały do domu i uciekały przed nią. Na raz dał się słyszeć tęteć biegnącego konia. Zadrżała. Przez szczeliny desek w stodole ujrzała Rogera zsiadającego z konia; rzucił lejce przechodzącemu chłopcu stajennemu. I skierował się zaraz w stronę stodoły. Przez chwilę Sabina mniemała, że idzie ku niej. Ale nie. Nigdy na nią tak nie spoglądał. Nigdy, nawet w pierwszym czasie ich miłości, twarz jego nie jaśniała tak namiętną czułością. Odgadła obecność Flory. Dosyć jój było nachylić się, aby ją widzieć. Znużona skwarem dziennym, a może ubezwładniona gwałtownością uczucia, które rozpiecało jój serce, Flora na wpeł się wyciągnęła na jednej z ławek wspartych o stodołę. Dosyć było Sabinie wyciągnąć rękę, aby jój dotknąć mogła; każde więc słowo ich rozmowy dolatywało do jój ucha. Spoczywając, Flora wsparła swoją piękną głowę na ręce zanurzonej w złocistej powodzi włosów rozpuszczonych. Postrzegłszy Rogera, podniosła się nieco i usiłowała poprawić nieład swego ubrania, przez co jeszcze bardziej go zwiększyła, i zapłoniona, z odchylnemi ustami padła znów na ławkę.

On pochylił się nad nią, zatapiając swój wzrok w oczach dziewczęcia.

Gdyby mogli przewidzieć tę niemą rozpacz dwojga oczu, chciwie ich śledzących z ukrycia! Tak Ewa niegdyś wypędzona z raju ziemskiego spoglądać musiała na jego bramę.

Pierwsza Flora przerwała milczenie.

— Wracasz pan sam? — rzekła głosem drżącym.

— Sam. Ojciec pani został w Saint-Romuald. Chciał mnie tam zatrzymać, lecz musiałem się z tobą widzieć. Czas wahania i milczenia minął, teraz trzeba działać, Floro! Wojna wypowiedziana została. Cóż mam robić, moje dziecko?

— Odjechać? Chcesz pan odjechać? O mój Boże!

Spuściła głowę, łkając.

— Uspokój się — rzekł czule Roger.

Ze drżenia jego głosu Sabina odgadła, że go uszczęśliwił prawie ten wybuch boleści, który był jawnem wyznaniem.

— Wysłuchaj mnie do końca, Florciu, a jak ci się wyświadają, to może mniej będziesz żałowała mojego wyjazdu. Uczucie twoje dla mnie być może nie przeżyje wyznania, które mam ci uczynić. Gdyż nigdyśmy sobie tego nie powiedzieli. Ale to zbyt późno. Wszak prawda? Kochamy się. Serduszko dziewczynki, która niegdyś usypiała na mojem ramieniu, oddało się mi swobodnie. I ja kocham cię, jak szalenię, kocham jak zrozpaczony, tak, zrozpaczony! O moje dziewczę! Marzeniem mojego życia było spotkać na mej drodze istotę łagodną, słodką, kochającą, jak ty, której miłość moja byłaby siłą i podporą. Niestety, Niestety! moje marzenie miało się urzeczywistnić zbyt późno. Gdym cię spotkał wśród słonecznego pola ukrytą w kąci pod krzakiem róży polnej, i gdy twoje duże oczy skierowały się ku mnie, jakby żądały trochę uczucia, wtedy serce moje z całą namiętnością rzuciło się ku tobie. Było-to na życie i śmierć. Otóż Floro przeklinaj mnie, i potępiaj, mnie nie było wolno rozporządzać mojem sercem.

Flora podniosła się bla da jak widmo.

— Nie byłeś pan wolny, jesteś żonaty? — wyjąkała dziewczyna.

— Żonaty nie, dzięki Bogu! Mój błąd jest mniejszy niż sądzisz. Jestem raczej nieszczęśliwy, niżeli występny. Wysłuchaj całej spowiedzi mojej, a potem wydaj wyrok. Kiedym opuścił Francję, aby dorobić się majątku, miałem właśnie się żenić, albo raczej wiadomość o ruinie mojej majątkowej zerwała układy małżeńskie w ostatecznej już chwili. Cieszyłem się prawie z tej katastrofy, a wiesz dlaczego? Nie kochałem mojej narzeczonej.

— Dlaczegoż więc miałeś ją poślubić?

— Dlaczego? Ponieważ wiedziałem, że prędzej lub później trzeba mi się ożenić, ponieważ byłem sierota, bez rodziny, bez domu, a życie kawalerskie przestraszało mnie, ponieważ pewna osoba, wspólna przyjaciółka nasza wszelkich ze swojej strony dokładała starań, aby to małżeństwo przyszło do skutku, przemogła więc moje wahanie się; ponieważ związek ten łączył w sobie wszelkie względy majątku, wieku, urodzenia; ponieważ wreszcie, muszę ci wyznać wszystko... ona, moja narzeczona, kochała mnie, i dała mi to poznać zanadto może wyraźnie. Była zimną i dumną względem wszystkich. Nie byłbym chyba człowiekiem, żeby nie pochlebiło mojej miłości własnej to jej uczucie bez granic, które mi okazała.

— A pan jej nie kochałeś, nigdy nie kochałeś?

— Nigdy.

Ciszę tego wieczora przerywały krzyki sowy i wycie psów, oboje więc nie słyszeli głosu rozpaczy jaki się rozległ w cichej i ciemnej stodole.

Roger mówił dalej: Szanowałem ją, ponieważ była inteligentna i cnotliwa, podziwiałem nawet jej piękność niezaprzeczoną, lecz w moich oczach pozbawioną tego wdzięku, bez którego piękność nie ma żadnego uroku. Szorstkość jej charakteru raziła mnie co chwila. Muszę jednak zawsze mówić o niej ze czcią i wdzięcznością, lecz także, mówić szczerze, bo to jedno tylko zostaje na moje usprawiedliwienie. Żenić się miałem ze względów światowych, prawie przez uległość. Oto dlaczego, dowiedziawszy się o utracie majątku, odetchnąłem swobodnie. Czekala mnie praca, walka, nędra może, ale byłem wolny! Ależ nie, nie byłem wolny. Odrzuciła energicznie moje żądanie, aby wróciła mi wolność, i związała mnie przyrzeczeniem, że mi dochowa swojej. Było to szlachetnie z jej strony: ona była bogatą, a ja ubogim. Pozwoliła mi odjechać, ponieważ tego żądałem, lecz odjechać związanym. Potem nastąpiły lata upartej walki, o której ci opowiadałem. Aby mi dodać odwagi nie podtrzymywało mnie żadne wspomnienie, żadna nadzieja. Miałem tylko niazachwianą wolę zwyciężyć nieszczęśliwe losy i postępować jako człowiek honorowy, który nie chce, aby kobieta przewyższyła go swoją szlachetnością. Moje przedsięwzięcia powiodły się ponad wszelkie oczekiwania. Powróciłem do Francji bogatszym, niżelim kiedykolwiek mógł się spodziewać, bogatym w złoto, lecz ubogim w uczucie, i drżałem na samą myśl o tym łańcuchu, który mnie krępował. Powróciłem, szczerze

i uczciwie pragnąc spełnić moje zobowiązanie. Wtedy-to spotkałem ciebie. Teraz już wiesz o wszystkim.

— Ale ona? — jąkała się Flora. — Ona? Czyś ją widział? Czy kocha cię zawsze?

Roger zawahał się.

— Widziałem ją. Przez chwilę mogłem spodziewać się, że kocha kogo innego. Jeszcze nie sprawdził tego przypuszczenia. Teraz Floro odwołuję się do twojego rozsądku i twojego serca. Co mam czynić?

— Idź do niej, jakś przyszedł do mnie — odpowiedziała Flora bez wahania się. — Zapytaj ją otwarcie, i jeżeli postrzeżesz, że jej uczucia się zmniejszyły lub zmieniły, wyznaj jej całą prawdę i domagaj się od niej całej wolności. Lecz jeśli cię kocha, jak dawniej sądziłeś, że cię kocha, jeśli przez tyle lat oczekiwania płakała i cierpiała dla ciebie, to obowiązek twój jasny. Chłodem, straszną niewdzięcznością nie zechcesz odplacić szlachetności tej kobiety, której jedynym błędem było to, że cię kochała, nie będąc od ciebie kochaną. Zapytuję się własnego serca, i stawiam w miejscu tej kobiety, której kochać nie mogę, bo jest moją rywalką, oto jaką mi ono dyktuje odpowiedź: pierwszy twój obowiązek względem niej, i my nie mamy prawa pozbawić jej szczęścia.

Teraz Roger wydał okrzyk boleści.

— Ależ ty, Floro, czy to sprawiedliwie, abyś została poświęconą? O moje dziewczę! Ty, którą chciałbym ponieść na rękę, przez drogę życia, aby ci oszczędzić wszelkiego potknięcia się i obrażenia, którą zasłoniłbym pragnął od najmniejszego tchnienia zimnego, coby cię dreszczem przejął; i tobież to miłość moja ma sprawić tylko boleść i żal?

— Boleść może, lecz żal nigdy. Nigdy, choćby nie wiem co się stało, choćbym z tego umrzeć miała!

A pochylając się do niego rzekła po cichu szeptem tak łagodnym, jak pieszczota.

— A twoja miłość czyniła mnie tak szczęśliwą. Cokolwiek nastąpi, nigdy żałować nie będę, że cię kochała.

Pomilczawszy trochę, mówiła dalej.

— Posłuchaj mnie Rogerze. Sabina wyrzuca mi, że jestem doniczego, że jestem słaba i bez energii, i ma słusność, niewiele na co przydam się w świecie; jeśli nagle z niego zniknę, nikt tego nie postrzeże. Wiem, że jestem delikatną, a odziedziczyłam to po matce, i nie znosiłabym może wielkiego zmartwienia. Wolałabym niepewność, którą przynajmniej zostawiła mi nadzieję. Ponieważ

żądałeś ode mnie rady, pozwól więc udzielić jój sobie: Odjeżdżaj. Odwiedź tę kobietę, która nasze szczęście trzyma w swem ręku. Jeśli możesz pozyskać pewność, że kochać cię przestała, wracaj. Jeżeli nie, pozostań przy niej, nie mów mi nic, nie przyjeżdżaj, ja to już zrozumieć.

— Nie, Floro. Jeśli ona mnie kocha, jeśli o tém wątpić nie będę mógł; jeśli będę zmuszony zakrwawić jój serce, lub twoje, to ona, nigdy przy niej nie zostanę. Wyjadę na wojnę, ani ty ani z pewnością mnie nie zobaczycie.

Flora załamała ręce z boleści, nad którą zapanować już nie mogła. Roger schwycił obiedwie jój ręce i ściskając konwulsyjnie na piersiach.

— Nigdy nie będziesz wiedziała, jak ja cię kochałem — szeptał namiętnie.

— Ale ona! — mówiła cicho Flora, nie starając się wydobyć z jego uścisku — ona? Więc jój nie kochałeś? Powtórz mi to.

— Nigdy — zawołał Roger. — Nie kochałem i kochać nie będę nikogo, prócz ciebie...

Gdy noc nadeszła, Sabina znalazła się w swoim pokoju, chociaż sama nie umiałaby powiedzieć, jak się do niego dostała. Zdało się jój tylko, że marmurowa konsola, o którą wsparła czoło była rozpaloną, i że krwawa zasłona niedozwalała jój widzieć drżącój tarczy księżycy. Usiłowała zebrać myśli, które się jój męciły w mózgu i rozprasały jak perły nawieszane na sznurku, którego zerwał się koniec. Jedna tylko rzecz, jedna myśl tylko z nieubłaganą wyrazistością powtarzała się w tym chaosie:

On nie kochał jój nigdy!

---

#### XIV.

Pora robienia konfitur corocznie była pamiętną epoką w życiu panny Ydoiny. Zawczasu o tém myślano; ważną było rzeczą dla każdego owocu wybrać porę właściwą, kiedy jest dosyć dojrzałym, nie będąc przejrzałym. A potem radzono się całej biblioteki przepisów przechodzących z pokolenia w pokolenie, począ-

wszy od jakiej pra-prababki ze strony macierzyńskiej, która była księżnią w opactwie Fontevrault.

Panna Ydoina miała swoje laboratorium oddzielne. Na czelę całej falangi służących, otoczona kompletną baterią przeróżnych naczyń wyczyszczonych i świecących się jak w sklepie złotnika, z przyjemnością zajmowała się warzeniem, ponieważ wiedziała, że i w Wersalu bawiono się robieniem masła. Było to bardzo odległe naśladowanie tych wielkich pań dawnych, które z całego serca pragnęła, aby znów zmartwychwstały. Ydoina przecież na seryo zajmowała się swojemi konfiturami.

Gdy nadeszła chwila śliwek, zwanych renklodami, panna Ydoina w rurkowanym czepku przy fartuchu z falbanami koronkowemi, przybranemi w kokardki atlasowe koloru piusowego, zasiadła przy długim stole, na którym wznosiły się całe góry śliwek złocistych, apetycznych, soczystych, pachnących miodem, i wzgórze cukru, który właśnie służąca ważyła. Słoiki kryształowe i fajansowe stały już w szeregu gotowe do przyjęcia ugotowanych konfitur. Panna Ydoina uzbrojona w parę nożycek obcinała wkoło papier przeznaczony do przykrycia słoików, gdy tymczasem panna Florymunda w płóciennym fartuchu przepasanym na długim jej surducie, towarzyszyła temu wielkiemu dziełu tylko, jako amatorka. Właściwie fartuch był jej niepotrzebny, gdyż jedynę jej zajęcie polegało, że na kartkach wystrzyganych przez siostrę kładła nazwę konfitur i ich datę: „Renklody r. 1870.“

Gdy się skończyło przeważenie cukru, nastąpiła chwilowa przerwa, gdyż dał się słyszeć dzwon zwiastujący obiadową godzinę. Cały zastęp służących znikł w mgnieniu oka. Obie siostry starszki zostały same.

— Sądzę, że konfitury będą lepsze tego roku — odezwała się panna Ydoina. Tak to zawsze. Te śliwki są tak soczyste, iż myślę że nam ich zbraknie w roku przyszłym. A byłaby szkoda. To konfitury najulubieńsze Jakóba. Tyle ich zjadł roku zeszłego, iż wnet się zapas wyczerpał. A przecież księdzu proboszczowi dałam tylko sześć słoików, a jeden jakoś się rozszedł tu i owdzie, dla chorych biedaków. Tego roku ponieważ ich mamy wielką obfitość, to będziesz mogła zachować z parę słoików dla twojej córki chrzestnej. Czy uważasz, kochanie, że od bardzo dawnego czasu u nas się nie pokazała? Żałuję z tego powodu Jakóba, który zdaje mi się, że jest cierpiącym. A nawet, czyś nie ostrzegła, że się bardzo zmienił.

Jakieś mruczenie było jedyną odpowiedzią Florymundy.

Ydoina mówiła dalej.

— Jakób mógłby je (konfitury) sam zanieść, byłaby-to sposobność odwiedzenia jój, a przytém pocziwe dziecko wielceby się ucieszyło, gdyby jój mogło przyjemność sprawić.

To samo mruczenie panny Florymundy.

— Florymundo! — znów zabrała głos panna Ydoina, mówiąc nieco ciszej. — Czy nie zdaje ci się, żeby Jakób pomyślał o ożenieniu się. Twoja córka chrzestna jest wprawdzie za młoda, ale ja czuję, że się starzeję, reumatyzm się zwiększa, a nie chciałabym ztąd odejść nie ujrawszy nowój generacyi des Allais. Nie zapominajmy, że Jakób jest ostatnim potomkiem rodziny tego nazwiska. Zadługo ociągał się z żeniączką. Może to i nasza wina. Ale wreszcie nie ma czego żałować, ponieważ, dzięki Bogu, Flora rosla, jakby umyślnie dla niego.

— Ja nie jestem twego zdania. Nie takiój żony potrzeba Jakóbowi, nie tego pieszczoszka, tego ździebelka bez energii i woli, tój istnój gałki śniegowój... ale Sabina...

Panna Ydoina obruszyła się.

— Sabina! Co też ty mówisz, moja droga. Najprzód jest to niemożliwe, i to wielkie szczęście, gdyż Sabina jest jedyną osobą, którójbym nie powierzyła losu naszego dziecka. Doskonale tóż przystają do siebie: ona tak pozytywna, tak stanowcza, on uosobiona poezya...

— Ba! — odrzekła panna Florymunda, wzruszając ramionami — a my, to bardzo podobne do siebie, ja i ty? A przecież nieźle żyjemy z sobą. Sabina, chociaż znajduje przyjemność w przekomarzaniu się ze mną, sto razy więcej warta od swój siostry, i otwarcie tobym powiedziała Jakóbowi gdyby mnie o zdanie zapytał.

— Jesteś niesprawiedliwą, Florymundo, i nie pojmuję, co możesz mieć przeciwko tój dziewczynie tak łagodnej, tak dobrej, tak miłej...

Panna Florymunda z niecierpliwości rzuciła pióro, i zrobiła ogromnego kleska na jednym ze swych najpiękniejszych napisów.

— Wiesz co, iż drażnisz mnie swym entuzjazmem dla tój małej sroki, roztrzępańca, zalotnicy bez serca i mózgu.

Panna Ydoina przestraszyła się.

— Cóż się takiego stało? — zapytała.

— Jeszcze się pytać możesz? Piękne się rzeczy dzieją w Rulière pod oczami tego egoisty Albina, który nic nie widzi. Gdybyś nie żyła tak zasklepiona w sobie, tobys postrzegła co się dzieje.

— Czy małżeństwo Sabiny zostało zerwane?

— Małżeństwo Sabiny!... Jest też teraz mowa o tém? Czy ten jegomość, który przybył, Bóg wie po co, a który lepiejby zrobił, żeby został w Kochinchinie, albo gdzieindziej u dyabła, nie umizga się do Flory, znajdując zapewne Sabinę mniej świeżą, niżeli wtedy, kiedy ją opuścił? Głupia, pusta dziewczyna dała sobie zawrócić głowę pięknymi słówkami i pańskimi manierami tego awanturnika. Wszędzie ich się spotyka i wszędzie razem z sobą. Sabina zmieniła się aż strach. Teraz wygląda starzej ode mnie. Jakób... biedny chłopiec... nie mówmy lepiej o tém. A co do pana Albina de la Rullière, ten nic nie widzi, albo raczej nie widzieć nie chce, ponieważ pan de Bargemont kieruje robotami jego, do których nie mógł znaleźć inżyniera. Nie mów mi nigdy o tych niewiniątkach z minką dziewic niepokalanych. To prawdziwa zaraza. Sabina tylko jeden błąd w życiu popełniła, że nie oddała mi na wychowanie tego zwierzątka. Teraz nie byłaby tem, czém się stała...

Panna Ydoina nakazała milczenie swęj młodszęj siostrze.

— Nie unos się tak, moja kochanko. Najprzód, czy jesteś tego pewną coś mi powiedziała?

— Do kaduka przecież nie jestem ślepą.

— Jakób, czy wie o tém?

— Czy wie? Sama przecież zauważyłaś, jak się zmienił. Ani je, ani pije.

— A jak sądzisz, czy Flora zdaje sobie sprawę ze złęgo, jakie wyrządza, słuchając grzeczności obcego człowieka. Czy wie przedewszystkiem, jakie były zamiary, gdy ją sprowadzono do Rullière? Niepodobieństwem, aby nigdy nie słyszała o niedoszłem małżeństwie Sabiny, i nie wiedziała, że ona jest narzeczoną pana de Bargemont. Sabina dumna i zamknięta w sobie, zapewne nie jęj nie powiedziała, szczególnięj gdy postrzegła pierwszeństwo, jakie Flora okazuje temu nowemu przybyszowi. Oh! lepiej ja znam Sabinę, niż ty.

Panna Ydoina umilkła, aby się namyslić.

— Wiesz ty, Florymundu, co jabym zrobiła będąc na twojem miejscu? Bo tu idzie głównie o szczęście naszego dziecka. Ponieważ Flora nigdy nie miała matki, więc do ciebie należy, jako matki chrzestnej, abys jęj rad udzieliła. Powiadam ci, że ty mylny masz sąd o tem dziewczęciu: wierz mi ona ma dobre serce. Jestem przekonana, że dosyć będzie, gdy jęj powiesz, jak czyni nieszczęśliwą Sabinę i Jakóba, aby ją uleczyć z zaślepienia dla tego



przybysza, gdyż to nie innego nie jest tylko kaprys czy fantazyja wyuczalcowanej dziewczyny. Nie może na seryo przekładać tego nieznanego, który ma minę awanturnika, nad naszego Jakóba, tak zaenego, tak dobrego. Idź do niej wprost i przemów po macierzyńsku, łagodnie lecz stanowczo. Wierz mi, to będzie sposób najlepszy.

— Pójdę. Masz słusność. Dzisiaj jeszcze pójdę.

— Nie, kochana moja, zaczekasz aż zrobię konfitury. Dobiorę szczególniej dwa słoiki, i te zaniesiesz jutro Florze ode mnie. Będzie to sposób najnaturalniejszy, który upozoruje twoje odwiedziny i poda ci sposobność rozmówienia się z nią. Będzie to może trochę zawcześnie, aby je (konfitury) zamykać, ale czas nagli. A jeśli te dwa słoje skwaśnieją, to niewielkie będzie nieszczęście, a biedny Jakób i Sabina!... Florymundo, to byłaby rzecz straszna, i spodziewam, że ty się mylisz.

Wskutek tej rozmowy, nazajutrz, o godzinie najwłaściwszej panna Florymunda wsiadła do karyolki, w której zwykle na targ jeździła. Wolałaby udać się pieszo, ale dla wielu powodów musiała się zrzec tej przyjemności. Najprzód upał był ogromny, powtórze ze słoikami z konfiturami trzeba się było obchodzić ostrożnie, wreszcie, i to rzecz najgłówniejsza, przywdziała suknię swęj płci właściwą, aby była poważniejszą i lepiej się jęj powiodło posłanictwo, które spełnić miała. Jakoś było jęj niewygodnie w tej długiej spodnicy; która jęj nie pozwalała dużych kroków stawiać. Jęj ruchy męzkie i jęj włosy krótko ostrzyżone czyniły ją zupełnie podobną do męczyzny za kobietę przebranego.

Na dziedzińcu zamkowym wyskoczyła ze swojego wehikułu, zaplątawszy nogi w fałdach swęj sukni; była zmęczoną, czerwoną od upału, i zakłopotaną swojemi słoikami, które nieść musiała. Pana de la Rullière nie było w domu, gdyż zanocował w Saint-Romuald, dokąd bardzo rano miał przybyć Roger. Nikt nie wiedział, gdzie jest Sabina; widziano ją tylko, jak o świcie wychodziła z domu.

W samęj rzeczy Sabina wyszła, ponieważ nie należała do tego rodzaju kobiet, co mogą się zamknąć ze swoją boleścią, która im przegryza wnętrzości. Kiedy się opamiętała po doznanych ciosie wczorajszego wieczora, otrząsnęła się z pewnym gniewem z tej odrętwiałości, w którą popadła, i nie szukając spoczynku niemożliwego, wyszła z odkrytą głową, szła prosto przed siebie, nie troszcząc się dokąd idzie, szła, aby użyć ruchu i znużyć się. I szła tak długo, aż pokaleczone nogi odmówiły jęj posłuszeń-

Dodatek Tyg. Pow. Nr. 43. („Kłamstwo Sabiny.“ Ark. 14).

stwa. Wtedy dopiero pomyślała o powrocie do Rullière. Lecz słońce było już wysoko. Była-to właśnie godzina, w której panna Florymunda dostała się do swój córki chrzestnej, trzymając w ręku słoiki z konfiturami.

Flora jak trup była blada. Sine obwódki okrażały jej oczy, zapewne od długiego płaczu. Probowała uśmiechnąć się swój matce chrzestnej i podziękować jej za podarunek: nerwowe drżenie zatrzymało uśmiech na ustach.

— Dziś tak gorąco! — jękała się, czując, że jej bladość potrzebuje wytłómaczenia. — Wejdz pani, jestem sama.

— Tem lepiej — odrzekła śmiało pana Florymunda.

Prawdę mówiąc poselstwo, którego się podjęła, było jej nie-nawistne, i gdyby tu nie szło o szczęście Jakóba, uciekłaby co żywo. Usiadła, ciężko oddychając. Zakłopotanie bardziej niż upał, zrosiło kroplami potu jej czoło; energicznie wywijała niby wachlarzem jakimś dziennikiem, który jej nasunął się pod rękę.

— Będzie pani mniej gorąco, jeśli zdejmiesz kapelusz — rzekła Flora, aby coś powiedzieć...

Panna Florymunda probowała odwiązać wstążki przytrzymujące na jej głowie ciekawe rusztowanie złożone z piór i kwiatów, arcydzieło modniarki z Saint-Romuald, lecz nie mogła trafić do końca, im bardziej szarpała tém mocniej węzeł się zaciskał.

— Pozwól pani, że ci pomogę — rzekła Flora...

Panna Florymunda dość niezgrabnie wyciągnęła szyję, nadstawiając podbródek swój córce chrzestnej, której drżące palce rozplątywały buntowniczy węzeł.

Naraz panna Florymunda schwyciła jej rękę i odsuwając ją od siebie, aby lepiej zobaczyć, ponieważ zblizka dobrze nie widziała:

— A to co? — zawołała. — Co to za pierścionek masz na palcu?

— To pierścień Sabiny, czy pani go nie poznajesz? Ona go zawsze nosiła.

— Czy go poznaję! A to mi dobre! Czy ona ci go dała?

— Tak — odrzekła Flora, nie domysłając się przyczyny tego zdziwienia.

— A... moja mała, radzę ci, abys bardzo jej za niego podziękowała. Dała ci swój pierścionek zaręczynowy. A wybrała do tego szczególniejszą chwilę, gdy powrócił jej narzeczony.

— Sabina... jój narzeczony... — jąkała biedaczka, zaczynając pojmwować, jak straszne odkrycie jój zrobiono.

— Tak, tak! jój narzeczony, p. Bargemont! — zawołała donośnym głosem panna Florymunda.

— A widząc, że jój córka chrzestna stoi nieruchoma, blada i zimna jak posąg, ulitowała się nad nią.

— Toś ty o niczem nie wiedziała — rzekła łagodnie. — Sabina lepijby uczyniła, gdyby ci to powiedziała, skoro p. de Bargemont nie był tyle szlachetny, i tego nie uczynił.

Pannie Florymundzie wydarzało się nieraz podczas jój wypraw myśliwskich, że widziała konającą sarnę. Pomimo udanego stoicyzmu, serce jój kobiece nie mogło się oprzeć smutnemu wejrzeniu tych pięknych oczu zamierających. Takiego samego wrażenia doznała w tój chwili. W obec tój nieměj boleści pragnęła uciec jak najprędzej. Skorzystała z jakiegoś pozoru, szybko się podniosła, a zapomniawszy o swojej karyolce, uniosła swą długą spodnicę i z całym sił biedz zaczęła, jakby uciekała z domu, w którym kogoś zabiła.

---

## XV.

— A więc myślisz pan nas opuścić — mówił pan de la Ruliere do Rogera, gdy konie zmęczone upałem, a jeszcze więcj olepiane muchami i kurzem, wlokły się stępo przez lasek należący do majątku des Allais. — Wszak to nie jest rzecz stanowcza.

— Nie stanowcza.

— Tém lepij. Spodziewam się, że pan zmienisz swój zamiar. Przykroby mi było, gdybyś pan teraz odjechał. Roboty już daleko posunięto; ściśle biorąc, można je skończyć według planów pańskich, ale to zawsze co innego, nie można ze wszystkiem polegać na niższych. A zresztą wojna... sława... wszystko to są bardzo piękne rzeczy, ale nie przynoszą pieniędzy, a z wojny nie zawsze się wraca. — I rozśmiał się głośno, jakby coś dowcipnego powiedział. — Wierz mi pan, iż lepijbyś zrobił, zostając w tój okolicy i tu osiedlając się. A właśnie jest do sprzedania po dru-

gięj stronie des Allais własność z zamkiem, parkiem, bieżącą wodą, polowaniem, zupełnie, jakby dla pana, zwłaszcza też w dzisiejszych czasach, korzystaj więc ze sposobności, która nie prędko się zdarzy, i...

— Nie mam zamiaru osiedlania się na wsi — rzekł chłodno Roger.

Panu de la Rullière zbrakło cierpliwości.

— Ależ kochany panie, pozwól, że będę mówił otwarcie, jak jest moim zwyczajem. Nie należymy do ludzi, którzy przybywają dla zabawy. Przyjeżdżając tu miałeś pan jakiś interes, tymczasem miesiąc upływa, a ja nie mogę domyśleć się jaki. Zapewne nie dla przyjemności rozmawiania ze mną, ani też, jak przypuszczam, dla wpatrywania się plotonicznego w piękne oczy Sabiny, która już nie jest ani młodą, ani piękną, biedna dziewczyna. A więc, jeśli nie będziesz uważał mnie za niedyskretnego, to proszę, chciej mi powiedzieć, jaki jest powód i skutek twoich odwiedzin. Jeśli pan nie masz ani zamiaru zamieszkania na wsi, ani też połączenia się z Sabiną, to przyznam się panu szczerze, iż pomimo całej przyjemności, jaką miałem powierzając panu kierunek moich robót, wołałbym, żebyś wcale nie przyjeżdżał. Sabina zmieniła się widocznie od czasu przybycia pańskiego. Nie ma co mówić, zmieniła się bardzo; nie masz wprawdzie błędu w jej rachunkach, ale to już nie ta sama głowa. Dla mnie taki stan rzeczy wcale nie na rękę. Obchodzę się bez rządcy, aby jej sprawić przyjemność; ale cóż u diabła, interesa muszą iść porządnie. Nie ma co i mówić. W zwykłym czasie Sabina jest kobietą wartą tyle złota, ile sama zaważy, oddaję jej sprawiedliwość. Winienem panu powiedzieć także, iż jeśli pójdzie za męża będę mógł zdwoić jej posag. Winienem to jej; robiła mi wyborne interesa, słuszną więc rzeczą, aby z nich korzystała. Ale stan obecny długo trwać nie może. Widzę dobrze, co nastąpi. Przybyłeś pan z zamiarem poślubienia jej, jako człowiek honorowy. Przyznaj się pan,

— To prawda — odrzekł Roger.

— A potem gdy ją zobaczyłeś... spodziewałeś się znaleźć dziewczynę piękną, białą i rumianą, świeżą i ponętą, taką, jaką opuściłeś. No, ale trochę otwartości. Zastałeś pan ją bardzo zmienioną. Wszak prawda?

— W istocie tak, przyznaję się — zawołał Roger, który nie wierzył w przypadek, lecz w wystąpieniu pana de la Rullière widział prawdziwe zrzędzenie losu, które mu dawało sposobność

wyjścia ze swojego rozpaczliwego stanu. — Tak, znalazłem ją bardzo zmienioną, ale nie co do powierzchowności, dzięki Bogu, nie należę do ludzi, co się odwracają od kobiety, gdy przez lat dziesięć czekała na swojego narzeczonego, gdy łzy przyćmiły blask jej oczu, a tęsknota ubieliła włosy; serce jej znalazłem zmienione. Na pierwszy rzut oka, po lodowatym przyjęciu, jakiego doznałem, pojąłem, że już niczem jestem dla niej, że powrót mój był dla niej przykrością, raczej wyrzutem, i gdy ja jak najściślej dochowałem wierności, którą mi nakazała, ona poświęcając moją sprawę, nie umiała dochować mi swojego serca.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie, kochany panie, nie unos się tylko. A najprzód jeśli zaczniemy mówić o uczuciach, to ja nie, a nie na nich się nie znam. O interes mi idzie, i na tym znam się wybornie. A więc powiadasz pan, że Sabina... wyrażając się słowy pańskiemu..., nie zachowała ci swojego serca. A cóż sądzisz z tém sercem zrobiła?

— Oddała je komu innemu.

— A komuż naprzykład?

— Jedynemu człowiekowi, z którym zostajecie państwo w zażyłości, panu des Allais.

Pan de la Rullière wzruszył ramionami z niecierpliwości.

— Aha, to tak — widać, żeś pan nie rozmawiał z Sabina od czasu jak się tu znajdujesz, że tak mało wiesz o naszych projektach i sprawach familijnych.

— Nigdy. Naprózno starałem się o rozmowę sam na sam. Lecz to umyślne unikanie mnie, tém mocniej utwierdziło mię w podejrzeniu, jakie powziąłem.

— Bo też Sabina nie jest kobietą jak wszystkie inne. Nie lubię gadatliwych kobiet, lecz ona trochę zadaleko posuwa swoją wstrzeźliwość. Więc pan nie wiesz o naszym projekcie połączenia przez małżeństwo gruntów des Allais z majątnością de la Rullière? Moim wyłącznie pomysłem było najprzód wydanie Sabiny za Jakóba. A trzeba było widzieć wtedy, jak ona mnie traktowała. To obraza, zniewaga i cały słownik niewieści, którego wcale niechętnie używa. Aby mnie uspokoić, ona sama ułożyła projekt, aby małą sprowadzić z klasztoru i poswatać ją z Jakóbem. Dotąd jakoś wszystko idzie bardzo pomału. Jakób mówiąc między nami, poczciwy chłopak, ale niedołęga, wyborny na zięcia.

P. de la Rullière mocno zakaszłał, przypominając sobie

poniewczasie, że mówi do człowieka, który także stać się może jego zięciem. Aby tego baka naprawić, mówił dalej:

— Prawda, że mała nie jest taką jak Sabina, kobietą z głową, ona nie umiałaby sobie radzić z człowiekiem wyższym, takim jak pan. Sabina, to co innego. Jestem przekonany, że gdyby nawet nie uważała się prawie jak mężatka, to jeszcze innym okiem, jak dotąd nie patrzyłaby na Jakóba. Nie, nie, to nie małżonek, jakiego potrzeba Sabinie. I mogę pana upewnić, że nawet nie pomyślała o swoim sąsiedzie. A zresztą, jeśli panu o to idzie, mogę jęj zapytać. Sabina jest dziewczyna dumna. Zapewne, nie chciała mieć miny, że się panu rzuca na głowę, ujrawszy cię, wcale nie nalegała o wyjaśnienie, ale ja mogę panu zaręczyć, że nie przestała ani na chwilę uważać się za narzeczoną pana, nie przestała kochać i czekać na pana.

— I jesteś pan tego pewny? — zapytał Roger.

— Najzupełniej.

— To dobrze. Dziękuję.

Teraz Roger wiedział, co miał czynić. Dłużej wątpić nie było podobna, wahanie było niemożliwe. Sama Flora wskazała mu drogę postępowania. Nie wyrzekł już ani słowa aż do chwili gdy na dziedzińcu zamku de la Rullière pozsiadali z koni.

Sabina właśnie wróciła z wycieczki po polach, znużona, kurzem okryta, z włosami nie w porządku, lecz sztywna, pani siebie, dumnie nakazująca milczenie swęj boleści, niepozwalająca, aby ta nad nią górę brać miała. Pierwszą osobą, którą spotkała była Flora, blada, jak widmo, przykuta do miejsca, w którym ją zostawiła Florymunda. Sabina szła prosto do siebie, lecz nagle zatrzymała się. Flora z trudnością podniosła się, wsparłszy się o ścianę, patrzyła na nią wzrokiem obłąkanym, strwożonym. To nie dwie siostry spotykały się, ale dwie rywalki, dwie kobiety kochające jednego i tego samego mężczyznę; każda z nich jest przeszkodą do szczęścia drugieję; jedna uwielbiana druga śmiertelnie obrażona; obiedwie strasznie cierpiące; spoglądające na siebie po raz pierwszy przy świetle nowego położenia swego; obiedwie przerażone swoją zmianą. Omylona dziką energią spojrzenia Saby, srogim wyrazem jęj twarzy, która w walce z rozpaczą stała się nieruchomą, jak postać wykuta z kamienia, Flora sądziła że ona do nieję przychodzi z wyrzutami i groźbą na ustach. Spoglądała na nią z podejrzliwą trwogą, mimowolnie cofała się przed nią zdjęta strachem.

Sabina nic nie wiedziała o odwiedzinach panny Florymundy,

lecz za jednym rzutem oka poznała, że dziewczyna zna imię swjej rywalki. Zatrzymała się, wahając; oskarżała Jakóba, że mówił, pomimo jej zakazu, zraniona boleśnie, że na pobludłej twarzy Flory czyta tylko przestrach bez żadnego głębszego uczucia. Była-to straszna chwila dla obudwóch sióstr, które się nigdy nie rozumiały. Sabina zawsze lekceważyła sobie uczucia Flory, uważając je za zbyt powierzchowne, aby mogły być głębokie. Flora nigdy nie umiała odgadnąć szczerzego przywiązania, które się ukrywało pod zimną powściągliwością siostry.

W tej chwili zwłaszcza Flora zupełnie nie poznała się na Sabinie. Uważała ją zdolną do nienawiści, a zgnębiona i podbita sztywnością swjej siostry, czuła, że omdlewa ze strachu. Gdyby mogła czytać w sercu Sabiny, widziałaby tylko niezmierną litość, współczucie i wdzięczność za te szlachetne słowa, którei Flora broniła dawnych praw narzeczonej Rogera. Chciała ująć Florę w swoje ramiona, jak to uczyniła w owej smutnej, uroczystej chwili, gdy umierająca matka powierzyła jej nowo-narodzoną siostrzyczkę. Sabina była wzruszoną, rozrzewnioną tem wspomnieniem, które w tej chwili duszę jej ogarnęło. Dlaczego? Ponieważ obłąkany wzrok Flory przypominał jej bolesne spojrzenie matki konającej. Jeden krok, poruszenie jedno, słowo jedno byłoby dostatecznem, aby te serca zbliżyć do siebie i rozplomienić jednym uczuciem. Na to jedno słowo Sabina zdobyć się nie mogła. Buntownicza jej natura przeciw wszelkim okazom czułości była silniejszą od jej woli. Zwolna się odwróciła cierpiąc okropnie, lecz była zimniejszą i obojętniejszą, niż kiedykolwiek. Znalazła się oko w oko z Rogerem, który wszedł. Podał jej rękę nie patrząc na Florę i rzekł głosem złamanym:

— Przeszedłem pożegnać się z panią. Wieczorem odjeżdżam na wojnę.

Dał się słyszeć szmer głuchy, jęk stłumiony. Sabina rzuciła się ku swjej młodszej siostrze, która padła na podłogę, jak ciało bezwładne.

## XVI.

Duża kolasa państwa des Allais toczyła się drogą wiodącą z zamku do kościoła. Na koźle siedział woźnica brodaty jak saper, mając przy sobie folwarcznego chłopca, wyniesionego do godności lokaja i przybranego w liberyę trochę za przestronną dla niego. Była to niedzielna parada z jaką udawano się na mszę. W kolasie panna Ydoina, ubrana w suknię adamaszkową w duże kwiaty, szal biały z krepy chińskiej i kapelusz z piórami, trzymała troskliwie w rękach obciśniętych w czarne jedwabne rękawiczki, ogromną książkę do nabożeństwa drogocenny spadek rodzinny, którego by jój pozazdrościło niejedno muzeum. Ale nigdy jój nie używała przez szacunek dla téj drogiej relikwii z czasów minionych. Miała w kieszeni mniejszą własną książeczkę do nabożeństwa, dobrze już podniszczoną, z pozawijanemi rogami, ale nie ustąpiłaby jój nikomu za wszystkie skarby świata. Nie omieszkała każdej niedzieli brać z sobą familijnego mszalnika. Należało to do tradycyi. Po niej żona Jakóba będzie tak samo czyniła.

Panna Florymunda, zachmurzona, z miną zakłopotaną, ponieważ na sobie miała ubranie kobiece, siedziała obok siostry; naprzeciw niej Jakób również nie w humorze, ponieważ go więził czarny tużurek; jego cylinder wysoki i rękawiczki szare czyniły go jakby nie swoim; dotąd jeszcze ust nie otworzył. I gdyby nie ciągnęła paplanina panny Ydoiny, jakby mechaniczna, podobna do tykotania zegaru dającego się zawsze słyszeć tak podczas radości i smutku w rodzinie... cała ta jazda byłaby zupełnie milczącą. Od czasu do czasu panna Florymunda rzucała ukradkowe spojrzenie na swojego bratanka, a potem głową potrząsała, jakby chciała powiedzieć: To tak długo trwać nie może.

Jakób po raz pierwszy w życiu zostawał w jawnej opozycyi ze swojemi ciotkami. Sytuacja była tak wyciągnięta, iż lada drobnotka mogła ją zerwać. Uszanowanie, zwykłe posłuszeństwo nie dozwalały tylko temu staremu dziecku, aby wolę swoją utrzymał. Jakób poczuł, że się stał mężczyzną. Po rozpacy, która go ogarnęła, gdy widział Florę na zawsze dla niego straconą, nastąpiło głębokie zniechęcenie do życia, które dotąd prowadził, a które po raz pierwszy wydało mu się próżne, bezpożyteczne, niegodne człowieka i szlacheica. I kiedy się tak miotał pomiędzy swoim



smutkiem i zniechęceniem, zapytując się, coby mu począć należało, aby pokonać jedno i drugie, wyczytał w starym dzienniku wiadomość, że wojna przed tygodniem wypowiedziana została. Prawie w tym samym czasie jedna z tych wieści, która na prowincyi prędzej dochodzi sąsiadów, niż zmiany rządu, dobiegła do des Allais, głosząc że pan de Bargemont udał się na wojnę, pozostawiając pannę Florę rozchorowaną, ma gorączkę, na którą lekarze nie mają lekarstwa. Pogłoski i komentarze rozchodziły się w najlepsze, szczególnież też przez nieżyczliwe usta dwóch starych pannień, które nie mogły darować zburzonego szczęścia swojego ukochanego dziecka.

Podwójna ta wiadomość była dla Jakóba błyskawicą, przy połysku której poznał co mu uczynić wypada. Krew przodków zawrzała w jego żyłach; wspomnienie o bohaterach, któremi zajęta była jego wyobraźnia przesunęło się jak świetne widzenie pomiędzy przyszłością, a nim.

— Dlaczegoż i ja nie miałbym wyjechać? — pytał sam siebie. Nie pomyślał przecież, iż byłby środek, któryby go odciągnął od nieszczęśliwej miłości. Nie pragnął tego, owszem postanowił unieść ją z sobą, nawet do grobu, lecz powiedział sobie, że byłoby to szlachetne zajęcie, któreby cel nadawało jego życiu. Przewidywał możliwość, że legnie na polu walki, padnie bez życia z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Mysl ta nie przerażała łagodnego poety, który dotąd marzył tylko o bohaterstwie przy krzaku róży polnej, pod srebrzystym cieniem topoli, słuchając pieszczotliwego szmeru strumyka. Udał się do ciotki Ydoiny, jako głowy rodziny, i bojaźliwie z uszanowaniem:

— Proszę cię o pozwolenie wyruszenia na wojnę — rzekł.

Prawdopodobnie panna des Allais przewidziała to, bo nie oburzyła się wcale ze zdziwienia.

— Mój kochany chłopcze, w innych czasach pozwoliłabym ci w imieniu mojego i twojego ojca, którego władzę przedstawiam, ale teraz to niemożliwe. Jeden z des Allais nie może bić się pod rozkazami uzurpatora, nie może postępować pod sztandarami trójkolorowemi. Gdy żałująca Francya wezwie swego prawowitego monarchę, wyjedziesz.

— Francya jest zagrożoną, potrzebuje obrońców. Czy nie sądzisz, że przeznaczeniem jednego z des Allais jest zająć miejsce pomiędzy ich szeregami? — pozwolił sobie wyrzec Jakób.

— Jesteś wolnym, mój przyjacielu, uczynisz, co zechcesz, lecz ja nie mogę upoważnić cię, ani pobłogosławić, gdy wyjedziesz.

I Jakób nie wyjechał. Gdy panna Florymunda dowiedziała się o postępkach swojej siostry, nie potwierdziła go wcale. Myśl, że może ujrzeć Jakóba, jak się odznaczy, i powróci okryty sławą, pociągała ją, uważając, że siostra za daleko posuwała wierność dziedziczną, ale u niej posłuszeństwo było silniejszym od przekonania. Umilkła tak samo, jak Jakób umilkł.

Owój niedzieli Jakób był jeszcze bardziej milczącym, gdyż wiadomości o klęskach armii francuskiej przybywały jedne po drugich, a coraz straszniejsze, przynębiające i bezlitosne jak grady, co wniwecz obracają najpiękniejsze nadzieje pomyślnego żniwa. Było to w pierwszych dniach Września. Wyszedłszy z kościoła, Jakób zatrzymał się przy grupie wieśniaków ponurych i przerażonych; rozprawiali po cichu. Przy drzwiach kościoła, na murze, gdzie mieściły się zapowiedzi i rozkazy pana mera przylepiono nowy buletyn. Nosił datę czwartego Września z Sedanu. Jakób odczytał go, wsiadł do powozu i nie wyrzekł ani słowa, aż do chwili, gdy się znalazł w budoarze ciotki Ydoiny.

— Czy mogę wyjechać? — zapytał starój panny, która jak liść drżała.

Odpowiedziała bez wahania:

— Teraz to twój obowiązek.

Panna Florymunda podała rękę Jakóbowi i uściśniła jego dłoń, jakby na znak upoważniający. Nie proszono jej o zezwolenie, lecz ona je z własnej woli dawała. Przygotowania do wyjazdu zajęły resztę dnia. Dwie starszki siostry nie śmiały spojrzeć na siebie z obawy, aby się łzami nie zalały, zajmowały się więc tysiącami drobiazgami materyalnemi. Wreszcie trzeba było zamknąć walizę Jakóba, do której panna Ydoina skrycie wsunęła butelkę wody melisowej i pudełko pastylek pectoralnych jej roboty; trzeba było zasiąść przy tym stole rodzinnym, z którego nietknięte półmiski odnosił stary sługa o siwych włosach, który Jakóbowi robił niegdyś szabelki drewniane, a teraz chciał z nim wyruszyć. Trzeba było teraz po raz ostatni zebrać się w pokoiku panny Ydoiny, gdzie upłynęło tyle godzin spokoju i szczęścia.

Była-to chwila uroczysta. Panna Ydoina pobladła ze wzruszenia, nie miała nic do powiedzenia. Jakób nie chcąc się rozplakać, przyspieszał wyjazd. Ukląkł przed swemi starymi ciotkami, jak to czynił w dzieciennym wieku; gdy przed niemi mówił modlitwę, i pochylił głowę otrzymując błogosławieństwo, które wyszeptala panna Ydoina. Zawiesiła mu na szyję relikwie zamknięte w złotym medalionie, kosztowność drogocenna przechowująca się

w rodzinie od czasów niepamiętnych, a która miała, jak utrzymywano, zabezpieczać od wszelkiego niebezpieczeństwa, albo spocząć na zawsze wraz z ostatnim potomkiem rodu. Ani jednej łzy nie uroniono, ponieważ dzielne serca były w piersi tych starych panien dziecinnych i śmiesznych, lecz mocno przejętych świętą tradycją wiary i rodu. Wszak rozstawały się ze swoim życiem, radością i jedyną swoją pieczęcią. Nie myślały zatrzymywać go ani na chwilę. Tylko jak ujrzały, że im zniknął z oczu, przy zakręceniu drogi, przesyłając im ostatnie pożegnanie, padły sobie w ramiona i głośnym wybuchły płaczem. Jakóba już nie było, nie lękały się więc zwiększać jego boleści, nie widział ich płaczących.

Jakób wyruszył pieszo. Jego szczupły tłomoczek wyprawiono naprzód, gdzie miał go czekać na stacyi. Powiedział swoim ciotkom, że woli iść piechotą, ale nie powiedział im całej prawdy. Gdy doszedł do lasku i stanął na jego wzgórzu, nagle zmienił drogę i skierował się ku zamkowi de la Rullière.

Słońce jak krew czerwone zwolna zachodziło za wzgórze fioletowe, zostawiając za sobą blade błękit i długie strugi złota; delikatne wyziewy jesieni zaczęły się unosić w powietrzu, babie lato obejmowało ramiona sosny; kuropatwy i drozdy uciekały pod krzaki jałowcowe lub dzikie śliwy. Winogrona osłonięte purpurą dojrzewały ostatecznie.

— Już ja tego roku nie będę odbywał winobrania — pomyślał Jakób. — Biedne ciotki? jakże zostały samotne!

Wstrząsnął swoją jasno-blond czupryną, jakby chciał odpedzić od siebie myśl, przed którą bladła jego odwaga. Aby zwyciężyć tę słabość usiłował sobie przypomnieć swoich bohaterów z zeszłego wieku i tych, w towarzystwie których tyle razy przebiegał te same ścieżki. Wszystkie rycerskie przygody, które niegdyś zajmowały jego wyobraźnię teraz mógł urzeczywistnić, mógł naśladować bohaterstwo walecznych mężów, nieustraszoną odwagę paladynów. Czyliż nie ma na swoich piersiach relikwii po przodku swoim Jakóbie, tym, co na czele garstki walecznych odparł i rozproszył całą armię Saracenów? Pozyska chwałę jak on i powróci...

Nagle się zatrzymał, a potem wyciągając ramiona, jak dziecko, które się potknęło o kamień, padł na mech ścieżki i ze łkaniem zawołał:

— O mój Boże, mój Boże! Jeśli powrócę, to będę jeszcze nieszczęśliwszym, ponieważ ona nigdy mnie kochać nie będzie.

A gdy się uspokoił, nim w dalszą puścił się drogę, odwrócił się po raz ostatni i długo wpatrywał się w zamek, gdzie mu życie

tak spokojnie spłynęło, i oddalił się, postanowiwszy nigdy nie wracać do niego. Było-to wieczne pożegnanie, takie same jakie wypowie téj, która była pierwszą i pozostanie ostatnią jego miłością.

Flora była sama gdy stanął przed nią. Widziała śmierć bardzo blisko i zachowała wątłą postać istoty, która się waha przywiązać do życia. Dusza jej zdawała się ulatywać pomiędzy lepszym światem, do którego o mało się nie dostała, a tem przezroczysem ciałem, które trawiła powolna gorączka. Wszak powiedziała Rogerowi, iż nie czuje dosyć sił, aby mogła znieść ciężar wielkiej boleści.

Gdy Jakób, co jej nie widział od czasu choroby, postrzegł ją, spoczywającą na dużym fotelu i otoczoną poduszkami, nie mógł powściągnąć strasznego okrzyku, ukląkł przed nią i delikatnie ujął za ręką.

— Ileżes wycierpiał! — wyszeptał.

Ona długo wpatrywała się w niego z litością i rozrzewnieniem. Jego oczy były zaczerwienione, ślad w nich pozostał łez wylanych w lasku.

— A ty mój biedny przyjacielu? — rzekła.

— Mniejsza o mnie! — rzekł zniechęcony. — Wszystko minęło. Przyszedłem, aby cię pożegnać, Floro, wyjeżdżam.

Zadrżała.

— Ty także! — zawołała.

— Ja także! — powtórzył Jakób tym samym tonem i dodał ciszej:

— Lecz ja nie zabieram twojego serca i twojego życia...

— Ah... to wiesz... — szeptała. — A zresztą nie chciałam mieć skrytości przed tobą. Owszem sądziłam, że ci to sprawi mniej przykrości, gdy dowiadywać się będziesz zwolna o tajemnicy mojego serca, w miarę jak ja sama odkrywać ją będę. Oh! czemuż nie mogłam cię kochać, Jakóbie? Poprzestałabym na szczerem uczuciu, na przyjaźni głębokiej, którą miałam dla ciebie. To może twoja wina, że na tem nie poprzestała. Dałeś mi ujrzyć coś prawie nadludzkiego, niezemskiego, wzniosłego, czego nie doświadczałam. A gdy ten płomień zapalił się, spłonęłam przy nim. Widzisz Jakóbie, mówię do ciebie, jak do brata. Mogłeś jednak mnie ocalić, gdybyś był zechciał. Dlaczego mi nie powiedziałeś zaraz z początku, że Sabina...

Zawahala się wymówić imię Rogera.

— I pan de Bargemont byli narzeczonymi...

— Dlaczego? — powtórzył Jakób — ponieważ Sabina mi zakazała.

— Ona? a z jakiego powodu?

— Z najszlachetniejszego, z najbardziej bezinteresownego; z przywiązania do ciebie, pragnęła zapewnić ci szczęście, poświęcając się sama.

— Niestety Jakóbie musisz się mylić. Ona miała zapewne inny powód. Mógłby wierzyć w jej uczucia, których mi nigdy nie wyraziła? Byłam zawsze dla niej ciężarem, kłopotem aż do dnia, w którym mimowolnie stałam się przekleństwem. Sabina mnie nienawidzi, to rzecz naturalna, skradłam jej szczęście, oh! szczęście od którego umieram... Ale mniejsza o to, mnie to wystarcza. Nie zamieniłabym całego długiego życia bez miłości za jedną z tych godzin...

Powstrzymała się nagle.

— Ah! jestem okrutną mówiąc w ten sposób do ciebie. I wyjeżdżasz Jakóbie? Biedne twoje ciotki.

— Nie odejmuj mi odwagi — zawołał wśród łkania. — Przeciwnie przyszedłem do ciebie Floro, abys mi jej dodała. Idę spojrzeć śmiało ci oko w oko. Nie mogłem odjechać nie widząc się z tobą. Chciałem cię tylko ostatni raz pożegnać. Chciałem ci szczególniej powtórzyć, że nigdy nie kochał i nigdy kochać nie będę prócz ciebie. Oh! nie lękaj się, niczego się nie spodziewam i niczego nie żądam. Wiesz dobrze, iż wszystko się dla mnie skończyło. Lecz dałaś mi szczęście, droga przyjaciółko, urzeczywistniając mój ideał wymarzony i za to chciałem ci podziękować. Ponieważ nie chciałaś przyjąć mojego nazwiska, i zająć miejsce u mojego rodzinnego ogniska, o którym marzyłem, że je kiedyś przyjmiesz, więc nikt nie zastąpi twojego miejsca. Poprzysiągłem, że będę ostatnim z rodu. Jeśli nie powrócę... to będzie najlepszy koniec. Jeśli mnie śmierć oszczędzi... w takim razie poradzisz mi i pomożesz uczynić życie pożytecznem. Żegnaj cię Floro, módl się za mnie.

Flora płakała, on wyszedł, nie powiedziawszy nic więcej.

Gdy Sabina skończyła owo straszne wieczorne czytanie, prawdziwą mękę, od którego żaden jeszcze wypadek nie mógł jej zwolnić, udała się jak zwykle do Flory, aby się dowiedzieć, czy nie potrzebuje czego, i zamienić z nią formułę życzenia dobrej nocy, formułę niezmienną, której zimne pospolite słowa o rozpacz przyparowały biedną dziewczynę.

Flora płakała. Sabina się odwróciła, udając, że nie postrzega

jój łez. Serce się jój krwawiło, widząc że bezustanna boleść zabiła jój dziecko ukochane, lecz oparła się wszelkiemu wzruszeniu, któreby mogło zerwać jój maskę lodową, za którą ukrywała rozpacz swoją.

Sabino — rzekła cicho Flora. — Jakób wyszedł ztąd przed chwilą. Przyszedł pożegnać się raz ostatni. Wyjeżdża na wojnę.

Sabina spojrzała na młodszą siostrę z obłąkaniem osoby, która nie rozumie, co do niej powiedziano. Jakób wyjechał. Jakób jedyny przyjaciel wierny, na którego się rachuje jak na wierność psa. Jakób, którego przez całe życie widziała przy sobie, do którego się przyzwyczaiła, jak do mebli, które ją otaczały. Jakób, którego dyskretna sympatya zwalniała ją od wszelkich zwierzeń, jedyna istota, która ją rozumiała, nie zadając pytań żadnych, która odgadywała znaczenie jój milczenia nawet. Jakób wyjechał!... Ależ to początek dezercyi, straszna samotność, na którą fatalizm skazywał resztę jój życia. Roger stracony dla niej, jój przyszłość zniweczona, jój przeszłość, jój wspomnienia sprofanowane... Flora umierająca...

— O Boże! mój Boże! — zawołała. I Sabina, która nigdy płakać nie mogła, wybuchła konwulsyjnym płaczem.

Wtedy promień radości i nadziei rozjaśnił bladą twarz Flo-ry. Sabina suchem okiem patrzyła na wyjazd Rogera, z głową podniesioną do góry; najmniejsza skarga z jój duszy się nie wyrwała. A oto wyjazd Jakóba wyciska jój łez potoki. Czyliż ona go nie kocha? Flora charakter wrażliwy i czuły nic znała wielkiej tajemnicy serca ludzkiego. Nie burza niesie śmierć roślinom ze swoim orszakami ulewnego deszczu i piorunów z błyskawicami. Gdy burza minie, ptaki śpiewają, motyle wstrząsają swoje skrzydła, róże rozkwitają na nowo; lecz gdy w milczeniu nocy mróz ścina swym okrutnym zębem, ostatnie kwiatki spóźnione, oko nie widziało, ucho nie słyszało a jednak śmierć dokonała swojego nielitościwego dzieła. Z rana pozostały tylko zczernione łodygi i połamane gałązki. Flora widziała przechodzącą burzę, widziała Sabinę płaczącą, tak jak ona płakała. Boleść, co się wyrażała, jak u niej, musiała być najgłębszą. I dziecinne jój serce nie przeczuwało tój posepnej rozpacz, która pożerała życie Sabiny, zwolna, cicho, jak lis pożerał zapewne wnętrzości chłopca Spartańskiego.

## XVII.

Jakób był bohaterem, nie jednym z owych, którzy niegdys olsniewali jego wyobraźnię, świetnych sławnych, dokonywających wielkich czynów w turniejach i na placu boju, rozwalających mury zapomocą swojej maczugi, albo pokonywających olbrzymów swoją tarczą złotą; lecz był jednym z tych bohaterów milczących, białych, źle obutych, źle odzianych, bez chleba, bez amunicyi, ze smutkiem i zwątpieniem w duszy, krok za krokiem cofających się przed nieprzyjacielem sto razy silniejszym od nich, którego mordercze strzały zdają się spadać z nieba. Przy każdym słupie przydrożnym, przy każdym zwrocie ścieżki pozostawiał on część swoich nadziei, ostatnie złudzenie. Jego ideły pokrwawione i pokaleczone opuszczają go jedne po drugich, tak jak ciernie krzaków pozabwiają wełny jagnięcia na rzeź idącego. A on właśnie szedł na śmierć. Tak sobie postanowił ostatecznie i nieodwołalnie. A śmierć czyniła sobie z niego igraszkę, oszczędzając mu życie, które tak zuchwale jej oddawał, a uderzając obok niego w te istoty, które tysiące węzłów łączyło z ziemią. Na prawo i lewo Jakób widział ze zdumieniem jak padali towarzysze jego bohaterstwa, i oczy jego napełniły się łzami. Czemuż nie mógł za cenę swojego bezpożytecznego życia okupić jednego z tych nieznanym mu, którzy pozostawiali matki, żony, sieroty! Gorące zasyłał modły do Boga, prosząc o śmierć, nie tak jak bezbożnik, który nikczemnie wzywa samobójstwa, co ma położyć kres jego cierpieniom, lecz jak męczennik, który pała żądzą użyźnienia krwią swoją szlachetnej sprawy, który zazdrosny jest o poświęcenie, uważając tę ziemię za ołtarz, na którym jego ciało oddane na ofiarę ma posłużyć za podnózek dla duszy, pragnącej w niebo ulecieć.

Pewnego pochmurnego dnia grudniowego, oddział, do którego należał, był zmuszony pod przewagą sił przemagających opuścić wioskę. Zimno było przejmujące, śnieg zmarzły, niestety krwią zbroczony. Broniono się po bohatersku; nieprzyjaciół zdobywać musiał każdy zapłotek, każdy dom oddzielnie. Jakób zamknięty w jednej z chat wiejskich wystrzelił ostatni swój nabój. Kule potrzaskały wszystkie szyby i poprzebijały cienkie ściany; towarzysze jego polegli jak kłosa burzą ścięte. On jeden trzymał się na nogach. Czy-to talizman jego przodka Jakóba, tak dzielnie go bronił!

Nie mu nie pozostawało innego, jak połączyć się w sąsiednim lesie z temi, których z jego półku śmierć oszczędziła.

Lecz gdy chciał przekroczyć próg chaty postrzegł, iż ma tylko jedno wyjście na główną ulicę zatłoczoną nieprzyjacielskiem żołnierstwem. Wyjść było to samo, co dostać się do niewoli. Jakób gotów był oddać życie, ale nie wolność swoją. Przypomniał sobie, że wchwili ataku, właściciel domu schronił się do piwnicy z tyłu domu położonej. „Pójdę do niego i poczekam aż się zciemni, i wtedy wyjdę“ — pomyślał Jakób. — Rzeczywiście znalazł wieśniaka drżącego z zimna i strachu. Jakób uspokoił go co do jego osobistego bezpieczeństwa, radził mu nawet aby wyszedł, żądając od niego za całą łaskę, aby mu pożyczył swojego ubrania, w którymby mógł się wymknąć. Gdy noc zapadła litościwy człowiek przyszedł i podzielił się z nim kawałkiem czarnego chleba. Przynosił straszne wieści, towarzyszące zwykle tragedji, i biegnące za wojną, jak stado kruków, które krążą koło trupa. Widział poległych ułożonych wzdłuż domów i szczątki rannych na dziedzińcu merostwa, gdzie pospiesznie urządzone ambulans. Kobiety wiejskie głodem przyciśnięte, drżące i pobladłe jak widma jakie powychodziły ze swojego ukrycia i szukały swych domów rozwalonych i półspustoszałych. Jeden nawet z domów wiejskich spalił sam jego właściciel.

— A to jakim sposobem? — zapytał Jakób nieco zaciekawiony, gdyż wieśniak był gadułą, a on już znużony słuchaniem tych samych opowiadań krwawych i odejmujących odwagę.

Była-to historia tyle razy powtórzona, człowieka zrozpaczonego swoją ruiną, i zaślepionego nienawiścią, sądząc słusznie czy niesłusznie, że honor jego został znieważony, a pragnąc żeby poszanowano matkę jego dzieci, podłożył ogień pod dom własny, zamknawszy wprzód wszystkie jego wyjścia. W jego domu mieszkało dwóch oficerów: występek ten wymagał przykładowej kary. W braku winowajcy, sześciu ludzi z wioski rozstrzelać miano. Winny sam się oddał bezzwłocznie. Z żalów, jakie wieśniak rozwodził, dowiedział się Jakób, że młoda wdowa i pięcioro sierot zostaną bez opieki, bez chleba, istne żebraki.

Jakób zamyslił się.

— Kiedy zostanie rozstrzelany? — zapytał.

— Jutro do dnia. Zamknięto go w kościele wraz z proboszczem. Nie ma obawy, aby uciekł, ponieważ sam się oddał. Zresztą przy drzwiach straż postawiono.

Jakób mileżał. Podziękował wieśniakowi, okrył się płaszczem



który dostał od niego, i znikł w ciemności. Ślady za nim zasypał śnieg padający dużemi płachtami.

W kościele, skazany z rozpaloną głową, z sercem przepelnionem żołącią, wyciągnął się na ławce, zamknął oczy, udając, że śpi, aby nie słyszeć słów tego księdza, który go ochrzcił i uczył religii i moralności, a teraz mówił mu o przebaczeniu, żalu, rezygnacyi, gdy on oddychał tylko krwią i zemstą. Ksiądz ukląkłszy na wilgotnej posadzce, pochylony ku ziemi ze starości, wsparłszy głowę o filar, zdrzemał się złamany tyłu wzruszeniami tego dnia straszego. Nagle skazany zerwał się na nogi, ktoś położył rękę na jego ramieniu. Nieznajomy nakazując mu skinieniem milczenie, a był jak on młody, wysoki i blondyn, kazał mu się podnieść, pokazał drabinę wspartą o jedno z okien kościelnych.

— Wiesz lepiej ode mnie, że to okno wychodzi na ogród przy kruhcie — szepnął mu. — Zejdź, schowaj drabinę, i ukryj się.

Wieśniak ani się ruszył.

— Tak, a jeśli jutro mnie tu nie zastaną, sześciu moich towarzyszy będzie rozstrzelanych — rzekł głosem ponurym.

— Znajdą cię tu, bądź spokojnym — rzekł nieznajomy. — Daj mi swoje ubranie, a weź moje. Wszak było ciemno, gdy cię przyaresztowano?

— Jak-to! chciałbyś pan... — jękał się człowiek, zaczynając pojmować.

— Cicho! — rzekł nieznajomy, wskazując na księdza dremiącego.

Wraz ze świtem oddział żołnierzy przyszedł po skazanego. Poszedł za niemi z głową podniesioną do góry. Za nim postępował stary ksiądz drżący ze starości i wzruszenia. Schodząc po stopniach kamiennych o mało nie upadł.

— Wesprzyj się na mojem ramieniu, księżu proboszczu — rzekł skazany. — Nie miałem czasu jak ty oswiecić w służbie bożej.

Cmentarz był pusty, czarne krzyże nad grobami uwydatniały tylko niepokalaną białosć śniegu. Nikt ze wsi, nawet żaden z tych włóczęgów zwykłych, których zawsze pełno wszędzie, nie miał smutnej odwagi stanąć nad grobem jednego ze swoich braci. Nikt więc nie mógł zdradzić tego bohaterskiego podstępu. Trzeba było ofiary, ofiara się znalazła.

Kiedy orszak pogrzebowy stanął przy murze cmentarnym, Dodatek Tyg. Pow. Nr. 44. („Kłamstwo Sabiny“ Ark 16).

i gdy oficer ustawił w szeregu żołnierzy, skazany ukląkł przed księdzem.

— Synu mój — rzekł ten ostatni — powiedz mi, z jakiego powodu poświęcasz swoje życie, którego Bóg jeszcze nie zażądał od ciebie?

— Aby ocalić życie jednego z moich bliźnich i śmiercią moją okupić niepożyteczność mego bytu.

— Mój synu, przebacz nam.

— Z całego serca, jak pragnę, aby mi przebaczone.

Ksiądz wznosił rękę drżącą, i wyszeptał ostatnie błogosławieństwo.

Skazany podniósł się, odsłonił piersi, na których połyskiwał relikwiarz oprawny w złoto emaliowane. Wyprostował się w całej swój wysokości i zawołał:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Padł jak rażony piorunem.

Gdy przez łzy i dym, który się zwolna rozpraszał, ksiądz zdołał coś postrzegać, z trudnością powłókł się, gdzie leżała na ziemi postać bez duszy, i klękając na śniegu zakrwawionym, ucałował nogi tego nieznanego, jak pierwotni chrześcijanie całowali stopy swych braci męczenników.

Własnymi rękami wykopał grób w stwardniałej ziemi dla tego nieznanego, który nie powiedział mu nawet swojego nazwiska, prosząc jedynie, jako o łaskę, aby został pochowany z medalionem, który nosił na szyi.

Kula przebiła go. Relikwija Jakóba des Allais miała zniknąć wraz z ostatnim jego potomkiem.

---

## XVIII.

W ogrodzie des Allais róże, które Jakób tak lubił, zakwitły jak lat innych, mniej pielęgnowane, lecz niemniej obfite i woniące... o niewdzięczne! Co obchodzi nieubłaganą naturę nasza zjadłość w rozsiewaniu na jej macierzyńskim łonie zwalisk i trupów? Pokrywa je z upodobaniem, raz śniegiem, to znów kwiatami. Flora czuła, że umiera. Sabina trawiona dziką energią, aby

pokonać boleść swoją, zdawało się że skamieniała w obojętności... pozorniej tylko. Pan de la Rullière zgryziony spustoszeniami, jakie sprawiały przechody wojsk przez jego majątek, tracił pojęcie terażniejszości i pamięć przeszłości. Panna Ydoina mówić przestała; siostra jej pochylała się pod ciężarem obawy i niespokojności trudniejszych do zniesienia, niż pewne nieszczęście. Napróżno wiosna łagodnem swem tchnieniem wszystko ożywiała, tych biednych istot ożywić nie mogła.

Wiadomości od Jakóba z początku dochodziły do jego ciotek z możliwą regularnością, później ustały zupełnie. Sabina nie śmiała wypytywać swoich starych przyjaciółek, i na mszy w niedzielę, odwracała się, aby nie widzieć smutku i rezygnacyi na ich pobladłych twarzach. Probowały się uśmiechnąć, nie chcąc się przyznać, że są w rozpacz. Panna Ydoina ubierała się w jasne kolory i w jaskrawe stroiła się kwiaty, aby nie wyglądało, że nosi żalobę po swoim ukochanym chłopcu. Wszak nie stracona jeszcze nadzieja, mógł być tylko ranionym.

Wreszcie przyszedł dzień w którym to milezenie wytkłomaczyć się nie dało. Wszystkie komunikacye zostały przywrócone. Wszyscy ludzie z okolic, których wojna oszczędziła, powracali do ognisk rodzinnych. Jakób nie wracał.

Raz czy dwa razy dzienniki przyniosły do Rullière nazwisko Rogera. Wrócił z wojskiem do Paryża, okrył się sławą; jego walczność i dawne studia wojskowe zjednały mu stopień wysoki. Żył więc, lecz nie wracał: Flora wiedziała o tém, była zrezygnowaną; tylko z dniem każdym traciła tę trochę sił, które jej pozostały; a jej twarz wychudła zaczęła przybierać te fałszywe rumieńce, które straszniejsze są, niż bladłość choroby.

— Czy to moja wina? — Pytała raz przerażona Sabina samą siebie. — Czy to z mojej przyczyny to dziecko umiera? I czy tylko ode mnie potrzeba jednego słowa, aby je ocalić?

Pewnego poranku odwiedziła panny des Allais.

— Wyjeżdżam i nie powrócę bez wiadomości o Jakóbie. Obiedwie jesteście za stare, aby puścić się w podróż.

Rzekła zaś do ojca ze zwykłą swoją szorstkością.

— Wyjeżdżam do Paryża, miej staranie o Florze podczas mojej nieobecności. Nie mieszaj się do interesów, bo wszystko popłacziesz. Za powrotem wezmę się do zaległej roboty.

W Paryżu pobiegła do ministryum wojny i bez trudności otrzymała wiadomość o Jakóbie, mało szczegółowe, ale dokładne. Bił się przy obronie wioski, której nazwę wymieniono jej. Miał

tam poledz, zwłaszcza, że jego ciało nigdzie nie zostało odszukane czemu nie ma się co dziwić, gdy na raz tak wielka liczba była poległych, że je masami chowano.

Nazajutrz zapukała do plebanii owęj zaprzepaszczonej wioski. Proboszcz starszek uległ wzruszeniom owych strasznych dni. Młody ksiądz, który po nim nastąpił, uderzony posepnym wyrazem tój kobiety, która z suchemi oczyma i miną stanowczą przybyła dopytywać o groby, mówił do nię łagodnie o rezygnacyi chrześciańskiej, o łzach, które nam wolno wylewać nad wspomnieniem tych, którzy nam byli drodzy i o pociębach, jakie pozostają jeszcze na tym świecie tym, których śmierć pozbawiła ukochanych.

Sabina spojrzała na niego marszcząc swoje brwi czarne.

— A dla tych, krórzy nie chcą płakać — rzekła — dla tych, którzy nie mogą spoglądać w niebo, aby tam szukać ukochanych nieboszczyków, którzy po wszystkie dni patrzeć muszą na trupa, którego trumną jest ich serce... co im pozostaje?

— Bóg wysoko, a na ziemi miłosierdzie — odrzekł ksiądz. — Tym, których pocieszyć nie może żadne uczucie ziemskie, Bóg ofiaruje miłość swoją.

Sabina wyteżonym wzrokiem spojrzała na księdza, potem zwolna pochyliła czoło i w milczeniu poszła za nim. Ten poprowadził ją na miejsce spoczynku, gdzie pochowano wszystkich nieznaną bohaterów, którzy polegli w czasie wojny. Przechodząc przez cmentarz postrzegła zdaleka stokrotki rosnące na pagórku przy którym utkwiony był krzyż bez wymienienia nazwiska pochowanego.

Przenikniona słowami kapłana i rozczulona nowém wzruszeniem, które zwolna natchnęło jej serce rezygnacyą chrześciańską w miejsce stoickiej energii, pochyliła się nad kwiatkami rosnącemi na grobie. Zerwała z nich jeden i łza stoczyła się po licu i na murawę padła. Poszła dalej, nie domyślając się nawet, że uroniła łzę nad szlachetnem sercem Jakóba des Allais.

Po wyjeździe Sabiny, Flora usiłowała otrząsnąć się z odrętwienia, które krępowało jęj siłę moralną. Chciała się czém zająć, aby zastąpić przy ojcu Sabinę. Siły fizyczne ją zdradziły. Padła znużona, lecz więcej zrezygnowana, niż wprzódy. Zbrakło jęj sił, ale nie odwagi.

Sabina nie pisywała wcale, nikt się temu nie dziwił; uprzedziła, że sama przywiezie wiadomości, po które pojechała.

Flora oczekiwała jęj, nie żywiąc żadnej nadziei i obawy;

była prawie szczęśliwszą podczas nieobecności siostry, której uparte milczenie było dla niej wiecznym wyrzutem. A zresztą, czego mogła spodziewać się z powrotem Sabiny? Życie jęj już się skończyło.

Pewnego wieczora spoglądała na znikające promienie zachodzącego słońca. Turkot powozu zamącił ciszę zmierzchu. Sabina — pomyślała sobie, i zbyt osłabiona, aby mogła wyjść na przeciwko, złożyła ręce, oczekując jęj.

Lecz gdy drzwi otworzyła, wydała okrzyk namiętnęj radości.

— Roger!

Padła w ramiona, które do niej wyciągnął.

— Moje dziecię, mój skarbie, kwiatku mój ukochany!

On drżał ze wzruszenia pochylając się nad jęj główką, która się skryła na jego łonie.

— Tak blada, tak słaba — szeptał — a wszystko z mojęj przyczyny! Ale odżyjesz, Floro! Przynoszę ci miłość i szczęście. Jestem wolny; wolno mi kochać cię i żyć przy tobie.

— A Sabina? — zapytała Flora.

— Sabina jest tu. To ona sprowadza mnie do ciebie. Cudów dokazała, aby odszukać ślady moje, które zatrzeć usiłowałem. Dogoniła mnie na pokładzie okrętu, który miał mnie unieść do Ameryki. Gdyż poszedłem za twoją radą, moja ukochana; na zawsze uciekałem od ciebie, ponieważ nie mogliśmy być szczęśliwi bez zranienia serca kobiety, o której sądziłem, że zawsze pozostała mi wierną. Sabina wyznała mi prawdę: kochała oddawna pana des Allais.

— Ah! ja to odgadłam! — zawołała Flora.

— Kiedym ujrzał Sabinę, sądziłem z początku, że przeznaczenie mnie ściga; oskarżałem ją, że mnie chce zmusić do spełnienia przyrzeczeń, które się dla mnie stały kajdanami. Przeciwnie ona przybywała, aby mi wolność przywrócić. Wyznała mi wszystko. Nie śmiała zaraz mi mówić o swojęj miłości dla p. des Allais, powstrzymywana wstydem, że mi złamała słowo. Za powrotem przyjęła mnie zimno, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że dla nięj obcym się stałem. Potem, gdy ujrzała rodzącą się miłość naszą, uczuła pewną ulgę; ja także niesprawiedliwie względem nięj postąpiłem. Zabroniła panu des Allais powiedzieć ci, że byliśmy narzeczonymi; znaczyło to samo, że uważała się za wolną; było to prawie wyznanie z jęj strony. On tego nie rozumiał. On umarł, Floro.

— Niestety! przeczuwałam to. Biedna Sabina.

— Biedna Sabina — powtórzył Roger. — Przynajmniej, że nie z naszej przyczyny cierpi, i my możemy być szczęśliwi, nie czując się względem niej winnymi.

Oni temu uwierzyli, i gdy sobie czynili długie zwierzenia o swęj miłości i cierpieniach, jakiś cień czarny wszedł niepostrzeżony. Sabina milcząc przesunęła się i znikła w ciemności, która cały pokój już ogarnęła. Sama, zapomiana, miała na sobie żałobę po swoim szczęściu.

Miała tyle odwagi iż przyspieszyła ślub Flory, sama zajmowała się wszelkimi przygotowaniem, jakby to uczyniła matka gdyby jeszcze żyła; ani przez chwilę nie osłabła, żadnej urazy, żadnej skargi i żalu.

Lecz ci, którzy jęj nie widzieli od czasu wyjazdu, zaledwie poznać mogli. Jęj włosy prawie zbielały, wyraz słodkiej rezygnacji zmiękczył surowość jęj rysów, a pod osłonę melancholii wzrok jęj stał się prawie pieczętliwym.

Duma Sabiny już nie istniała.

Skłamała, a wyrzuty i upokorzenia zniszczyły dumę sumienia bez żadnej dotąd plamki. Nigdy nie myślała o tém jak wzniosłe jak rozczulające było to kłamstwo, a wiedziała tylko, że się skaziła, wyrzekając się prawdy.

Gdy panny des Allais nabrały pewności o śmierci swego ukochanego dziecka, przywdziały żałobę. Była-to jedyna różnica, gdyż oddawna ich ofiara była przyjętą; nic w swém życiu nie zmieniły. Pewnego poranku znaleziono pannę Ydoinę w gotyckiem krześle przy kominku, na którym wygasł ogień. Zasnęła snem ostatnim. Siostra kazała ją pochować na cmentarzu des Allais, na którym brakowało ostatniego nazwiska, potem sporządziła ostatnią swoją wolę. Zamek został obrócony na schronienie dla sierot pozostałych po ofiarach wojny. Zakonnice wezwane zostały dla kierowania tym domem. Miłosierdzie tylko mogło odziedziczyć majątek rodziny, ziemie, które od niepamiętnych czasów należały do nięj, nie mogły przejść w obce ręce.

P. de la Rullière nigdy nie mógł sobie przypomnieć, która z jego córek miała niegdys poślubić pana de Bargemont. Sabinie nietrudno było przekonać go, że to była Flora. Silny ustrój fizyczny zdawał się wzmacniać w miarę, jak duch słabnął. Najsmutniejsza czekała go starość, która w końcu wyczerpuje cierpliwość i miłość tych, którzy nas otaczają, a pozostawia tylko zimne, obowiązkowe przywiązanie.

Sabina wiedziała, że ten silny starzec przeżyje swoją intel-

ligencyę zgasła, i że ona zostanie jedyną towarzyszką jego lat ostatnich. Flora i Roger mieli osiąść w Paryżu, spędziwszy poprzednio zimę w krajach południowych, które miały przywrócić Florze siły i zdrowie. Pod wpływem szczęścia dziewczyna odrodziła się, podobna do krzaku pochylonego przez burzę i wystawionego na ożywece promienia słońca.

Gdy Sabina ujrzała oddalający się powóz, który ich unosił, gdy znalazła się sama w tym dużym, pustym zamku, sama z ojcem, który zachował całą swoją dawną ruchliwość, i wymagał około siebie takiej troskliwości, jak małe dziecko, zdało się, że upadnie na duchu. Chciała szukać samotności w swoim pokoju, zapłakać temi łzami, które jęj teraz ulgę przynosiły.

— A gdzie - to idziesz? — zawołał pan de la Rullière. — Dzięki Bogu, że już wyjechali. To całe szczęście. Wszystko to zadługo trwało, aby nie miało wyczerpać cierpliwości nawet świętego. Wreszcie jesteśmy wolni. Możemy powrócić do naszego dawnego trybu życia. A jak twój narzeczony powróci, będziemy mieli drugie wesele. Ale to odbędziemy już w zamku des Allais. Na uczczenie twego małżeństwa, każę skopać cały ogród tego niedołęgi Jakóba; zasadzimy tam kartofle. Ale, ale, odczytaj mi ten artykuł o téj nowéj chorobie kartofli... to cię trochę rozerwie. Tylko czytaj głośno, jak to umiesz. Twój głos stał się tak stłumiony, masz zawsze taką minę, jakbyś mówiła na pogrzebie.

Sabina przeczytała artykuł od początku do końca, nieopusciwszy ani jednego słowa. Kiedy skończyła, zapytała:

— Czy to już wszystko?

On spał.

Zwolna poszła do swojego pokoju na górze, zamknęła drzwi, zgasła światło, i patrząc w dal, w ciemną przestrzeń, załamała ręce z rozpaczą.

— Oni są szczęśliwi! — pomyślała. — A mnie nic nie pozostaje, nic, nic!

Potem nagle, pochylając czoło ku ziemi:

— Przebacz mi, przebacz, o Boże mój — szeptała — Pozostaje mi jeszcze Twoja miłość i odpokutowanie mojego kłamstwa.

K O N I E C.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63











<http://rcm.org.pl>